

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAROL MAY

CZARNY GERARD

Tower Press 2000
COPYRIGHT BY TOWER PRESS, GDAŃSK 2000

GERARD MASON

Na zachodzie Nowego Meksyku rozpościera się równina, którą porównać można z pustynią Saharą. Rosną tam ostro kolczaste kaktusy, postrach ludzi i zwierząt, ze względu na niebezpieczne kolce. Dla konia, który wbije w kopyto taki kolec, nie ma ratunku. Jeździec zostaje bez wiernego towarzysza, pada na pustyni i staje się ofiarą drapieżnych sępów, które krążą wysoko w chmurach.

Jeszcze pod jednym względem pustynia ta jest niebezpieczna. Drogi przez pustynię znaczone są wysokim, łysymi słupami, a włóczy się po niej wszelka hołota, która wyrwa pale i ustawia je w fałszywym kierunku. Kto idzie w stronę w jaką wskazują, wpada coraz głębiej w pustynię, gdzie mamie ginie z pragnienia i głodu. A na to tylko czekają rabusie.

Pustynia na zachodzie ograniczona jest rzeką Rio Peros, dopływem Rio Grandę del Norte. Nad nią leży twierdza Guadalupe. W swoim czasie była tam Emma Arbel el ze swoją przyjaciółką Karią a w czasie powrotu do domu wpadły w ręce Komanczów.

Gościli wtedy u krewnego Pedro Arbelleza, Pirnera, który uchodził za najbogatszego człowieka w okolicy. Przybył tu nie wiedzieć skąd i ożenił się z piękną, bogatą kuzynką Pedra.

Zona jego zmarła wkrótce i pozostawiła jedyną córeczkę. Śmierć jej nie zmieniła bardzo wesołego usposobienia małżonka. Żył szczęśliwie i beztrudnie. Córka jego, śliczna Resedilla nie miała ochoty do zamążpójścia, on zaś pragnął dostać zięcia i mieć pewność, że córka, w razie jego śmierci będzie szczęśliwa i bezpieczna. Miała już prawie trzydzieści lat, ale wciąż zachowała młodość Europejki.

Pirnero posiadał wielki dom, na którym było mnóstwo *vaqueros*. Dom prócz parteru posiadał piwnicę i piętro. W piwnicach był jego skład, na parterze sklep i wyszynk, całe zaś piętro zajmowały pokoje.

Pewnego dnia, mimo złej pogody, w szynku nie było nikogo. Pirnero nie był w dobrym humorze. Siedział przy oknie i patrzył na gęste chmury, przy drugim oknie siedziała Resedilla i szyła.

Pirnero zaczął czynić córce wymówki, z których ona sobie zupełnie nic nie robiła. Owszem cieszyło ją bardzo, kiedy przysłuchiwała się dziwnym występom czynionym na temat zamążpójścia.

– Straszliwy wiatr! – zamruczał Pirnero.

Nic nie odpowiedziała, więc po chwili dodał:

– Prawdziwa wichura!

I teraz milczała. Dlatego zapytał ją wprost:

– Nieprawdaż Rosedello?

– Owszem.

– I taki sam straszliwy kurz.

Nie odpowiedziała nic, dlatego obrócił się do niej i rzekł:

– Jeżeli nadal będziesz tak milcząca, to nigdy nie wyjdiesz za mąż?

– Milcząca żona jest lepsza niż gderliwa!

Zakaszła parę razy. Rozmowa nie kleiła się, ale po chwili znowu zaczął:

– A tu nie ma żadnych gości.

I na to nie odpowiedziała nic. Wtedy zwrócił się ku niej:

– Co, nieprawda? Widzisz może gości w tej izbie?

– Uważasz mnie za ślepa? – zaśmiała się.

– No widzisz! Ani jednego gościa! A to nie jest dobre dla dziewczyny, która szuka męża. Czy może już jakiego...?

– Nie jeszcze.

– Nie? Dlaczego nie?

– Nie lubię żadnego z nich.

– Żadnego? Hm. Głupstwo! Mąż dla żony, to tyle co podeszwa dla trzewika.

– Należy go mocno naciskać?

– Głupstwo, bez podeszwy nie można biegać!

Zrozumiał, że musi zacząć z innej beczki.

– Widziałaś, tam na dachu coś się zepsuło? Kto to naprawi? Przecież nie ja, tylko mój zięć...

Ale musi być porządny, a nie ten obdartus, co tu czasem przychodzi.

Nie spostrzegł jej rumieńca. Widocznie wiedziała o kim mowa.

– Wiesz o kim mówię? Wiesz. Nie pozwolę, by on został mym zięciem. Wiesz, kim był mój ojciec? Kominiarzem, człowiekiem, który obracał się na górze. A mój dziadek? Handlarzem ostryg. Wiesz przecież, skąd pochodzimy... Tam dziewczęta, godnie wychodzą za mąż muszą, gdyż inaczej spróchnieją. Czy wiesz skąd pochodzę?

– Tak, z Niemiec, z jakiegoś miasteczka Pirna.

– To najpiękniejsze miasto w świecie. Od niego właśnie przyjąłem swoje nazwisko. Słynie ono z najpiękniejszych dziewcząt. Ty także odziedziczyłaś tę urodę i dlatego nazwałem cię Reseda, Resedilla. Mnie twoja matka od razu poślubiła, a ty nie chcesz żadnego, nawet gdyby pochodził z Pirny.

Byłby gadał dalej ale tętent konia przerwał jego mowę. Przybył jakiś jeździec.

– O, ten obszarpaniec nie potrzebuje mi przychodzić nawet wtedy, gdy nie mam gości. Niech nawet nie marzy o tym, że zostanie moim zięciem.

Resedilla schyliła się nad robótką, aby ukryć rumieniec. Gość wszedł do izby, uklonił się grzecznie i usiadł na jednym z krzeseł i zamówił szklanekę julepu, napoju alkoholowego z ziołami, lubianego w całej Ameryce.

Był wysoki i silnie zbudowany, ciemną twarz pokrywała broda. Miał około trzydziestu lat. Ubrany był po meksykańsku. Strzelba jego, z wyglądu, nie była warta nawet grosza, jak w ogóle całe jego ubranie. Ale w całej jego postawie było coś szlachetnego.

Kiedy zrzucił kapelusz, pokazała się głęboka, dopiero co zagojona blizna.

– Co za julep to ma być? – zapytał gburowato gospodarz.

– Z piołunem, proszę.

Gospodarz przyniósł żądany trunek. Gość skosztował i zwrócił się w stronę okna. Można było spostrzec, jak ukradkiem przyglądał się dziewczynie, która spuściła oczy w dół.

Staremu milczenie zaczęło przeszkadzać, poruszył się na krześle i rzekł:

– Straszliwy wiatr!

Przybysz nie odpowiedział, więc gospodarz pytał dalej:

– Może nie?

– Nie tak bardzo – brzmiała obojętna odpowiedź.

– Ale kurz ohydny!

– Ba!

– Co za ba? Myślicie, że to nie kurz? Czy nie leci on ludziom w oczy...

- To trzeba je zamknąć.
- Zamknąć? No pewnie, to najprościej! Ale ubranie się niszczy!
- Należy włożyć stare.

To była woda na jego młyn. Zaraz zrobił uwagę gościowi:

- Tak, jak pan. Nie masz pan lepszego?
- Nie – odparł obojętnie, co srodze oburzyło starego. Meksykanin uważa bardzo na strój.

Ubiera się malowniczo, a tego wszystkiego nie widać było na przybyszu.

- A dlaczego pan nie ma?
- Bo jest dla mnie za drogie.
- To senior jesteś biedakiem?

– Tak – odparł obojętnie i popatrzył na Resedillę, która w oczach miała prośbę o pobłażliwość dla ojca. Ale kupiec pytał dalej:

- A kim pan jesteś?
- Myśliwym.

– I z tego pan żyje? To mi pana żal. Jak może wyżyć taki myśliwy? Dawniej było inaczej. Było dużo takich, przed którymi musiano mieć respekt. Znaliście Niedźwiedzie Serce, Bawole Czoło, albo Piorunowego Grota, ten ostatni był moim rodakiem.

- Znałem ich wszystkich.
- Ale największym był Książę Skał, także mój rodak, bo Niemiec. Był kiedyś lekarzem i nazywał się Sternau.

- Sternau? – zapytał przybysz.
- Tak, Karol Sternau, o którym opowiadał mi mój krewny Pedro Arbellez, właściciel hacjendy del Erina.

- A czy Sternau jest żonaty?
- Żonaty, z hrabianką Różą de Rodriganda.
- Ten sam, ten sam – rzekł przybysz niby do siebie, ale tak, że oboje usłyszeli.
- Zna go pan?

- Nawet bardzo dobrze. Uratował moją tonącą siostrę.
- No, widzicie, co to za człek. On nawet wyciąga ludzi z wody. To był wielki myśliwy. Nie mamy teraz takich ani w lasach ani na prerii, z wyjątkiem jednego. Słyszeliście może o nim?

- O kim?
- O Czarnym Gerardzie. Ma podobno czarną brodę i dlatego tak go nazywają. Znać go?
- Słyszałem o nim.

– To wiecie, że to jedyny sławny myśliwy na naszej granicy. Nawet się diabła nie złąknie. Strzały jego zawsze trafiają do celu, nóż też jest nieomylny. Przed takim ma się respekt. Zwrócił baczność uwagę na bandy rabusiów drogowych. Już prawie całkiem się ich pozbył. Mam mu dużo do zawdzięczenia, gdyż przedtem moje towary rzadko kiedy trafiały w me ręce. Taki chwyt mógłby zostać moim zię...

Urwał. Wobec tego gościa nie chciał zdradzać swych marzeń. Po chwili dodał:

– Chciałbym wiedzieć skąd on pochodzi? Może nawet z Pirny, bo tam są ludzie nadzwyczaj dzielni. Wy skąd jesteście?

- Z Francji.
- O, to pan Francuz?
- Naturalnie.
- Tak! Hm, hm. To dobrze, senior.

Odwrócił się, Francuzi nie byli w jego w łaskach. Po chwili jednak wstał, dał znak córce, aby za nim szła do sklepu.

– Słyszysz, to Francuz! Muszę cię ostrzec.
– Dlaczego?
– To jest właśnie najistotniejsze. Wiesz, że Francuzi przynieśli nam austriackiego księcia, który ma zostać cesarzem Meksyku?

– Wiem, wszędzie o tym mówią.
– Uważam, że Austriacy to dobre chłopcy. Nie mam nic przeciwko nim. I ten książę Maksymilian jest pewnie dobrym księciem. Ale Meksykanom nie podoba się to, że go nadają Francuzi. Powiadają, że Napoleon jest kłamcą, nie dotrzymuje swoich obietnic. Pozostawi Maksymiliana samego sobie. Meksykanie nie chcą cesarza. Chcą mieć prezydenta, ma nim być Juarez.

– Który obecnie przebywa w Paso del Norte?
– Tak. Francuzi chętnie by go złapali. Już zajęli cały kraj i w Chihuahua prawie go mieli, ale uknął szczęśliwie do Paso del Norte. Francuzi tak daleko do granicy nie dojdą, ale mówią, że chcą wysłać ludzi, którzy go schwycą. Dlatego trzeba strzec się Francuzów.

– Ale ty nie, bo co cię obchodzą Francuzi i Juarez?
– Nawet bardzo. Dotychczas milczałem o moim nadzwyczajnym talencie do polityki. Nie jest mi rzeczą obojętną, czy przyjdzie Maksymilian, czy Juarez. Maksymilian nie utrzyma się tutaj, bo jest zależny od Francuzów. Napoleon zaciągnął dwie pożyczki, aby ugruntować cesarstwo meksykańskie. Z tego dostała się Meksykowi tylko garstka, reszta pozostała przy Francji. To czyste oszustwo, a biedny Maksymilian nic tu nie poradzi. Juarez zaś zna nasz kraj, nie chce Francuzów. Ale na to trzeba pieniędzy. Dlatego wysłał posłów do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Poseł powrócił z dobrymi wieściami. Stany Zjednoczone też nie chcą cesarza w Meksyku i udzielą nam pożyczki trzydziestu milionów dolarów. Parę milionów jest już w drodze. Dowiedzieli się o tym Francuzi i możliwe, że zechcą przechwycić transport. Gdyby nie można było pieniędzy dalej transportować, mają się dostać do nas, do portu Guadaloupe i zostaną ukryte w naszym domu. Juarez wyśle nam obstawę, a my musimy obawiać się każdego Francuza, gdyż może być szpiegiem. Zdaje mi się, że ten drab, co tam siedzi jest nim. Mówi mało, nawet na ciebie nie spogląda.

Resedilla wiedziała, że ojciec się myli.

– Nie sądzę, nie wygląda na szpiega – rzekła.
– Nie? Mylisz się bardzo. Nie pokażę mu się więcej, bo mógłby z mojej miny poznać, kim właściwie jestem. Ty go będziesz obsługiwała, ale proszę cię, nie daj mu poznać, że jestem zwoleńnikiem Juareza!

Stłumiła śmiech i odparła:

– Nie troszcz się! Mam po tobie dyplomatyczne zdolności. Nie przyłapie mnie.
– Wierzę, bądź nawet dla niego dobra. Uśmiechem prędzej złowi się wroga. Znam to jeszcze z Pirny.

Wróciła do izby. Na twarzy jej igrał uśmiech. Usiadła koło okna. Oboje milczeli, wreszcie ona zaczęła:

– Czy pan naprawdę jest Francuzem? – zapytała.
– Tak. Czy wyglądam na takiego, który może panią okłamywać?
– O nie, myślałam, że pan żartuje, bo Francuzów w tej okolicy nie lubią.
– Ja też, chociaż jestem Francuzem. Nie wrócę już do mojej ojczyzny, nie mam tam czego szukać.
– Tu smutne?
– Nie tak smutne jak zdrada i niewierność.
– Pana to spotkało?
– Tak, niestety.

Po tych słowach wyraz smutku zawitał na jego oblicze. Dziewczyna zaś bardzo zaciekawiła się, więc spytała:

– Zdradziła pana ukochana, musiała być bez serca.

– Kochałem ją tak bardzo, a ona mnie zatrula, dręczyła.

– Musi pan o niej zapomnieć!

– To bardzo trudne. Wprawdzie nie kocham jej już, ale unieszczęśliwiła mnie na całe życie, zdradziła.

– Czyli, że pana okłamała?

– Nie, powiedziała prawdę!

– Żartuje pan?

– Nie mam potrzeby.

Zdziwiła się bardzo, a potem dodała chłodniejszym już głosem:

– Proszę wybaczyć, że zasypuję pana pytaniami. Bywają ludzie, którzy od pierwszego spotkania wydają się znajomi. Poznałeś pan to kiedyś?

– Tak, ale dopiero tutaj.

Zarumieniła się. Zauważył to, więc zaczął się usprawiedliwiać:

– Proszę nie brać moich słów za złe. Jeśli panią zraniłem, to nie przyjdę tu nigdy więcej.

– Nie, to nie o to chodzi. Proszę mi zrobić przyjemność i rozchmurzyć się. Chciałabym wiedzieć, jak się pan nazywa.

– Mason, seniorito.

– A dalej?

– Dalej, jeśli to konieczne, na imię mam Gerard.

– Gerard? Może ten „Czarny”, o którym mówił mój ojciec? Co właściwie znaczy to imię?

– Pełen siły albo obrońca. Tak mi kiedyś powiedział nauczyciel.

– Pełen siły? To licuje z pańskim wyglądem, a kto silny, ten może być obrońcą.

– Niestety, nie byłem nim, raczej kimś przeciwnym. Byłem garoterem.

– Garoterem? Co to znaczy?

– Tak. Pani na pewno nigdy nie spotkała się z tym określeniem. No cóż, w wielkich miastach setki tysięcy ludzi nie wiedzą wieczorem skąd wezmą chleb. Jeśli w nocy nie ukradną, muszą na drugi dzień przymierać z głodu. Stają się złoczyńcami. To niewolnicy zbrodni, choć nie ponoszą za to winy. Ojciec wychowuje syna na złoczyńcę, matka córkę. Nikt nie wie co to szacunek dla prawa.

– Niemożliwe! To straszne.

– Mimo to prawdziwe! Nie winię nikogo, ale stałem się takim przez ojca. Byliśmy biedni, ale gardzieliśmy pracą. Ojciec kradł, a ja byłem silny, więc garotowałem. To znaczy napadałem w nocy na samotnych ludzi, dusiłem ich i wypróżniałem ich kieszenie. Również moją siostrę chcieliśmy sprowadzić na złą drogę, ale ona rzuciła się w wodę. Doktor Sternau, o którym ojciec pani mówił, wyratował ją.

– O mój Boże, to straszne.

Zbladła. Oto jedyny mężczyzna, któremu mogła i chciała ofiarować swoją miłość, okazał się zbrodniarzem. Była załamana, ale ciekawość przemogła strach i rzekła:

– A co pan robił dalej?

Opowiedział jej – koleje życia i zakończył znanym zajściem z Alfonsem, któremu, jak wiemy, zabrał w Niemczech portfel.

– Chciałem stać się uczciwym człowiekiem. Oddałem wszystko Mignon, ale ona mnie oszukała. Przeszastała z jednym paniczem moje pieniądze i zagroziła, że mnie zadenukuje...

– Zabił ją pan?

– Nie, odszedłem i rzuciłem się do pracy. Co ja wycierpiałem! Ale stałem się uczciwym człowiekiem. Wreszcie sumienie moje wypędziło mnie z ojczyzny. Chcę za wszystko odpokutować, a potem mogę umrzeć.

Nastąpiła cisza. W jej oczach błysnęła łza.

– Po co mi pan to powiedział? Po co?

– Sądziłem, że kochałem Mignon, ale to było tylko złudzenie. Przyjechałem do Ameryki, przewędrowałem góry, puszcze i prerie.

Zostałem myśliwym, który zasłużył na dobre imię. Poznałem swoje serce na wskroś. A kiedy potem ujrzałem panią, poczułem co znaczy prawdziwa miłość. Ciągnęła mnie do pani jakaś nieprzewyciężona siła. Postanowiłem się przed panią wypowiadać. Jeżeli teraz jestem dla pani kimś odpychającym to odejdę! Odejdę i nie wrócę więcej... Ale proszę nie opowiadać tego nikomu, gdyż wielu przyniosłoby to szkodę. Musiałbym tę okolicę opuścić.

Chwycił strzelbę i chciał wyjść. Wstała i zastąpiła mu drogę.

– Senior, dziękuję za szczerość. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy nie jesteś przypadkiem szpiegiem francuskim?

– Nie. Nie jestem, tak jak Meksykanie popieram Juareza. Czy to wystarczy?

– Tak, jestem spokojna.

– Żegnam więc panią.

– Naprawdę chce pan odejść?

– Na zawsze od pani, ale nie z Guadalupe. Zobaczą mnie tu jeszcze.

Spojrzał w jej oczy, w których stanęły łzy. Gerard chciał ją wziąć w ramiona, myśląc, że i ona tego pragnie. Ale zapanował nad sobą, nie miał przecież prawa niszczyć jej życia. Wyszedł.

Resedilla ukryła twarz w dłoniach i zapłakała głośno.

– Gerard! Pełen siły, który zwycięża nawet siebie!

Słyszał jej płacz pod drzwiami, ale nie wrócił. Pojechał w prerię, tam ugasić swą miłość... Pokutnik ze strzelbą w dłoni, który postawił sobie za zadanie oczyścić prerię z rozbójniczej hołoty. Nie powiedział o tym Resedilli, nie przyznał się, że jest owym Czarnym Gerardem.

Leżał w trawie, obok pasł się rumak. Nagle najeżył grzywę, parsknął na znak, że ktoś się zbliża.

Gerard wstał spojrzał dokoła. Spozstrzegł jeźdźca, który pędził prosto na niego. Oblicze jego przybrało obraz zadowolenia.

– Uspokój się, to Niedźwiedzie Oko, nasz druh!

Indianin zbliżał się szybko. Był bardzo młody i podobny do zaginionego Niedźwiedziego Serca.

– Mój czerwony brat długo dał na siebie czekać,

– Myśli brat mój, że Niedźwiedzie Oko nie umie jechać? Musiał on nadśluchiwać. W Paso del Norte jest Juarez. Przyprawdę mu dziesięć razy po stu wojowników, aby zająć znowu Chihuahua. Powiedziałem mu, że spotkam tutaj mojego białego brata. Prosił przekazać, byś odwiedził senioritę Emilię.

– Uczynię to.

– Czekałem na ciebie w Pas del Norte. Jechałem przez Czarcie Góry i już byłem blisko rzeki, kiedy odkryłem ślady trzech białych jeźdźców. Pojechałem za nimi i podsłuchiwałem. Jeden był Meksykaninem, dwaj pozostali to Francuzi.

– Pewnie oficerowie!

– Mój biały brat ma rację. Jeden z nich miał na szyi sznur, na którym wisały dwa okrągłe szkła. On brał je na nos i patrzył.

– A, to oficerowie! Słyszał mój brat o czym mówili?

– Nie znam ich mowy, dlatego przyjechałem po ciebie.

Popędzili galopem. Po dziesięciu minutach dotarli do rozpadliny, gdzie zostawili konie, weszli do lasu i niebawem przez otwór liści zobaczyli trzech mężczyzn, którzy spokojnie palili cygara.

Mówili po francusku i to tak głośno, jakby się znajdowali na jarmarku, a nie w lesie.

– Tak, koniec z Juarezem – rzekł jeden – Niech czeka, czy te czerwone łotry zrobią go swoim cesarzem.

– Już po nich! – zauważył drugi. – Cały pochód był tylko zabawką. Więcej trudów nie zadawałbym sobie nawet z tym arcyksięciem.

– Z nim? Chodziło o nas, ale tak aby inne państwa nie przejrzały tego. On w swoim czasie wróci do domu. Bazaine zostanie prezydentem, a on doprowadzi do takich konfliktów, że Napoleon będzie zmuszony wtargnąć tutaj i cały Meksyk uznać za prowincję francuską. Nikt tego nie zmieni. A kraj jest cudny. Najbardziej podobają mi się damy.

– Podzielam twój gust.

– Są cudowne. Pełne ognia, czaru, bystre i bardzo przystępne.

– Tak, Meksyk jest krajem który trzeba zdobyć ze względu na płeć nadobną. Widziałeś może w Paryżu taką piękność jak seniorita Emilia?

– Niech ją bies porwie!

– Dlaczego? Dała ci kosza?

– Prawdziwego! Ale to prawdziwa boginka.

– Ale bardzo przebiera, a ty jesteś tylko porucznikiem.

– Ty zaś kapitanem, co za różnica.

– Drobną, ale musimy się zbierać. Ja do Chihuahua. Ty zaś byłeś już w Guadaloupa?

– Nawet cztery razy. Teraz pozostanę tam dłużej. Mam czekać na przybycie mojej kompani, która ma tę dziurę zdobyć i zająć.

– No, to będziesz się tam nudził bez Emilii.

– Nie, znam tam córkę niejakiego Pirnero, najbogatszego kupca w tej miejscowości. Piękna, ale choć niezbyt młoda, ciężka do zdobycia. Kokieterii ani troszkę. Zimne poczucie obowiązku, ale w plastycznie skończonej formie. W objęciach jej pewnie lepiej się znaleźć niż samej seniority Emilii.

– Patrzcie! Chciałbym ją widzieć!

– A ja posiadać!

– To niemożliwe. Tu trzeba odwagi. Jeśli meksykańska dama kogoś nie chce, tego zwykła kąsać.

– Założmy się!

– O co?

– Tysiąc sztuk najlepszych cygar.

– Słowo?

– Słowo honoru!

– Co zrobisz?

– Powiem ci, ja byłem tam cztery razy i za każdym razem spałem sam. Oglądałem sobie dobrze zamki. Śrubowane, nie trzeba do nich klucza. Resedilla śpi w swoim pokoju, a ty obok. Już kiedyś sprawdzałem zamki w jej drzwiach. Bardzo łatwo się z nimi uporam i tak dostanę się do łóżka seniority. A reszta to już moja rzecz...

– Zawoła o pomoc.

– Dziewczyna, która budzi się w ramionach innego?! Możesz to mówić takiemu, który w ten sposób nie zdobywał kobiet.

– Masz więc doświadczenie?

– I to ile. W ten sposób zdobywałem hrabianki i praczki, dziewczki i żony profesorów, aktorki i zakonne siostrzyczki. Żadna się nie wzdryga przed taką miłością i nie woła o pomoc. Wiem, że i teraz zwyciężę.

– Życzę ci szczęścia, a potem wszystko opowiesz dokładnie.

– Naturalnie. Dowiesz się tak, jakbyś się temu przyglądał. A co z Czarnym Gerardem?

– Bazaine wyznaczył za jego głowę pięć tysięcy franków. On dla Juareza więcej znaczy niż całe wojsko. Groźniejszy od Pantery Południa. Zawsze wie o wszystkim. Ale o naszym nowym zadaniu dowie się zbyt późno.

– Kiedy oddział przyjedzie do Guadalupy?

– Moja kompania, za pięć dni. Przyjedzie przez Rio del Norte prosto do fortecy. Ale teraz zbierajmy się.

Wrócili do swych koni. Gerard opowiedział Indianinowi o czym rozmawiali.

– Uderzę na Guadalupę z moimi Apaczami. Ale nie mów o tym Juarezowi, aby moi ludzie dostali przynależne im łupy.

– Słyszałem, że Francuzi dostaną pomoc, sześciuset Komanczów.

Rozstali się. Niedźwiedzie Oko pojechał na zachód, Gerard wrócił do Guadalupy. Nie spieszył się, miał czas do nocy.

O zmierzchu Pirnero jak zwykle siedział przy oknie, córka jego także. Nadal miał wisielczy humor, który pogłębił się jeszcze na widok nadjeżdżającego francuskiego kapitana.

– Czy mogę na tę noc pozostać tutaj, seniorito? – zapytał grzecznie.

– Proszę spytać ojca, on jest panem domu.

Przybysz pożerał ją wzrokiem, zamówił sobie szklaneczkę wina i rozpoczął rozmowę. Stary Pirnero dowiedział się, że kapitan był jeszcze kawalerem, lubił chleb z szynką, a z kwiatów najbardziej rezedę. Kapitan próbował porozmawiać też z córką, ale ta nie mogła zapomnieć o czym mówiła z Gerardem. Po wieczery Francuz udał się do swej sypialni. Spróbował odkręcić zamek przy drzwiach Resedilli, nie stawiał oporu.

Wieczorem do fortecy przybył Gerard. Udał się do domu Pirnera. Wiedział on, że szli spać wcześniej, ale spostrzegł, że jego ukochana pracuje jeszcze w kuchni. Sam zakradł się do domu i poszedł na strych. Gerard znał zamiary kapitana, poszedł pod drzwi ukochanej, spróbował zamek, potem wrócił na swoje miejsce.

Po godzinie dał się słyszeć szelest.

– Nadchodzi! – pomyślał. – Teraz wkłada klucz!!

Kapitan otworzył ostrożnie drzwi, w pokoju paliło się światło. Resedilla leżała tak, że ją mógł spokojnie zobaczyć.

Miała ciemną koszulkę, która obnażała jej śliczne ramiona. Widać było, jak przy oddechu podniosła się marmurowo biała pierś. Zamknął cichutko za sobą drzwi i podbiegł do łóżka.

W tej chwili był przy drzwiach, otworzył je i przez małą lukę obserwował rozwój sytuacji.

Kapitan stał przy łożu, zatopiony wzrokiem w cudnych wdziękach. Nie mógł się powstrzymać, złożył na jej ustach pocałunek. Resedilla ocknęła się, ale nie przyszła jeszcze do siebie, wtedy kapitan położył jej na usta rękę.

– Ani słowa, seniorito! – ostrzegał półgłosem. – Inaczej muszę cię zabić!

Popatrzyła nań oczyma szeroko rozwartymi. Nie broniła się.

– Zamknij oczy! – rozkazał. – Jeśli mi obiecasz, że nie będziesz krzyczała, zostawię usta wolne. Dobrze?

Kiwnęła głową, on odjął rękę.

– Czego pan chce? – zapytała płonąca ze wstydu i trwogi.

– Ciebie! Wybieraj miłość albo śmierć.

– Śmierć! – odezwała się półgłosem, a z tyłu usłyszał szelest.

Kapitan odskoczył przestraszony. Ujrzał stojącego za nim myśliwego. Wyciągnął nóż, ale Gerard, obalił go na podłogę. Stało się to tak szybko, że dziewczyna nie miała czasu nawet krzyknąć. Teraz stłumionym głosem spytała:

– Senior Gerard, mój Boże, co to?

– Nie obawiaj się pani. Przyszedłem obronić cię przed tą hołotą, francuskim kapitanem. Podśluchałem, jak zakładał się ze swym kolegą, że panią tej nocy zdobędzie.

Porozmawiali serdecznie, Gerard obiecał opiekę, ona ucałowała go w czoło, a potem zetknęły się ich usta.

– Jeszcze nigdy nie pocałowałam mężczyzny – rzekła. – Widocznie sam Bóg posyła panu ten czas. Nie bądź taki smutny i zamknięty w sobie. Wróci szczęście, wróci... Dobrej nocy!

Ucałowali się, on zabrał kapitana, solidnie skrepował, wsadził na konia, sam wsiadł na drugiego i wyjechali.

Nie miał czasu do stracenia, za pięć dni musiał wrócić. Przekroczył rzekę i popędził przez góry w kierunku południowo-zachodnim.

Podczas jazdy rozmyślał Gerard o tym, co ma czynić z więźniem. Chętnie by mu darował życie, bo był w dobrym humorze, ale roztropność kazała czynić co innego. Nad ranem spostrzegł, że kapitan dobrze siedział w siodle i patrzył spokojnie w dal. Gerard powiedział kim jest i stanowczo dodało, że czeka go śmierć za wszelkie niegodziwości, które popełnił i popełnić chciał. Po chwili kula Gerarda zakończyła kres jego żywota. Gerard zmówił zań „Ojczy nasz”, dosiadł konia i pognął do Chihuahua.

Musiał przedzierać się przez strażę. Przypiął konia w lesie i w nocy dostał się do miasta, które znakomicie znał. Przeskoczył przez płot jednego domu, zakwilił jak orzeł i na ten znak otwarły się drzwi, a jakaś kobieca postać zapytała:

– Hasło?

– Meksyk – brzmiała odpowiedź.

– A kto przybywa?

– Juarez.

– Czekać chwilę.

Gdy wróciła podeszła wprost do niego i rzekła:

– Tu masz ubranie; droga wolna.

Podąła mu habit zakonny, który naciągnął na siebie.

– Dzisiaj musicie bardzo uważać – rzekła. – Emilia zaprosiła do siebie majora. Przyjdzie za dwie godziny, obudzę cię wtedy.

Założył habit i poszedł na podwórze, a stąd dostał się do domku, którego drzwi otwarły się przed nim gościnnie.

Na jego spotkanie wyszła piękna kobieta.

Bezprzykładnie bujne, czarne włosy osadzone w formie korony na kształtnej głowie spadały aż do bioder, spływały wijąc się około czarujących kształtów. Nie można było uwierzyć, że natura jest zdolna stworzyć taką kobietę pełną doskonałości.

Podeszła do przybyłego, podała mu obie ręce i zawołała:

– Nareszcie, nareszcie kochany Gerardzie. Chodź, niech cię pocałuję!

Objęła go ramionami i z czułością całowała jego usta, a on nawet nie odpowiedział na jej pocałunek. Potem popchnęła go na sofę, a sama złożyła prześliczną swoją główkę na jego piersi.

Tak siedzieli oboje: on w starej, brudnej, krwią przesiąkniętej bluzie, ona zaś w przeźroczystej, jedwabnej sukni.

– Chciała pani wyjść, jak widzę – rzekł zimno.

– Tak, na dwie godziny na spotkanie towarzyskie, a potem oczekiwałam majora. Ale jeśli widzę ciebie, to nie muszę wychodzić. A wiesz, że ten brzydki kapitan na parę dni wyjechał, nie wiem dokąd.

– Nawet major nie wie, twój major?

– Nie. Trzeba się z tym udać do komendanta.

– A, co zaczął się już do ciebie zalecać?

– Naturalnie, ale jako wielka ryba, bardzo dyskretnie. Zaprosił mnie na jutro. Ty dzisiaj będziesz ze mną, a jutro podsłuchasz wszystko.

– Niemożliwe. Jeszcze tej nocy muszę wyjechać. Od wczoraj wieczora bez przerwy jechałem na nieosiadłym koniu i nie spałem wcale.

– Mój Boże! I musisz wracać. Wykończysz się!

– Wytrzymam. Mam żelazne zdrowie. Muszę jechać, bo pieniądze ze Stanów Zjednoczonych mają przyjść do nas.

– Pieniądze? Och, potrzebuję ich bardzo. Musisz bowiem wiedzieć, że prezydent od trzech miesięcy nie płaci mi. Uchodzę tutaj za bogatą i muszę prowadzić wielki dom, aby służyć waszej sprawie. Ale moja kasa jest próżna. Wiem, że Juarez musi cierpieć niedostatek, ale ja musiałam zaciągnąć pożyczkę. Ale długo tak nie potrafię.

– Prezydent, chociaż ogołocony zawsze posyła ci pieniądze. Umie cenić zasługi, jakie nam przynosi twoja uroda. Mam te pieniądze.

– Wspaniale! Chodź, pocałuję cię!

Widać było, że radość nie pochodziła z żądy posiadania, a z potrzeby.

– Nosilem pieniądze już dwa tygodnie, musisz mi wybaczyć, nie mogłem wcześniej przybyć. Masz pensję za pół roku. Zadowolona?

– Bardzo!

Wyciągnął pakiet z butów, ona przeliczyła.

– Znowu jestem bogata! Gerardzie, musisz mi sprawić przyjemność i przyjąć ode mnie jeden z tych papierów.

Trzymała w ręce stufuntowy banknot. Odsunął ją:

– Dziękuję, Emilio za twoje dobre serce, ale ja ich nie potrzebuję.

– Nie potrzebujesz? Popatrz tylko na siebie! Spojrzał po sobie, potem po buduarze.

– Aha, nie licuje z twoją komnatą, ale dla mnie zupełnie wystarcza. Zresztą powiem ci, że nie jestem taki biedny. Odkryłem w górach żyłę złota, więc dzięki ci za dar! Daj mi raczej jeść, bo jestem diabelnie głodny!

Zaśmiała się głośno, dźwięcznie.

– Z głodu mojego się śmiejesz? Pewnie. Panowie, którzy cię odwiedzają, marzą o piękności, szczęściu, zachwytach i miłości. Z końców twoich paluszków wysysają ambroję, z ust nektar, a ja, zwyczajny niedźwiedź, chcę jeść. To wielka różnica.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Cicho, niedźwiedziu! Wiesz, że jesteś mi miłszym tysiąc razy bardziej niż oni. W tobie widzę mężczyznę. Ale odrzucasz moją miłość, to przyjmij chociaż przyjaźń. Powiedz, co chcesz jeść?

– Przynieś mi kawał suchego chleba i nieco mięsa.

– I nic więcej? To człowiek!

Wyszła, jak królowa, a on patrzył za nią okiem politowania:

– A mimo to – rzekł – nie czuje się tak bardzo nieszczęśliwa, lubi zbytek, przepych i w tym jest szczęśliwa. Ale nie pomyślałbym nigdy, aby taki byk, jak ja, mógł się podobać tak ślicznej kobiecie. Miłość naprawdę jest dziwna!

Wróciła, on rzucił się na jedzenie z wilczym apetytem, ona mu się przyglądała...

Rozmawiali. Przypomnieli sobie dawne, dziecińne lata.

– Moi i twoi rodzice mieszkali w oficynie. Ja byłem silnym chłopcem, a ty taką małą, słodką dziewczynką. Potem poszedłem do kowala, a ty do szkoły.

– A kiedy skończyłam szkołę, ty zostałeś garoterem.

– Niestety. A kiedy porzuciłem garotę, ty zostałam gryzetską, dałaś się uwieść amerykańskiemu oszustowi i uciekłaś za morze.

– Porzucił mnie i popadłam w ogromną nędzę. Wtedy spotkaliśmy się w St. Louis nad rzeką. Chciałam się rzucić w wodę. Podszedłeś do mnie, poznaliśmy się i byłam uratowana. Pracowałeś dla mnie, dzieliliś ze mną wszystkim. Znalazłeś dla mnie miejsce u jednej damy, z którą przybyłam do Meksyku. Zawdzięczam ci i jeszcze więcej.

– Nie ma o czym mówić. Od tego czasu uczyniłaś dla mnie i dla mojej sprawy wystarczająco. Nigdy nie myślałem, że z ciebie taka dama wyrośnie. Emilio, jesteś piękna i wspaniała.

Odsunął talerz żeby się jej przyglądać. Ona usiadła mu na kolana i przytuliła głowę do jego czarnej brody.

– To wszystko nic. Chciałabym zostać twoją żoną choćby nawet krótki roczek, a potem umrzeć szczęśliwa.

– Nie pasujemy do siebie. Oboje jesteśmy w gorącej wodzie kąpani.

– Wiem. Każde z nas powinno się związać z kimś o spokojnym charakterze, bylibyśmy ze sobą nieszczęśliwi. Ale ja wszystko zawdzięczam tobie i nawet mą urodę. Ty jednak jesteś obojętny na moje wdzięki. Jesteś twardy. Raz wstąpiwszy na drogę cnoty, nie chcesz jej porzucić. Co mi więc pozostaje.

Była w tej chwili prześlizczona. Gerard odwrócił się, aby nie ulec sile jej wdzięków. Wiedziała, że nie osiągnie jego miłości. Odwróciła się i stanęła przy oknie, po chwili obojętnym głosem rzekła.

– Dziwna rzecz, ciągle cię kocham... ale mówmy o czymś innym.

– Dobrze. Wiesz, że mamy nowego pretendenta do prezydentury, niejakiego Pablo Korteja, z Meksyku.

– Tak, on był jednym z pierwszych, którzy współpracowali z Francuzami, on i Pantera Południa. Jak długo Juarez był potężny, Kortejo nie zdradzał się ze swych planów. Teraz sądzi, że mu się uda. Agituje w południowych prowincjach. Postępów jednak nie robi wielkich. Pantera Południa jest po jego stronie, a on ma wpływy. Sam Kortejo ma pieniądze, a najwięcej agituje za nim jego córka.

– Piękna? Młoda?

– Dlaczego pytasz?

– To ważne, tak, jak na przykład u ciebie.

– Seniorita Józefa jest wyjątkowo brzydka. Mimo to każe rozdawać swoje fotografie, bo kobieta jeśli chodzi o nią samą, nie jest obiektywna. Zresztą sam zobacz.

Przyniosła album, pokazała fotografię.

– Oto ona, ta sucha osóbką. Jak ci się podoba?

– Nadzwyczaj interesująca! Twoje przeciwieństwo, ale dosyć. Jakie znasz jeszcze nowości?

– Napoleon zaczyna układać się ze Stanami Zjednoczonymi, co do Meksyku.

– Czyli koniec kariery cesarskiej Maksymiliana?

– Chyba tak. Stany Zjednoczone nie zniosą żadnego cesarza w Meksyku. To stara sprawa. Sekretarz Stanów Zjednoczonych wysłał notę do swego posła w Paryżu, z protestem przeciw monarchii w Meksyku. Wtedy cesarz francuski wolał wojnę, teraz woli pokój. Najprawdopodobniej arcyksiążę padnie ofiarą układu... Więcej żadnych nowości nie mam. O, kapitanie wiesz więcej

niż ja. Ale teraz musisz się udać do swojej kryjówki; major jest bardzo punktualny. Masz klucze i latarnię, a ubranie już tam leży. Chciał wyjść, ale zatrzymała go jeszcze:

– Nie pożegnasz się ze mną nawet. Za godzinę pozbędę się majora: powiem, że mam migrenę.

Uściskał ją i wyszedł bocznymi drzwiami do małego pokoiku. Zapalił swoją latarkę i zobaczył przy jej świetle ubranie służącego, włożył je i nasłuchiwał.

Wkrótce usłyszał głosy, przybył major.

– *O Dios*, jaka jesteś dzisiaj piękna, seniorita! – zawołał.

– Schlebia mi pan, nie najlepiej się czuję.

– Jak to?

– Cały dzień dręczy mnie migrena. Myślałam nawet, że odwołam nasze spotkanie, ale pańskie towarzystwo może mi ulżyć, proszę usiąść.

Gerard był zadowolony. Wyszedł z komórki i udał się do mieszkania majora, znajdującego się w bocznym skrzydle tego samego domu. Wszedł do środka i przeszukał rzeczy. Musiał znaleźć coś ważnego, gdyż wyjął z szuflady papier i zaczął przepisywać jakieś notatki.

Po godzinie był gotów, poskładał wszystko jak było, zgasił latarkę, wrócił do siebie i ponownie podszedł do drzwi. Major chciał już widocznie wyjść, gdyż słychać było jak mówił:

– Jestem niepokieszony, że muszę już iść, kiedy będę mógł znowu panią odwiedzić?

– Za cztery dni, gdyż wtedy dopiero będę zdrowa. Major wreszcie wyszedł, a Gerard powrócił.

– Major był dzisiaj mało rozmowny, mało się dowiedziałam.

– A ja przeciwnie. Major ma u siebie ważne dokumenty i wie już o przesyłce Stanów dla Juareza. Jutro dwie kampanie wyruszą na granicę, aby ten transport przechwycić, tylko, że im się to nie uda. Dlatego muszę jechać

– Kiedy cię znów zobaczę?

– Myślę, że wkrótce, dobrej nocy – i wyszedł nie wiedząc o tym, że idzie wprost w ręce nieprzyjaciela.

Kiedy tu wchodził, spostrzegł go jeden ze strażników, ale sądził, że to jakiś zwierz. Dopiero przy blasku latarki ujrzał na piasku głębokie ślady i doniósł o tym komendantowi. Ten poważnie wziął się do dzieła, zbadał rzecz na miejscu i zastawił zasadzkę z piętnastu doskonale uzbrojonych ludzi.

– Nadchodzi! – szepnął ktoś w pobliżu.

Żołnierze zobaczyli postać, która chciała przemknąć ostrożnie obok. W tej chwili leżała na ziemi, przytrzymywana potężnie przez kilku ludzi.

Musiał się poddać, było ich za wielu. Broni nie próbował użyć, gdyż mogło to pogorszyć jego położenie.

– Puśćcie mnie, nie mam zamiaru uciekać!

Jeden z żołnierzy związał mu ręce. Ale Gerard wiedział, jak sobie z tym poradzić.

– Kim jesteś?

– Vaquero.

– Nie wyglądasz na takiego. Skąd przychodzisz?

– Z Chirokole. Odwiedziłem moją dziewczynę.

– Idziemy do komendanta.

Było ciemno. Gerard mógł uciec, gdyż jedno ramię już uwolnił. Ale jak uciekać bez dubelówki starej, wiernej towarzyszkii? Miał nadzieję, że znajdzie jakiś wykręt z tej całej afery.

Dotarli do komendanta, u którego odbywała się zabawa. Gerarda zaprowadzono więc do wartowni. Siedzieli tam podoficerowie i pili, a z nimi markietanka. O dziwo! Stojąc na progu Gerard poznał w niej dawną swą kochankę. Mignon!

Daleko zaszła!

– Macie go? – zapytał jeden z kaprali.

– Tak. Mówi, że jest *Vaquero* z Chirocote. Ale zdaje się, że kłamie.

Wtem markietanka wstała z kolan podoficera i spojrzawszy na pojmanego zawołała:

– *Vaquero*! Nie dajcie się oszukać! To kowal z Paryża, to Gerard, garoter!

– Garoter? A to mu się dostanie! Czy to prawda, co ta panienka mówi?

– Od kiedy ma u was wartość słowo ulicznicy?

– Ulicznicy? Ulicznicy? Obraził nas!

Nadszedł jakiś oficer i zapytał o przyczynę krzyku. Opowiedziano mu całe zajście.

– Ha, nie wiecie, kogo złapaliście! Jeśli to Gerard, to może Czarny Gerard! Odpowiadaj?

Duma obudziła się w Gerardzie. Nie chciał kłamać.

– Proszę mnie przeszukać, poruczniku!

– Mówi się „panie poruczniku”, rozumiesz? Zresztą wszystko mi jedno, czy się przyznasz.

Mówią, że kolba Czarnego Gerarda jest bardzo ciężka, gdyż ulana ze złota i pokryta ołowiem. Nią tak śmiertelnie uderza. Odebraliście mu broń?

– Tu mamy!

– Dajcie nóż. Ołów jest miękki, zobaczcie, czy jest pod nim złoto!

Gerard wiedział, że go zdemaskowano, bo oficer powiedział prawdę. Kolba jego była nie tylko bronią, ale i sakwą. Jeśli miał kiedyś coś zapłacić, to tylko nacinał kolbę.

– A do diabła, dlatego dubeltówka była taka ciężka! To złoto! – krzyknął porucznik.

– Tak, teraz idę do komendanta i sam mu powiem, kogo mamy.

Wyszedł, a oni milczeli z respektem; nawet markietanka zamyśliła się. Przypomniała sobie dawne czasy.

Porucznik wszedł do sali balowej i salutując oznajmił, że złapano Czarnego Gerarda.

Komendant aż podskoczył, goście zdziwili się wielce. Co za radość! Juarez stracił ogromnie na swej wartości, skoro utracił Gerarda! Ciekawi zobaczyć tego strasznego człowieka.

– Wprowadzić go do mojego mieszkania!

Nagle jedna z obecnych dam poprosiła, aby im pokazano sławnego bandytę. Kazał więc wprowadzić go do salonu i tu oglądano broń trapera, szczególnie ową strzelbę ze złotą kolbą powleczonej ołowiem. Wreszcie komendant oświadczył, że za liczne zbrodnie, dokonane przeciw Francuzom, skazuje Czarnego Gerarda na śmierć przez rozstrzelanie. Tego Gerard się nie spodziewał. Szybko wyrwał ręce zza pasa, którym był skrupowany, chwycił swą dubeltówkę, powalił nią strażników, a komendanta obalił na ziemię zamaszystym uderzeniem pięści.

Sam skoczył przez okno, popędził w stronę koni, dosiadł jednego z nich i w szalonym galopie rzucił się w stronę rzeki. Przepłynął ją i zniknął z oczu ścigających go Francuzów. Skierował się do Guadeloupy.

* * *

Lał rześisty deszcz, Pirnero siedział z córką przy oknie i swoim zwyczajem zrzędził, kiedy zjawił się Gerard i ociekając deszczem zamówił kieliszek julepu, a potem udał się na spoczynek, gdzie zaprowadziła go Resedilla wbrew woli ojca. Nie wiedział biedak, że gościł u siebie Czarnego Gerarda.

– Przebyłem dwieście mil w cztery dni, bez odpoczynku – powiedział Gerard do Resedilli.

Kiedy zasnął, Resedilla wsunęła się do pokoju, aby oglądnąć jego strzelbę. Wielka była jej radość, kiedy przekonała się, że strzelba rzeczywiście jest ciężka, a kolba ze szczerego złota.

– Przeczucie mnie nie zawiodło! Sam nie chciał się przyznać, jest zbyt skromny. Uszanuję jego tajemnicę – i wróciła do szynku.

Deszcz ciągle lał. Pirnero ciągle siedział przy oknie, gdy nagle przybył jakiś chudy gość, w lichych szatach, na małym, niepokaźnym koniku. Pirnero zobaczył go i postanowił nie dać mu więcej, niż kieliszek julepu, gdyż sądził, że biedak nie będzie mógł zapłacić.

– Zapłać pan naprzód ten kieliszek, dam panu drugi – rzekł do gościa.

– Uważa mnie pan za biedaka?

Sięgnął do kieszeni, wyjął skórzany woreczek i podał Pirnero pieniądze. Przy tym wyjął nugat wielkości orzecha. Uzgodnili jego wartość na dwadzieścia pięć dolarów, które Pirnero natychmiast wypłacił.

Gość urósł w oczach poczciwca.

– Przybywam z Lhano Estacado – rzekł obcy.

– Sam? – zapytał zdziwiony gospodarz.

– Naturalnie.

– To niemożliwe. Na to odważyć się może tylko bardzo śmiały człek!

– Hm!

Wreszcie rozgadali się. Przybysz był poszukiwaczem złota i pochodził z Niemiec. To ucieszyło starego Pirnera.

– Resedillo, przynieś wina, gdyż świętujemy. Rodaku, bądź moim gościem, nie potrzebujesz płacić! Ma pan rodzinę?

– Brata tylko, mieszka w Moguncji, jest pomocnikiem nadleśniczego w Kreuznach.

– Tak, tak! Ale czy pan sam żonaty? Nie smutno panu?

– Dziękuję, wcale. Mam inne obowiązki. Wie, pan, co znaczy polityk i dyplomata? To powiem panu, iż przybyłem tutaj, aby spotkać się z Czarnym Gerardem.

– A!

– Mówiono mi, że już tu jest. Spłatał Francuzom niezłego figla.

– Tak, złapali go, a on im uciekł! Opowiadał mi o tym myśliwy, który śpi u mnie.

– Dobrze, pomówię z nim rano, skoro się obudzi.

– Dobrze, a tymczasem pogadamy o naszych stronach.

Na drugi dzień rano Gerard pierwszy wszedł do izby. Resedilla przywitała go:

– Dobrze spałeś, senior?

– Lepiej niż dobrze. Dziękuję. Przez całą noc marzyłem o pani.

Zarumieniała się i wyszła po czekoladę. Niebawem wszedł Pirnero i pozdrowił myśliwego.

– Wyspał się pan?

– Pewnie.

– A pewnie, gdzie tak długo spać. Czy na prerii też śpi pan tak długo? W takim razie nie jest pan prawdziwym traperem, tylko mrówkojadem.

Pirnero był w kiepskim humorze, co odczuł na sobie Gerard.

– Straszna słota! – zaczął znowu Pirnero.

– Sądzę, że on tu nie przyjdzie.

– Kto?

– Jak to kto? Czarny Gerard! O kim mówię! Przecież na niego czekam. I jeszcze ktoś.

– Kto taki? Może pańska córka?

– Ta? Ani jej to w głowie! Niech będzie ich tysiąc. Ale myśliwy, który przyjechał wczoraj, kiedy pan już spał!

– I czeka?

– Tak, czeka. Przybył z Lhano Estacado. Oto i on!

Wszedł, pozdrowił wszystkich i przyglądał się Gerardowi. Widocznie spodobał mu się, bo usiadł obok i wszczął rozmowę.

– Wyspał się pan porządnie?

– Oczywiście!

– Długo pan tu zostaniesz?

– Może parę godzin, potem w góry!

– Sam?

– Sam.

– Uważaj pan. Tam mnóstwo czerwonych.

– To mnie nie obchodzi!

– Nie bądź pan taki lekkomyślny. Inaczej będziesz mówił, gdy cię złapią. Zna pan Czarnego Gerarda? Proszę mu powiedzieć, że jest tutaj ktoś, kto go oczekuje.

– A kiedy mnie zapyta, kto to taki?

– Powiedz mu pan, że oczekuje go mały André.

– Mały André? A więc to pan?

– Wprawdzie nazywam się Andrzej Stranbenberger. Francuzi wołają na mnie André, dodając słowo mały, gdyż nie jestem olbrzymem.

– Znam je, senior. Zresztą możemy gadać po niemiecku, chociaż jestem Francuzem. Nazywam się Mason.

W tej chwili Resedilla przyniosą trzy czekolady.

– Komu? Czy senior Mason także to zamówił? – krzyknął ostro Pirnero. – Zanim wypije, musi zapłacić!

Zaczerwieniła się, a Mason rzucił pieniądze staremu na stół. Mały André przyglądał się ze zdziwieniem tej scenie. Pokiwał głową i rzekł:

– Nie miej mu senior tego za złe! Jeśli rzeczywiście jesteś myśliwym, to wiesz, co uczyniłby prawdziwy traper w tym wypadku.

– Wiem, palnąłby panu Pirnero kulkę albo przebiłby go nożem.

– A czemu pan tego nie czynisz? Nie jesteś traperem.

– Być może. *Adieu*, senior!

Wszedł. W sieni spotkała go Resedilla.

– Mój Boże, ojciec znowu pana obraził. Ale proszę mu to wybaczyć i znowu do nas przyjechać.

– Jeszcze dzisiaj tu będę!

Ścisnął jej dłoń. Wszedł poważny, z jakimś postanowieniem. Miał punktualnie w południe spotkać się z Niedźwiedzim Okiem.

– Mój biały brat jest bardzo punktualny – rzekł Indianin na jego widok.

– Mój czerwony brat także – odrzekł zeskoczywszy z konia i podając rękę Indianinowi.

– Juarez ufa memu białemu bratu, który ma imię Czarny Gerard. Każe mi poprowadzić moich wojowników na Francuzów, którzy mają napaść na fortecę Guadaloupe. Mam pięć razy po stu wojowników.

– Na pomoc Francuzom idzie sześciuset Komanczów.

– Tak, ale oni nie od razu opuszczą swój obóz. Dowiedzieli się, że Juarez oczekuje na pieniądze, które mają być przewiezione przez pustynię Lhano Estacado. Podśledzałem ich naradę. Dzisiaj wyślę dwustu wojowników, aby odnaleźć ślady tych, co wiozą złoto. Ludzi pozabijają, złoto zabiorą Francuzi, a skalpy i resztę Komancze. Potem dopiero wyruszą, by napaść na Juareza.

– To bardzo ważna wiadomość. Muszę zaraz ruszyć do Lhado Estacado. Droga wiedzie przez Czarcie Góry. Jest tam ładny wąż i nim będą z pewnością przechodzić dzisiaj wieczorem lub jutro rano.

– Dobrze, moi wojownicy, synowie Apaczów, są tutaj. Wyruszyli. Zwyczajem Indian jeden jechał za drugim.

– *Uff!* Jeźdźcy. Ilu naliczył mój biały brat? – ozwał się Niedźwiedzie Oko, kiedy już byli u celu.

– Dwudziestu.

– Ja też. Ich uniformy błyszczą. Widzę również kobiety, sześć. Wielki duch odebrał im rozum i dlatego wloką ze sobą dziewczyny. A ślady zostawiają, jakby pędziła tędy gromada bizonów. Zginą. Za pół godziny będą w wąwozie.

Francuzi jechali bez zachowania jakichkolwiek środków ostrożności. Oddział składał się właściwie z dwudziestu wojskowych. Prócz tego dwóch mężczyzn w cywilu i sześć młodych dam, Meksykanek ślicznie siedzących w siodle, gdyż Meksykanki umieją jeździć konno.

Oficerowie rozglądali się na wszystkie strony, na przedzie jechał kapitan i porucznik. Rozmawiali szeptem o pięknych Meksykankach. Kapitan kochał się w ślicznej Zilli, porucznik w jej siostrze Pepi. Oficerowie w skrytości ducha musieli przyznać, że dziewczęta zakochane były w austriackich lekarzach, którzy w celach naukowych przyłączyli się do francuskiego oddziału.

– Jeśli spotkam jeszcze raz Pepi z tym lekarzem, to palnę mu w łeb!

– Ja to samo uczynię z lekarzem mojej Zilli.

– Słowo?

– Słowo!

Podali sobie ręce. Postanowili zgładzić lekarzy, z taką obojętnością, jakby chodziło o zajęce lub lisy.

Tymczasem obie śliczne Meksykaneczki siedziały w swoim namiocie i utyskiwały na los. Bowiem wiedeńscy lekarze nie reagowali jakoś na ich wdzięki, w przeciwieństwie do francuskich oficerów. Ale Meksykanki nie są łatwe do zdobycia, mają zatrute sztylety, przed którymi Europejczycy czują respekt.

Wieczorem, gdy obaj oficerowie, opowiadali o swoich spostrzeżeniach co do sióstr, koło ich namiotów biegali cicho Apacze, a Czarny Gerard podsłuchiwał rozmowę.

Zawzięli się obaj oficerowie na swych rywali. Padło podejrzenie, że Austriacy chcą zdradzić sprawę Francuzów.

Niebawem zapłonęły ognie, na skraju lasu ścięto dwa pnie i wbito je między ogniska. Przywiązano do nich lekarzy, zabrzmiała komenda i po dwóch minutach cała kompania z oficerami stała gotowa do strzału.

Obie siostry przybiegły na ratunek ukochanym. Dowiedziały się, że lekarze oskarżeni byli o spisek na życie marszałka Bazaina. Mieli zostać natychmiast rozstrzelani. Gorące Meksykanki nie mogły tego znieść.

– To kłamstwo! Są niewinni! Nie są zdrajcami! – wołała Pepi.

Rzuciły się w stronę uwięzionych i zasłaniając ich swoimi ciałami krzyczały:

– Stać! Kto nas dotknie, zginie! Nasze sztylety są zatrute kurarą!

Tymczasem z krzaków wyłonił się wysoki mężczyzna, a za nim Apacze.

Rozpoczęła się rzeź. Obu lekarzy i kobiety oszczędzono, Apacze nie wojują z białogłowami. Ocaleni mieli się udać z Apaczami i Gerardem do Guadaloupy.

* * *

Pirnero, kiedy przybył Gerard siedział na swym stałym miejscu.

– Dzień dobry! – powiedział przybysz..

Resedilla skłoniła główkę i zarumieniła się, stary zaś udał, że nie spostrzegł wchodzącego. Gerard popijał julep w milczeniu, ale Pirnero nie umiał milczeć, dlatego zaczął:

– Śliczna pogoda!

Nie odpowiedział mu nikt, więc zwrócił się do Gerarda i rzekł:

– No, jak. Czemu pan nie odpowiadasz, kiedy pijesz tylko jeden julep. Czy Czarny Gerard pija także jeden?

– O ile wiem, tylko jeden! Ale czy nie ma pan jakiegoś ubrania dla trapera?

– Mam, ale pan nie ma pieniędzy... Mimo to dam panu na próbę, abym wiedział, jak leży.

Wzrost masz znaczny. Tymczasem wszedł mały André.

– Ile kosztuje ten habit?

– Osiemdziesiąt dolarów wystarczy!

– Dla was tak, a dla mnie, niekoniecznie!

Gerard wyjął nóż, położył strzelbę na stole i rznął nożem parę razy w ciężką kolbę. Za trzecim razem wypadł spory kawałek szczerzego złota.

– A do diabła! – zawołał stary.

– A do kaduka! – krzyknął mały. – Senior, kim jesteś?

A on odbił jeszcze parę kawałków. Pirnero stał jak skamieniały.

– Senior Pirnero? – zapytał Gerard. – Czy ta strzelba jest naprawdę takim starym, niepotrzebnym żelastwem, jak mówiłeś?

Wtedy mały traper zawołał:

– Panie, jesteś Czarnym Gerardem, nieprawdaż?!

– Zgadł pan – odparł.

Pirnero załamał ręce i zawołał:

– O, jaki ze mnie osioł! Potrójny!

– Sądzę, że z pana to wielki dyplomata! – zaśmiał się Gerard.

– Hipopotamem jestem! – odpowiedział stary. – Ale ja ten błąd zaraz naprawię!

Chwycił córkę za rękę i doprowadził do Gerarda.

– Oto ona! A pan będzie moim zięciem! Resedilla zarumieniła się.

– Senior Pirnero, nie popełniaj pan drugiego błędu. Seniorita ma prawo wybrać męża, jaki jej się podoba.

– A kiedy przyjadą Apacze?

– To nie trzeba panu zięcia, do pomocy. Oni nie piją wódki. Kupią tylko ołów, noże, proch i nie wstąpią nawet do sklepu. Niedźwiedzie Oko sam wszystko kupi i rozdzieli między swoich ludzi.

– A to mnie cieszy.

Pirnero wyszedł, a wtedy Gerard porozmawiał z małym André na temat jego zadania.

– Transportujemy pieniądze dla Juareza, potrzebujemy pańskiej pomocy. Mam pięciuset Apaczów, oni je przewiozą.

Wreszcie usłyszeli tętent kopyt. Przybyli Indianie. Niedźwiedzie Oko wszedł do szynku, pozdrowił wszystkich i podszedł do Gerarda, który powtórzył to co dowiedział się od małego André. Potem traperzy pojechali do pobliskiej hacjendy, a Pirnero miał znowu spokój. Zwrócił całą swą uwagę na obu lekarzy z Wiednia i jał ich namawiać do żeniaczki.

Po południu wrócił Gerard z André. Wódz Apaczów chciał zaraz jechać na spotkanie transportujących pieniądze. Gerard także miał mało czasu na pożegnanie z Resedilla. Uczynił to w pokoiku, w którym ocalił ją od hańby. Oboje widocznie przypomnieli sobie tę chwilę, dziewczy-

na była wyraźnie zakłopotana. Spojrzała na wysoką postać z widocznym upodobaniem, bowiem nowy strój, jaki miał na sobie, uwidocznił męskie kształty.

– Nie myślałam, że senior tak prędko zechce nas opuścić – rzekła.

– Ja również, chciałem pozostać w fortecy aż do jutra.

– Czy wolno zapytać, gdzie jedziesz?

– Odpowiem otwarcie, bo nie boję się zdrady z pani strony. Udajemy się w kierunku rzeki Salado, by bronić transportu pieniędzy.

– Pan dowodzi?

– Niedźwiedzie Oko i ja.

– Czy mogę mieć prośbę? Chciałabym tylko ostrzec przed niebezpieczeństwami, jakie na pana czekają i bardzo prosić o unikanie ich.

– Będę ostrożny, seniorita. Ale dlaczego pani o to prosi?

Spuściła wzrok ku ziemi, on zaś chwycił ją za rękę i zapytał:

– Nie gniewa się pani, że ojciec nas dzisiaj skojarzył?

– O nie! – odrzekła cicho.

– A to, że odrzuciłem propozycję, naszego małżeństwa?

– O nie, senior, gdyby mój ojciec był tylko trochę inny.

– Rozumiem. Musi pani jeszcze dużo znieść i niejedno cierpkie słowo zdławić. Proszę być cierpliwą. Muszę odjechać i to zaraz. Czy wolno mi wrócić, seniorita?

– Proszę o to.

– Wkrótce?

– O tak.

Wpatrzył się w jej oczy, które zaszyły łzami, przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się. Jej piękna, pełna pierś spoczęła lekko na jego sercu, lekko objęła go za szyję, on zaś wyszeptał:

– Będę o tobie myślał, Resedillo.

– Ja również cię nie zapomnę, Gerardzie – odrzekła szeptem.

Namiętnie przycisnął jej smukłą kibić do piersi i począł całować jej włosy mówiąc:

– Bóg zapłać za dobre słowo, teraz mogę śmiało wyruszyć przeciwko Komanczom, bo wiem, że te piękne usta będą modliły się o mnie. Do widzenia, kochanie!

– Niech Bóg cię prowadzi!

Wyszedł. Przez okno widziała, jak dosiadał konia. Dumna była i radość wzbierała w jej sercu, a jednak musiała płakać. Dlaczego? Że odjeżdżał?

CENNY TRANSPORT

Trzy dni później długi szereg jeźdźców schodził z gór obok rzeki Pueros na wschód w kierunku wyżyn, gdzie płynęła rzeka Saldo. Cały oddział składał się z pięciuset Apaczów, na których czele jechał Niedźwiedzie Oko, Gerard i mały André, jako przewodnik.

Cała okolica była częściowo pokryta gęstymi krzakami i lasem, lecz w oddaleniu widniała otwarta preria. Skoro tylko pierwsi jeźdźcy dotarli na otwartą przestrzeń, wszyscy stanęli, by sprawdzić dalszą okolicę.

– Wódz Apaczów nie widzi wroga – rzekł Niedźwiedzie Oko do towarzyszy.

– Możemy śmiało ruszać dalej – potwierdził André, lecz Gerard począł przecząco kiwać głową.

– Jak daleko jeszcze do obozu? – zapytał.

– O zachodzie słońca dojedziemy – brzmiała odpowiedź.

– Teraz jest południe! Czy nie mówiłeś nam, że Komancze wysłali przednie straże?

– Sam je widziałem.

– Można więc przypuścić, że obóz jest już przez nich osaczony.

– To prawdopodobne.

– W tym razie będą uważniej patrzeć na wszystkie strony i łatwo mogą nas zobaczyć, gdy będziemy przejeżdżali.

– Masz zamiar kołować koło Loru?

– Tak.

– To ogromna strata czasu.

– Prawda, ale mam nadzieję, że osiągniemy cel. Zresztą ostro popędzimy konie.

– Mój biały brat ma rację – powiedział Niedźwiedzie Oko, zawrócił konia w lewo, a za nim pozostali jeźdźcy.

Po lewej stronie rozciągał się las, jechali więc za drzewami pędząc ile można konie. Żaden jeździec nie przerywał ciszy rozmową, tylko uderzenie kopyt końskich dudniło w lesie.

Koło czwartej po południu Niedźwiedzie Oko zatrzymał nagle konia bacznie sprawdzając dalszą drogę.

– Co widzi mój brat? – zapytał Gerard.

– Ślady stopy ludzkiej – odrzekł Appacha.

– Gdzie?

Niedźwiedzie Oko zeskoczył z konia, to samo uczynił Gerard.

– Czy widzi mój brat te pogniecione źdźbła trawy, które nie miały jeszcze czasu wyprostować się? – zapytał Niedźwiedzie Oko.

– Widzę, tu niedawno szedł człowiek.

– Przed niespełna dwoma godzinami – dodał mały André.

– Dokąd ślady prowadzą?

– Tutaj, skrajem lasu. Moi bracia niech idą za mną.

To rzekłszy chwycił wódz cugle swego konia i prowadząc go, podążał śladem.

Niedługo natrafili na nowy ślad. Wreszcie zobaczył Niedźwiedzie Oko złamany grot strzały, który uważnie oglądał.

– *Uff!* – odezwał się. – Komancze są w pobliżu. Wyruszyli na połów. Odkryłem ślady przeszło dziesięciu. Widocznie chcą upolować więcej zwierza. Moi bracia muszą być ostrożni.

Ślady stawały się coraz wyraźniejsze. Jakies pół godziny przed zachodem słońca, pierwsi trzej jeźdźcy stanęli, zmuszając tym cały oddział do postoju. Znajdowali się na skraju lasu. Przed nimi rozciągała się wyżyna, środkiem której płynął potok, a za nim stały namioty i konie przywiązane do kołków.

– Obóz – rzekł André.

– Ale osaczony – dodał Gerard.

W dole ujrzeni setki pasących się w bujnej trawie mustangów, a za nimi uzbrojonych Indian.

– Komancze! – rzekł Gerard.

– Spalili trawę – dodał Niedźwiedzie Oko. – Chcą by konie naszych braci padły!

Obóz był obleżony, a kilka trupów leżących w pobliżu świadczyło, że próbowano już na niego napaść. Liczba oblegających dorównywała przybyłym Apaczom, jeżeli ich nie przewyższała. Należało się naradzić co do dalszych kroków. Niedźwiedzie Oko rozkazał cofnąć się swym wojownikom dalej w głąb lasu, po czym grono starszych usiadło przy niezbędnej w takich okolicznościach, fajce. Wysłano kilku doświadczonych zwiadowców i czekano z zakończeniem narady aż do ich powrotu.

Po godzinie wrócili.

– Co widzieliście? – pytał wódz.

– Sześćdziesiąt razy dziesięć Komanczów i tyleż koni.

– *Uff!* A ilu białych?

– Cztery razy dziesięć i osiem.

– Do diabła – zawołał André. – To już dwunastu zgładzili.

– Tej nocy zginie ich więcej – odezwał się jeden ze zwiadowców.

– Dlaczego? – zapytał Gerard.

– Bo synowie Komanczów o świcie chcą znowu napaść.

– Skąd to wiesz?

– Słyszałem. Od dwóch wojowników stojących pod drzewem.

– Dobrze, uprzedzimy ich.

– Zdaje się, że moi towarzysze już parę dni są obleżeni – rzekł André.

– Mieli zapasy?

– Małe.

– Czyli, że konieczna jest szybka pomoc. Co na to powie mój czerwony brat?

– Jak tylko Komancze napadną na naszych białych braci, uderzą na nich Apacze.

– Czy to rozsądne?

– Zna mój biały brat coś lepszego?

– Myślę, aby w ogóle do ataku na obóz nie dopuścić, bo choć ich łatwo możemy zaskoczyć z tyłu, to obóz i ludzkie życie wystawiamy na niebezpieczeństwo.

– To co mój biały brat chce zrobić?

– Zaczekajmy tu do nocy, potem na dany znak uderzymy na nich bez krzyku, tylko z nożami i tomahawkami. Zanim spostrzegą co się stało, połowa ich będzie wybita.

Niedźwiedzie Oko zamyślił się chwilę po czym rzekł:

– Mój biały brat dobrze myśli. Co wskaże chwilę naszego napadu?

– Ogień rzucony w górę.

- Gdzie?
- W obozie naszych przyjaciół.
- Jak oni mogą nam dać znak, skoro nie wiedzą że tutaj jesteśmy?
- Dowiedzą się. Ode mnie.
- *Uff!* Mój brat chce się do nich dostać?
- Tak – rzekł Gerard.
- To niebezpieczne! – ostrzegł André.
- Nie dla mnie – odpowiedział Gerard.
- Mój biały brat umie się lepiej prześlizgiwać przez strażę niż wąż – odezwał się wódz Apaczów.

Mały André próbował go jeszcze odwieść od pomysłu, ale na próżno. Gerard pamiętał wprawdzie o przyrzeczeniu danym Resedilli, ale wprawa i odwaga nie czyniły tego przedsięwzięcia niebezpiecznym.

Jak tylko zapadła noc poczynił odpowiednie kroki. Kazał pozostałym, o ile możliwości połapać wszystkie konie Komanczów.

Tymczasem przywódca oblężonych, generał Hannert i kilku oficerów siedziało w milczeniu przy ognisku, dalej na uboczu siedziała reszta żołnierzy, a wszystkich pilnowali strażnicy.

W pobliżu ogniska leżały pakunki, siodła i kosze pełne worków z pieniędzmi. Dalszy plac zajęty był końmi. Cisza i smutek panował w całym obozie.

Wreszcie generał przerwał tę martwość.

- Do licha! – rzekł głośno. – Ciekawy jestem co się stało z naszym André?
- Czy go gdzie przypadkiem nie schwytali?
- Możliwe, ale w takim razie jesteśmy zgubieni.
- My nie, generale.
- Ale nasz transport, nasze pieniądze!
- Zaczekajmy do jutra!
- Do jutra! Ha! Konie pod nami padną, tak są osłabione.
- A co nam innego pozostaje?
- Tylko jedno. Jutro rano i tak te czerwone diabły zechcą nas odwiedzić. Musimy ich uprzedzić.

– My mamy iść do nich?

– Naturalnie.

– Spróbujemy się przebić?

– Tak.

– Bez powierzonych nam pieniędzy?

– Z pieniędzmi.

– Ale nasze konie są za słabe.

– Dosiądziemy innych.

– Których?

– Komanczów! Mój plan jest następujący: każdy zabierze ze sobą tyle pieniędzy ile potrafi pomieścić, potem ściśniętym szeregiem przebijemy się przez nieprzyjaciela, aż do ich koni. Po trafimy się do nich przedostać, to będziemy uratowani.

– Szalony zamiar.

– A kto zna lepszy?

– Ja!

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku, skąd ta nagła odpowiedź zabrzmiała. Tam stał wysoki, silny mężczyzna z twarzą okoloną gęstym zarostem. Nikt go nie znał. Skąd się zjawił? Czyżby przedostał się przez strażę?

Zdziwienie malowało się na wszystkich twarzach. Generał pierwszy się opanował i mierząc go od stóp do głowy zapytał:

– Coś pan za jeden? Skąd przychodzisz?

– Mały André przysłała mnie! – odrzekł – Prześlizgnąłem się przez strażę obozu.

– Do stu piorunów! To szalona odwaga, to potrafi tylko prawdziwy myśliwy! – zawołał generał z podziwem. – I nie zobaczyli pana?

– Ani Komancze, ani pańskie strażę – odparł obcy.

– To rzeczywiście dzieło nie lada! Kim pan jest?

– Ten którego się spodziewacie.

– Ten, którego się spodziewamy? Ha! Co prawda oczekuję jednego, który przez wszystkie strażę świata przedostać by się potrafił. To Czarny Gerard.

– To ja, generale.

Słowa krótkie i proste powiedziane bez cienia dumy, wywołały małe zamieszanie. Generał wstał a inni otoczyli nieznanego kołem.

– Co? Jak? Pan jesteś Gerard? – pytał jednym tchem generał.

– Tak jest.

– Dzięki Bogu! Witaj dzielny druhu! Jak pan widzi znajdujemy się w krytycznym położeniu, ale przybycie pana przywraca nam nadzieję. Więc mały André pana odnalazł?

– Tak jest.

– W Guadaloupe?

– Tak.

– Czy znajduje się gdzieś w pobliżu?

– Tak, od kilku godzin jesteśmy ukryci w tym lesie.

– Dlaczego nie przyszedł razem z panem?

– Generale, przekradanie się przez sześciuset Komanczów stojących pod bronią nie jest takie łatwe. Zresztą lepiej się stało, że został przy Apaczach.

– Przy Apaczach? Przyprawdziliście ze sobą Apaczów?

– Tak, pięciuset.

– Chłopcy, Bogu dzięki, jesteśmy uratowani! – rzekł generał.

– Spodziewam się – odparł Gerard. – Właśnie ułożyliśmy z Niedźwiedzim Okiem plan waszego uratowania.

– Apaczom przewodzi Niedźwiedzie Oko?

– Tak.

– To możemy być zupełnie spokojni, że plan się uda. Na nim możemy śmiało polegać jak się pan z nim spotkał?

– Od dawna jesteśmy przyjaciółmi. Zresztą zawarł przymierze z Juarezem, więc Komanczów i Francuzów uważa za wrogów. Zapewne już rozpoczął ze swoimi wojownikami otaczanie obozu.

– Czy nie byłoby lepiej poczekać z tym do świtu?

– Z rana miał się odbyć napad Komanczów na wasz obóz. Wprawdzie odwrócilibyśmy niebezpieczeństwo, ale ten napad kosztowałby życie paru pańskich podwładnych. Zresztą musielibyśmy walczyć z silnie uzbrojonymi Komanczami, podczas gdy teraz leżą jak barany przygotowane na rzeź, nie przeczuwając nawet, co nad nimi zawisło. Właśnie przesuwalem się przez ich czaty, więc mogłem się przekonać, że nie przypuszczają nawet, jakie im grozi niebezpieczeństwo. Apacze okrążają ich i na dany przeze mnie znak, napadną na nich.

– To wyśmienite! Musimy im pomóc.

– Proszę tego zaniechać. Nie wiem, czy w ciemnościach pańscy żołnierze mogliby odróżnić Komanczów od Apaczów, a taka pomyłka mogłaby nas wiele kosztować.

Jeden starszy myśliwy, stojący obok zabrał głos:

– Proszę mi wierzyć, że potrafię tych psich synów odróżnić. Mam stać z założonymi rękami i przypatrywać się, jak tym łotrom Apacze skóry garbują, kiedy przede wszystkim ja mam z nimi porachunki!

Nie potrafię.

Gerard skinął głową, mówiąc:

– Mówiłem tylko o żołnierzach, nie o myśliwych. Ci ostatni z pewnością się nie pomylą, o to jestem spokojny.

– Znakomicie! Kiedy zaczynamy? – pytał stary.

– Za godzinę. Musimy dać czas Apaczom, by każdy dotarł tak daleko, aby potem na dany znak, jednym skokiem znalazł się przy wrogu. Proponuję myśliwych umieścić jako strażę, w chwili, gdy się na dole zacznie walka, mogą pokazać, co umieją.

– Tak się stanie – rzekł generał. – Zaraz wydam odpowiednie rozkazy, a potem omówimy inne sprawy.

Straże zostały zluźnione i zastąpione doświadczonymi myśliwymi, po czym znowu usadowili się przy ogniu.

Przybycie Gerarda wlało otuchę w żołnierzy. Generał po wydaniu rozkaz usiadł obok niego i spytał:

– Co będą Apacze robić po porażce Komanczów?

– Będą służyć jako straż pańskiego transportu – odrzekł Gerard.

– To dobrze, ale muszą się uzbroić w cierpliwość.

– Dlaczego?

– Bo nie możemy tego miejsca opuszczać dopóki nasze konie nie przyjdą do sił. Przez kilka już dni nie jadły, zaledwie wody starczyło.

– Proszę się o to nie troszczyć! Jeszcze tej nocy musimy wyruszyć dalej.

– Tej nocy niemożliwe! – przerwał generał.

– Pańskie konie nie są potrzebne, wydałem odpowiednie rozkazy, by wyłapano konie Komanczów, więcej nam nie trzeba. Pańskie konie proszę zostawić tu, w dolinie. Śladów naszych, nie da się ukryć pomimo ostrożności. Łatwo będzie nas dopędzić.

– Wyruszymy do Guadaloupe, by tam odstawić pieniądze?

– Nie, to zły pomysł. Musimy dostarczyć pieniądze wprost do Juareza!

– To trudne zadanie. Którąkolwiek drogę obierzemy, musimy ogromnie kołować.

– Proszę być spokojnym, przy południowym źródle czerwonej rzeki spotkamy Apaczów z wypoczętymi końmi i będziemy mogli galopem przebyć krainy Komanczów, zanim wyślą za nami pogoń.

Wszystko dokładnie omówiono. Tymczasem minęła godzina, więc Gerard nakazał ostrożność, wyjął z ogniska płonące polano i podrzucił wysoko w powietrze. Zdawało się, że zagaśnie, lecz w chwili, gdy osiągnął najwyższy punkt, rozżarzył się na nowo i zabłysnął pełnym ogniem wśród ciemnej nocy. Musiano go dostrzec.

Na skutek nie trzeba było długo czekać. Zaledwie płonące drzewo dosięgło ziemi, rozległ się straszny, mrozący krew w żyłach krzyk.

Gerard pobiegł do przednich straży. Tam czekali na niego myśliwi ze strzelbami gotowymi do strzału.

– Dalej! – krzyknął. – Kto ma ochotę, naprzód! Na wroga! Nie potrzebował nikogo zachęcać. Wszyscy ruszyli naprzód jak lawina. Gerard powrócił do ogniska, gdzie wyznaczono punkt orientacyjny.

Wśród strasznych wrzasków odezwały się pojedyncze strzały. Gerard nadśluchiwał z uwagą, generał zapytał:

– Czy powątpiewa pan w zwycięstwo Apaczów?

– Ależ skąd – odrzekł – Co do zwycięstwa nie mam wątpliwości. Chcę zbadać, czy przypadkiem stampedo nie usłyszę.

– Co to takiego stampedo?

– Pod tym słowem rozumiem się spłoszenie całej masy koni, a to dla nas ważne, czy konie Komanczów nie rozerwą pęt.

– O, lassa Indian nie prędko dadzą się zerwać!

– To prawda, a jednak zdarza się, że konie spłoszone odgłosami walki, rozrywają sznury. Zresztą paru uciekających może dotrzeć do koni i próbować ucieczki. Na szczęście nie słychać tętentu.

– Wszak pan dał odpowiednie instrukcje Apaczom?

– Naturalnie... a to co?!

Nagle zjawił się Niedźwiedzie Oko. Ze skrwawionym tomahawkiem za pasem, z nożem w prawej i paru świeżymi skalpami w lewej ręce, w jaskrawym świetle ognia wyglądał jak duch prerii, o którym niesie podanie, że biega po sawannie, z bronią krwią zbrozoną i świeżymi skalpami.

Rzuciwszy spojrzenie na generała, zwrócił się do Gerarda:

– Mój biały brat obmyślił wyborny plan.

– Zwyciężyliście? – spytał Gerard.

– *Uff!* – odparł woź. – Apacze tylko zwyciężają. Nieprzyjaciel tak dobrze został otoczony, że ani jeden nie zdołał ujść.

– A konie?

– Stoją tam, gdzie stały.

– To dobrze. Możemy je zaraz zamienić i jeszcze tej nocy puścić się w drogę.

– Co to za biała twarz siedzi koło ciebie?

– Generał Hannert, a tu leżą pieniądze, które transportuje do Juareza.

– To dzielny człowiek, długo potrafił się bronić przed Komanczami i tyle napadów wytrzymał. Muszę z nim wypalić fajkę pokoju.

Właśnie wracali Apacze poobwieszani zdobyczą i skalpami wrogów. Straszny to był widok. Taka scena nie da się opisać. Dość powiedzieć, że zwycięstwo było zupełne. Sześciuset Komanczów leżało we krwi. Oblężeni Amerykanie byli wolnymi, skarby uratowane. Niedługo wyruszą w dalszą drogę.

CESARZ MAKSYMILIAN

Gdy Ferdynand Cortez zdobył Meksyk, król Hiszpanii z wdzięczności obiecał, że spełni jego każdą prośbę. Chytremu Hiszpanowi przemknęła po głowie historia królowej Dydony, założycielki Kartaginy. Niewiele się namyślając, uczynił to samo i poprosił o taki kawał kraju, jaki można było objąć skórą krowy. Prośba jego została wysłuchana tym bardziej, że się wydawała nadzwyczaj skromna. Wówczas Cortez wybrał największą skórę, pociął ją w paski tak cienkie, jak włos i ograniczył nią taką przestrzeń, o jakiej królowi nawet się nie śniło.

Miasto, które na niej zostało zbudowane, dotrwało aż do dzisiejszych czasów.

Nazywa się na pamiątkę owej przebiegłości założyciela, Cuernavaca, czyli „krowia skóra”.

Stary zamek, to wielka, czterograniasta zabudowa o licznych ozdobach architektonicznych. Obecnie w niczym nie przypominała dawnej świetności.

Miasto małe i jak wszystkie miasta meksykańskie, zbudowane dość regularnie. Naturalnie nie ma bruku, oświetlenia gazowego ani elektrycznego, wszędzie panuje brud.

I właśnie w tym tak niepozornym, małym mieście mieściła się prywatna, letnia rezydencja cesarza Maksymiliana.

Miasteczko leżało niecałe trzydzieści mil od stolicy Meksyku, w osłoniętej od wiatrów dolinie, charakteryzowało się bujną, podzwrotnikową roślinnością. Nic więc dziwnego, że je sobie cesarz tak upodobał i że postanowił tam założyć letnią siedzibę. Każdą chwilę wolną od spraw państwowych spędzał tam w swojej willi, by znaleźć tak potrzebny spokój. Tutaj pracował jego bystry umysł, bez ustanku wymyślając coraz nowe reformy dla dobra poddanych.

Willa cesarza była bardzo skromna, ale za to jej otoczenie wspaniałe. Wielki ogród dałby się chyba porównać z rajem. A przecież była tam tylko natura, ale co za natura! Ręka ogrodnika nie dotknęła tego różanego Eldorado. Wysokie, sięgające dachu kaktusy, potężne palmy najróżnorodniej szych gatunków. Dzikie cytryny i pomarańcze, pojedynczo stojące majestatyczne cyprisy, wszystko to otaczały łąki z najpiękniejszymi kwiatami.

Tu i ówdzie ścieżki z trudnością przebijały się przez morze kwiatów. Wszędzie panowała cisza przerywana tylko koncertem ubarwionych śpiewaków. Był to jednym słowem raj, o jakim marzyć i śpiewać potrafiłyby chyba tylko Hafis, ów sławny perski poeta, śpiewak miłości i róż.

Po jednej ze ścieżek spacerował cesarz Maksymilina w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego ubiór błyszczał od złota.

Mężczyzna był niskim brunetem, sprawiającym wrażenie silnego. W oczach jego błyszczał ów dziwny ogień południowca.

Był to generał Majja, wierny i oddany towarzysz cesarza, który później razem ze swoim władcą, został rozstrzelany.

Obaj byli zajęci jakąś ważną rozmową.

– Zbyt czarno malujesz to wszystko, kochany generale – rzekł cesarz zrywając kwiat róży.

– Dałby Bóg, żeby jego cesarska mość się nie mylił, ale chciałbym dożyć chwil, gdy bez strachu będzie można mówić to co się czuje.

Cesarz spojrział na generała i spytał:

– A dlaczego tak nie mówisz, generale?

Majja spuścił wzrok, a wreszcie odrzekł półgłosem:

– Bo majestat mego pana na to nie pozwala. Maksymilian z pewnym odcieniem smutku w głosie odrzekł:

– Czyż mój majestat jest tak wielki i straszny? Nie przypuszczałem. Tutaj, w Cuernavaca nie jestem cesarzem, tylko prywatną osobą.

– To wielka łaska cesarskiej mości i za to bardzo jestem wdzięczny. Jednak i prywatnej osobie nie można mówić tego, co by cesarza ubodło lub obraziło.

Cesarz położył rękę na ramieniu generała i rzekł:

– Mów, tylko bez ogródek, zaręczam generale, że cesarz się nie obrazi.

– Pozwalam sobie wątpić.

– Tak, rozkazuję więc panu!

Tych parę słów wypowiedział z taką energią, że dalszy opór był wykluczony, przeto generał rzekł:

– Dobrze, będę mówił otwarcie, nawet pod groźbą utraty łaski mego władcy.

– Mojej łaski proszę być pewnym i proszę mnie uważać za swego przyjaciela, któremu należy mówić prawdę, choćby była gorzka. Mówiliśmy właśnie o moich nowych planach, lecz pan się ze mną nie zgadzał.

– Niestety, nie mogłem!

– Dlaczego?

– Jego cesarska mość jest wielkim władcą, ale co do tutejszych stosunków, znajduje się wasza cesarska mość na zupełnie nieznanym terenie.

– Chce pan powiedzieć, że muszę zachować więcej ostrożności, że muszę się wystrzegać nagłego działania?

– Mniej więcej. Mam na myśli nowego młodego nauczyciela, który, nie znając uczniów, zaraz w pierwszych godzinach zaprowadza reformy.

– Dziękuję – odparł cesarz, z lekkim uśmiechem.

– Proszę o wybaczenie. Ale to wasza cesarska mość powiedziała, że najwyższą rozkoszą dla władcy jest być nauczycielem, kierownikiem swego ludu. My żyjemy w kraju, którego ziemia tyle razy sphywała krwią, żyjemy otoczeni ludźmi, których okrucieństwo jest ogromne, a do tego dopiero ustalamy normy i prawa. Gdy Chrystus wjeżdżał do Jerozolimy, cały lud wołał: „Hosanna”; lecz trzy dni później ten sam lud nie zawahał się ukrzyżować go!

Słowa te, zrobiły wrażenie na cesarzu. Spuścił głowę i dopiero po paru minutach przerwał milczenie:

– Masz pan na myśli mój triumfalny wjazd do Meksyku?

– Tak. Kto pana witał? Tutejszy lud? Nie! Francuzi i ich stronnicy. Wszystkie te okrzyki i oznaki radości, to wszystko było sztuczne, opłacone. Czy jego cesarska mość myśli, że Francuzi zdołają się tu utrzymać, że zrosli się już z tutejszym ludem? Niemożliwe. Czy udało się Napoleonowi zdobyć Hiszpanię? W Meksyku będzie podobnie. Francuzi nie mają tu pewnego gruntu pod nogami. żyją na wulkanie. Choćby Napoleon miliony swoich żołnierzy tu przysłał, jeden wybuch wulkanu zmiażdży ich na proch!

– Zaiste piękna perspektywa! – zawołał cesarz.

– Ośmieliłem się przedstawić ją celem ostrzeżenia. Władca Meksyku nie może być zależny od Napoleona. Swą moc i potęgę musi czerpać ze swojego kraju i ludu. Nie wolno mu innym zawierzając, nie wolno mu marzyć i pobożać. Do swego kraju musi wejść z mieczem w rękę, ale nie z

łagodnymi reformami. Meksykanie to dziki, nieokiełznany żywioł, który igra z niebezpieczeństwem, Nie można okazywać im łagodności, przeciwnie, należy mocno ująć ich w ryzy.

Generał zapalił się, mówiąc prawdę zapomniał, że ma przed sobą cesarza. Słowa te dyktowało mu jego szczere serce.

Cesarz szedł obok w milczeniu, ze spuszczoną głową i z troską na twarzy, nie dając niczym poznać, że słowa generała dotknęły go.

– Meksykanie nienawidzą Francuzów – ciągnął dalej Mejia. – Nic więc dziwnego, że nie pokochali tego, którego im Napoleon przeznaczył na władcę.

– Generale! – zawołał cesarz. – To chyba za wiele? Proszę ze mnie nie robić marionetki Francuzów.

– Wiem, że nie powinienem tak mówić, lecz przytaczam tu tylko zdanie innych.

Czoło cesarza zmarszczyło się nagle.

– Czyje?

– Przede wszystkim Meksykan.

– I kogo jeszcze?

– Samych Francuzów.

– To niemożliwe

Twarz cesarza zdradzała zwątpienie, lecz Mejia odparł:

– Słyszałem to ze sto razy i ręczę słowem honoru.

– Francuzi...

– Tak i to nawet wysoko postawieni oficerowie.

– Mój Boże.

Maksymilian załamał ręce i wznosił oczy ku niebu. Mejia zauważył to. Brwi zmarszczył groźnie, wargi zacisnął i rzekł:

– Chciałbym, być cesarzem!

– A to dlaczego?

– Wówczas prosiłbym Meję, by mi powiedział, co mam robić?

– Proszę więc, powiedz.

– Po pierwsze chwyciłbym za szpadę i wypędziłbym wszystkich Francuzów z Meksyku, bo zasłużyli na to.

– Generale! Jako żołnierz wie pan najlepiej, że to niemożliwe.

– Przeciwnie. Niech tylko jego cesarska mość spróbuje, a pozna, że to bardzo łatwe.

– Zdziwiasz mnie pan!

– Proszę tylko odwołać się do mych rodaków, a staną za cesarzem, jak jeden mąż. Wówczas pozna lud, że ma władcę, że ma cesarza, który umie w chwilach stanowczych chwycić za oręż. Wówczas dopiero lud skłoni głowę przed majestatem cesarskim, szczerze, bo pozna swego pana.

Maksymilian potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Nie podzielam twego zapału, generale. Czy zapomniałeś o Juarezie, o Panterze Południa, o tych wielu udzielnych książętach, którzy kopią doły pode mną, którzy czekają tylko na stosowną chwilę, by tron zagarnąć w swoje ręce. A co robią Anglicy, Stany Zjednoczone, Hiszpania? Zresztą, zapomniał pan o moich zobowiązaniach wobec Francji?

– Cóż! – przerwał mu generał. – Czyjego cesarska mość spodziewa się, że Francja dotrzyma układów? Meksykiem można rządzić tylko z pozycji siły. Kto ma dosyć siły, by te pojedyncze bandy w jedno zespolić, by bez pardonu obrozę im na karki włożyć, ten będzie władcą, przed którym schylą czoła. Dopiero jego następcom wolno będzie miecz na palmę zamienić.

– Ale ja muszę liczyć się z opinią innych państw.

– A co mogą zrobić dyplomaci wobec faktów dokonanych?

– A Juarez, mój główny przeciwnik?
– To jeden z tych małych generałów, którzy strzygą owce dla wełny, podobnie jak na przykład ów Kortejo...

– Aha! Ten, co się obecnie sprzymierzył z Panterą Południa?

– Tak, Pablo Kortejo, który rozsyła fotografie swej córki, by zyskać sprzymierzeńców.

– Czy widziałeś generale te fotografie, bo ja jeszcze nie – rzekł cesarz z uśmiechem.

– Nie? To się dobrze składa, gdyż mogę służyć jego cesarskiej mości – sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął etui.

– Ma pan przy sobie tę fotografię? – spytał cesarz, i z uwagą obejrzał wręczoną podobiznę, a potem z odcieniem smutku w głosie zauważył: – Biedna dziewczyna!

Mejia znowu ścisnął brwi. Kochał cesarza, ale jako człowiek czynu nie mógł znieść nadmiaru łaski, więc odrzekł z naciskiem:

– Biedna? Ja jej nie żałuję. Ta dama się ośmiesza. W gruncie rzeczy jest intrygantką, do tego niebezpieczną. Trzeba koniecznie ją unieszkodliwić.

– Uważa pan, że jej ojciec jest niebezpieczny?

– Naturalnie.

– Jako pretendent do tronu?

– Nie, ale niebezpieczny jest każdy, czy to mężczyzna, czy to kobieta, gdy tylko występują przeciw memu cesarzowi.

Chciał dalej mówić, ale usłyszeli za sobą szybkie kroki. Nadchodził kamerdyner cesarza, Grill, który w Cuernavaco pełnił rolę ochmistrza.

Cesarz ucieszył się jego widokiem, gdyż mógł przerwać tę gorzką rozmowę.

– Co nowego? – zapytał cesarz.

– Proszę wybaczyć, cesarska mość! Przybył pan marszałek – zameldował Grill.

– Bazaine?

– Tak i prosi o audiencję.

– Zaraz przyjdę, czy mam cię pożegnać, generale?

Dobrze wiedział, że ci dwaj byli zaciekłymi wrogami.

– Przeciwnie, ośmielam się prosić, by mi jego cesarska mość pozwoliła zostać, naturalnie jeżeli nie będą poruszane sprawy państwowe.

Cesarz skinął głową.

– Dobrze. Myślę, że się coś ważnego musiało zdarzyć, że marszałek przyjechał aż do Cuernavaca, gdyż nie lubi tego miejsca.

Bazaine w galowym mundurze na widok Maksymiliana złożył wprawdzie głęboki ukłon, lecz wprawne oko mogło być poznać, że nie był to ukłon pełen szacunku. Na jego twarzy można było wyczytać zbyt wiele pewności i poczucia własnej siły.

– Wasza cesarska mość, proszę o wybaczenie, że pozwałam sobie zakłócać jego spokój.

– Jest pan zawsze miłym gościem, kochany marszałku.

– Tym gorzej dla mnie, gdyż przynoszę nieprzyjemne nowiny.

– Muszę przyznać, że od pewnego czasu, tylko takie pan przynosi, więc mnie to zbyt nie dziwi.

W słowach tych ukryta była ironia, lecz oblicze cesarza było tak pogodne, że marszałek, nie mógł się obrazić, odpowiedział więc tylko:

– Czy cesarska mość każe mi natychmiast złożyć raport?

– Tak, proszę.

– W obecności generała?

To mówiąc spojrzął na Meję nieprzychylnie. Jednak oddał mu sztywny ukłon. Pytanie było właściwie nietaktem wobec władcy i generała, lecz żaden z nich nie dał poznać po sobie, że to zauważył.

- Czy chodzi o jakieś tajemnice? – zapytał cesarz.
- Przeciwnie, to całkiem jawne sprawy.
- To proszę zaczynać.
- Chodzi o tego Pablo Kortejo, o którym już kilka razy wspominałem.
- Tak, przypominam sobie.
- Ten człowiek był dotychczas tylko śmieszny, lecz obecnie zaczyna być niebezpieczny. Podburza...

– Tak, gdzie! – przerwał cesarz ze zdziwieniem.

– Nawet w samej stolicy jedna sobie ludzi, rozsyłając na wszystkie strony swoich agentów.

Zawarł sojusz z Panterą Południa.

– Wiem o tym.

– Właśnie otrzymałem wiadomość, że Pantera Południa otrzymał kilka tysięcy strzelb, wielką ilość prochu i kuł. Przywiózł to jakiś amerykański żaglowiec.

– Gdzie miał miejsce wyładunek?

– W Guazacalco, ale statek uciekł.

– To znak, że prezydent Stanów Zjednoczonych wkracza do akcji.

– Powiadomię o tym Napoleona.

– Wątpię, czy cesarz zajmie się tą sprawą – dodał Maksymilian.

Marszałek zignorował uwagę i kontynuował:

– Jestem przekonany, że ten transport broni ma związek z Kortejo, zwłaszcza, iż ten ośmielił się nawet afisze rozklejać na ulicach.

– Tego już za wiele! – odezwał się cesarz. – Gdzie to się stało?

– W stolicy. Wydałem niezbędne rozkazy, po czym przyjechałem tutaj, by plan mój, który miałem zaszczyt już raz przedstawić jego cesarskiej mości, powtórnie przedłożyć.

– Który plan ma pan na myśli?

– Dotyczy Korteja. On sam przebywa wprawdzie na południu, ale córka jego mieszka w Meksyku i bezkarnie konspiruje przeciwko rządowi i władcy.

– Ale ja nie będę walczył z kobietami.

– Ja również – odrzekł marszałek. – Nie chciałbym tylko takiej jawnej zdrady pozostawić bezkarnie. Czy wolno mi jeden z porozlepianych po mieście plakatów przedstawić jego cesarskiej mości?

– Tak, proszę.

Marszałek wyciągnął z kieszeni zwinięty papier i podał cesarzowi. Maksymilian zaczął czytać, podczas gdy Bazaine uważnie go obserwował. Gdy po pewnej chwili twarz cesarza zachmurzyła się, na ustach Francuza zamigotał przelotny uśmiech. Widać było, że tylko dlatego sam przywiózł papier, by mieć tę satysfakcję.

Po przeczytaniu cesarz podał plakat generałowi.

– Mejja! Proszę przeczytać!

Do wszystkich dzielnych Meksykan i wolnych Indian!

Nieprzyjaciel wtargnął do naszego kraju. Od dłuższego czasu grasuje po nim. Niszczy naszą pracę, uwodzi nam żony i córki, zabija naszych mężów, braci i synów.

Ów mąż z Paryża, niegdyś sam pogardzany zbieg, odważył się przysłać nam regenta, który każe nazywać się cesarzem Meksyku. Ten regent, to marionetka Napoleona.

Meksykianie! Mamy to dłużej znosić? Nie! Podnieśmy się i wyrzucimy tych cudzoziemców z naszego kraju!

Pantera Południa ostrzy swe pazury. Chwyćmy i my za broń. Wszystko jest przy gotowane. Mamy broń, amunicję, żywność. Brakuje tylko śmiałych ludzi, którzy potrafią zmierzyć się z nieprzyjacielem, pokażą że są dzielnymi Meksykanami, wolnymi Indianami.

A więc do dzieła! Stwórzmy armie, przed którą Francuz da drapaka. Emisariusze rozesłani. Głos ich niedługo usłyszycie, a poznacie ich po tym, że moje imię będą wymieniać. Do nich się przyłączcie! Idźcie za nimi! Niedługo nad Meksykiem błysnie słońce wolności, a wrogów naszych pokonamy i wypędzimy za góry i morza!

Pablo Kortejo.

Gdy Mejia skończył czytać, cesarz zapytał:

– I co pan na to, generale?

– Głupota!

– Tak, ale niebezpieczna! – odezwał się Bazaine. – To wezwanie do powstania! Tu trzeba działać, a nie wzruszać ramionami.

Cesarz, chcąc przeszkodzić sprzeczce, zawołał:

– Naturalnie, trzeba działać, ale jak panie marszałku należy to zrobić?

– Najpierw należy uwięzić córkę tego awanturnika.

Maksymilian potrząsnął głową.

– Według mnie to zbędne.

– Myślę, że dotychczasowa jej działalność wyraźnie pokazała, że to niebezpieczna dama.

– Chce pan powiedzieć, śmieszna. Właśnie mówiłem o tym z generałem.

– Następnie trzeba przeszukać ich dom.

– Zgadzam się.

– Należy skonfiskować jego dobra!

– Ma jakieś?

– O, nawet znaczne!

– Proszę wybaczyć, że się wtrącam do rozmowy – powiedział Mejia. – Ale według moich wiadomości, dobra te należą do hrabiego Rodriganda, Kortejo był jego sekretarzem.

– To hrabia zawinił, jeżeli takiego zdrajcę wziął na zarządcę – odezwał się marszałek.

– Kochany marszałku, – oburzył się cesarz – tylko proszę żadnych gwałtownych ruchów nie czynić! Pan jest głównym dowódcą, więc proszę podjąć stosowne kroki strategiczne, a wszystkie inne sprawy proszę zostawić do mojego wyroku. Co do przeszukania domu, zarządę co należy, lecz tej dziewczyny uwięzić nie myślę. Dostatek będzie jeżeli się ją wydali z kraju, niech gdzie indziej próbuje swoich sztuczek.

Bazaine chciał koniecznie przekonać cesarza, że jego plan jest skuteczniejszy, wreszcie widząc, że się mu to nie uda, odszedł. Po jego odejściu Maksymilian zwrócił się do Mejia pytając:

– Przeczytałeś pan dokładnie ten afisz?

– Tak.

– To miejsce także?

– Które miejsce jego cesarska mość?

– To, w którym nazywają mnie marionetką Napoleona.

– Niestety, musiałem i to czytać!

- Widzę, że miał pan rację. Ale ja pokażę jeszcze, że nią nie jestem! Czy obserwowałeś, generale, marszałka, gdy ten afisz czytałem?
- Nawet bardzo dokładnie.
- Zauważyłeś więc pan?
- Wasza cesarska mość ma na myśli jego źle ukrytą radość?
- Tak i co pan na to powie?
- Według mnie afisz ten nie był tak istotny, by go sam marszałek musiał doręczać.
- Masz rację generale. Jego cieszy moje niepowodzenie. Ale chodźmy do domu! Jestem zdeenerwowany i chciałbym pomówić z cesarzową, jej obecność działa na mnie kojąco.
- Opuścili ogród i udali się do willi.

* * *

- Tego samego dnia Józefa Kortejo przebywała w swoim pokoju. Była jeszcze w negliżu, zamierzając właśnie się ubrać. Stara Indianka, Amaika, stała w pogotowiu, by służyć pomocą swej pani.
- Czy nie sądzisz, Amaiko, że zaczynam chudnąć?
 - O, nie seniorita.
 - Naprawdę? Ale przecież przedtem byłam pełniejsza? Popatrz tylko na me ramiona, jakie one były przedtem pełne i piękne!
 - Wcale się nie zmieniły. Są jeszcze piękniejsze i białe jak alabaster.
 - Żartujesz?
 - Ani myślę,
 - Ale popatrz na te ręce, czy nie widać, że się postarzały?
 - Skądże, są krągłe i białe, tak jak były, proszę mi wierzyć, na takie rzeczy mam bystre oko.
 - Myślisz, że jestem piękna?
 - Naturalnie.
 - Ale przecież nie tak, jak na przykład Amy Lidsay, która tak nagle zniknęła ze swoim ojcem?
 - Przeciwnie, jesteś pani o wiele piękniejsza. Są osoby, które z wiekiem pięknieją, a do tych niezawodnie należysz ty, pani.
 - Prawisz mi komplementy!
 - - Ani mi to w głowie!
 - Nie widzisz, że szyja moja straciła dawne ładne kształty?
 - Szyja? To szyja łabędzia, wszyscy mężczyźni w niej zakochani, czy nie widzi seniorka, jakim ją wzrokiem obrzucają?
 - Ty mnie tylko nie chcesz mnie smucić. Ubierz mnie teraz, ale ładnie i zalotnie, kochana Amaiko.
 - Oczekuje pani gości?
 - Nie, ale muszę pójść do fotografa. Zamówiłam znowu dziesięć tuzinów nowych zdjęć.
 - To mają być podarki dla zwolenników ojca pani?
 - Tak. Nie uważasz, że to wspaniały pomysł?
 - Oczywiście. Czytałam kiedyś taką piękną historię, że aż płakałam. Dziewczyna dała swemu ukochanemu fotografię, a on schował ją na sercu. Podobno to służy rozbudzaniu miłości..
 - Co? Naprawdę to czytałaś?
 - Tak.
 - I wierzysz w to?
 - Naturalnie.

– Boże, cóż to będzie jeśli to prawda? Ja tyle fotografii rozdałam!

– Prawda kilkaset!

– A cóż myślisz, gdzie je ci panowie nosić będą?

– Na sercu?

– Naturalnie Amaika, gdzie indziej nosi się fotografię? A ty powiadasz że to pewny środek na wzbudzenie miłości.

– O tak.

– W takim razie będę kochana przez kilkuset mężczyzn.

Chytra Indianka, załamał ręce ze zdziwienia wołając:

– Święta Madonno! Prawda, nie pomyślałam o tym, ale co to będzie? Ci panowie pozabijają się niezawodnie.

Pewnie rozmawiałyby tak dalej, gdyby na progu nie stała służąca, a za nią ujrzała Józefa kilku mężczyzn, sędziego śledczego z policjantami. Weszli bez zaproszenia.

– Co to ma znaczyć? Nie wiedzą panowie jak się składa wizytę damie?

– Wiemy doskonale i proszę być pewną, że stosujemy się do tego, teraz jednak nie było to konieczne. Czy poznaje mnie pani? – spytał śledczy.

– Naturalnie – odrzekła.

– Przychodzę w imieniu cesarza.

– Cesarza? – przerwała ze strachem.

– Tak. Gdzie jest ojciec pani?

– Wyjechał.

– Dokąd?

– Do Oaxaca, tak mi się przynajmniej zdaje.

– Kiedy ma wrócić?

– Nie wiem.

– Nie pisał do pani?

– Nie.

– Zna pani Panterę Południa?

– Nie.

– Nie odwiedzał państwa?

– Nie, nigdy.

– Ale ojciec pani musi go znać?

– Tego nie wiem.

– Hm! Zdaje się, że pani jest niewinna. A nie wie pani czegoś o tych afiszach, które dzisiaj z rana porozlepiano w mieście?

– Nie.

– Przecież nazwisko pani ojca figurowało na nich.

– O tym nic nie wiem. Podczas nieobecności ojca żyję tu samotnie, więc nie wiem, co się w mieście dzieje. Czy autorem tych plakatów jest mój ojciec?

– Oczywiście skoro się na nich podpisał.

– Nie mógł ktoś inny złożyć za niego podpisu?

Alcalde popatrzył na nią zdziwiony.

– Hm! Tak, to mogło mieć miejsce – odpowiedział łagodniejszym głosem.

– Co ten afisz zawiera, senior, jeżeli wolno zapytać?

– Wezwanie do buntu.

– W takim razie mogę zaręczyć, że mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie był zdrajcą.

- Ale jest sojusznikiem Pantery Południa.
- O tym nic nie wiem. Zapewne to także potwarz.
- Przekonamy się, najpierw jednak muszę przeszukać mieszkanie.
- *Santa Madonna!* Mój pokój też?
- Tak, cały dom. .

Urządник i policjanci rozpoczęli przeszukiwanie. Gdy zakończyli, był już wieczór.

- Seniorita! Niczego nie znalazłem.
- Byłam tego pewna – odparła z dumą.
- Przypuszczam więc, że pani rzeczywiście jest niewinna? Ale muszę jeszcze pani przekazać nieprzyjemną nowinę.

- Chce mnie pan przestraszyć?
- Nie, ale muszę, to rozkaz cesarski.
- Rozkaz cesarski? *O Dios!* Pan mnie naprawdę przeraża.
- Nic złego się pani nie stanie. Musi pani tylko zmienić miejsce pobytu.
- Miejsce pobytu? Jak mam to rozumieć?
- Musi pani opuścić ten kraj.

Słowa wywołały na niej ogromne wrażenie, pobladła, a oczy pełne trwogi zwróciła na śledczego pytając:

- Z kraju? Zostaje wydalona? Dlaczego? Za co?
- Właśnie wskutek owej zdrady i podjudzania do powstania.
- Ale ja jestem niewinna, sam pan to powiedział!
- Pani tak, ale nie pani ojciec! Zresztą rozdawała pani swoje fotografie.
- Ale tylko przyjaciółom.
- Ci przyjaciele są zdrajcami.
- To niemożliwe.
- Proszę się przekonać, to pani sprawa, ja mam tylko zawiadomić panią, aby opuściła kraj.
- Kiedy?
- Miasto w ciągu dwudziestu czterech godzin, a kraj w przeciągu tygodnia.

To był zbyt gwałtowny cios, poczęła drżeć.

- Ależ ja nie mogę wyjechać. Nie ma mego ojca! – wołała rozpaczliwie.
- To proszę się udać do niego.
- Czy on także skazany jest na wygnanie?
- Nie, ale jeżeli go dostaniemy w nasze ręce zostanie powieszony.
- O Boże! Co za okrucieństwo! A co się stanie z naszym majątkiem?
- Może go pani zabrać ze sobą.
- A służba?

– Może pani towarzyszyć lub zostać, jak chcą. Proszę tylko tak bardzo nie brać sobie tego do serca, seniorito. Niejeden wygnaniec powrócił już z banicji do Meksyku.

Zaraz po wyjściu policji stara Indianka, zaczęła mrugać oczami mówiąc:

- Seniorita, jaka pani mądra!
- Nieprawdaż? On naprawdę uważa, że jestem niewinna.
- O ci mężczyźni to naprawdę głupcy! Ale czy musi pani opuścić kraj!
- Może tak, a może nie. Rozstrzygnie to dzisiaj wieczorem mój ojciec.
- Tak, więc ten posłaniec wczoraj był od niego?

– Tak. Ojciec ma dzisiaj przybyć do mnie, w przebraniu. Naturalnie musisz uważać, aby nikt nam nie przeszkodził. Dzisiaj nie ma mnie w domu dla nikogo.

Jednak nakaz opuszczenia kraju zdenerwował Józefę. Osunęła się na fotel oczekując z niecierpliwością na ojca.

Późnym wieczorem drzwi jej pokoju rozwarły się na oścież. Do pokoju wkroczył jakiś nieznajomy mężczyzna. Ze strachu o mało co nie zemdląła, opanowując się jednak spytała:

– Kim pan jest i czego tu szukasz?

Obcy uklonił się milcząco i zapytał ponurym głosem:

– Czy tu mieszka senior Kortejo?

– Tak. Chce się pan z nim widzieć?

– Nie, przyszedłem do pani.

– Czego pan chce ode mnie? W jaki sposób dostałeś się tutaj?

– Przez mur.

To ją przeraziło. Przez mur przekradają się tylko rabusie.

– Dlaczego pan nie wszedł przez bramę?

– Bo nie chciałem by mnie widziano. Teraz wiem, że taka ostrożność była zbyteczna, nie poznałby mnie nikt, skoro nawet ty mnie nie rozpoznałaś.

Przy tych słowach zdjął perukę i brodę. Dopiero teraz poznała w obcym swego ojca.

Podbiegła do niego, objęła go i ucałowała. Cała ta scena nie trwało długo.

– Więc to naprawdę ty? Że też cię nie poznałam!

– O to przecież chodziło, bo gdyby mnie tutaj poznali, nawarzyłbym sobie piwa.

– Przyjeżdżasz od Pantery?

– Tak. Opowiadaj raczej jak się tobie powodzi?

– Dobrze, aż do dzisiaj. Niedawno wyszedł ode mnie śledczy, przeszukał cały dom.

– Rewizja! Czy oni myślą, że jestem aż taki głupi, by trzymać kompromitujące materiały w domu. Naturalnie nic nie znaleźli?

– Nic, rzeczy są dobrze zakopane.

– Czyli wszystko w porządku.

– Niezupełnie, dostałam nakaz opuszczenia kraju.

– Naprawdę? – spytał spokojnym głosem.

– Tak. Alcalde przyniósł mi tę nowinę.

– Zapewne na rozkaz cesarza?

– Tak.

– To skutek rozlepiania afiszy. Kiedy masz opuścić miasto?

– Za dwadzieścia cztery godziny.

– A kraj?

– W przeciagu tygodnia.

– Śmieszne! Jak daleko ma sięgać władza Maksymiliana? Wystarczy, abyś udała się tam, gdzie cię nie będzie mógł dosięgnąć. Miasto opuścisz jeszcze dziś.

– Dzisiaj? Dlaczego? – spytała.

– Będiesz mi towarzyszyła, do hacjendy del Erina.

– Do del Erina? Naprawdę?

– Tak – przytaknął.

– Do Pedra Arbelleza? Czego chcesz od niego, nie wiesz, że jest naszym wrogiem?

– Właśnie dlatego muszę go odwiedzić.

– Nie pojmuję.

– Wyjaśnię ci to, ale przynieś coś do jedzenia i nie zdradź nikomu, że ja tu jestem.

Józefa przyniosła posiłek, po czym usiedli razem rozmawiając dalej.

– Mój posłaniec był u ciebie? – spytał.

– Tak, zapowiedział twą wizytę.
– Posłuchaj więc uważnie dlaczego wróciłem. Właśnie nadszedł transport broni dla nas, Pantera też jest gotów uderzyć, ale skutek jest niepewny. Francuzi mają za dużo wojska, chyba, że uderzymy z dwóch stron, z północy i z południa. Dlatego chcę pozyskać nowych żołnierzy, na północy rozpocznę werbunek.

– A po co ja mam z tobą tam jechać?

– Potrzebuję cię, zresztą i tak musisz z miasta uciekać.

– Dlaczego właśnie do hacjendy del Erina?

– Bo ma znakomite położenie. Nie wiesz gdzie się teraz znajduje Juarez?

– Mówią, że w Paso del Norte.

– Muszę zawrzeć z nim przymierze i muszę go pozyskać, tylko razem możemy pokonać Francuzów.

– Myślałam, że ty chcesz zostać prezydentem?

– Naturalnie.

– A jak nim zostaniesz, gdy zawrzesz przymierze z Juarezem?

– Głuptasie! Wszystko da się pogodzić. Najpierw go wykorzystam, a potem...

– Rozumiem, potem może sobie odejść.

– Tak. Dowiedziałem się także, że angielski wysłannik jest w drodze do Juareza. Podobno wiezie broń, amunicję i pieniądze. Muszę to przejąć.

– A jak Juarez się dowie, że te środki były dla niego przeznaczone?

– Kto mu to powie? Ja nie, a tylko ja o tym wiem.

– Gdzie jest ten wysłannik?

– Wsiądzie na okręt w El Refugio i popłynie w kierunku Rio Grandę. Tam upoluję ptaszka.

Zgadnij kto to jest?

– Skąd mam wiedzieć?

– Lord Lindsay!

Józefa zerwała się jak oparzona.

– Sir Lindsay! – zawołała. – Ależ to nieprawdopodobne! Ten sam?

– Te sam, któremu zabraliśmy miliony.

– I którego z rąk Pantery oswobodził Juarez? Co za szczęśliwy przypadek! O jakbym chciała...

– No, co byś chciała?

– By i ona była przy nim.

– Kto?

– Jego córka, ta Amy, za którą tak szalał Mariano.

– Jest.

– Naprawdę?

– Tak. Pantera bywa dokładnie informowany przez swych szpiegów.

– Czyli, że Lindsay znowu wpadnie w twoje ręce?

– Z całą pewnością.

– A jego córka w moje. Co za rozkosz! Zapłaci mi za wszystko, szczególnie to lekceważenie, jakie mi okazywała. Mam z tobą podążać do Rio Grandę?

– Nie! Zostaniesz w hacjendzie!

– Arbellez zechce mnie przyjąć?

Kortejo zaśmiał się chrapliwie.

– Będzie musiał. Myślisz, że mu zostawię hacjendę?

– Przecież to jego własność!

– Ale będzie moja. Będzie mi służyła za punkt zborny. Tam rozkażę moim ludziom ściągać; stamtąd będę dowodził. Tam zresztą... wiesz o najważniejszej rzeczy?

– O czym?

– Tam w pobliżu znajduje się skarb królów, jaskinia pełna złota.

– Chcesz ją odszukać? – pytała z iskrzącym wzrokiem.

– Tak.

– Ale wątpię czy znajdziesz.

– Zobaczymy. Alfonso mówił, że Mistekowie chowają tę tajemnicę. Porwę paru z nich i torturami skłonię do wyjawienia tajemnicy. Wówczas będę bogaty! Nieskończenie bogaty! Bogatszy niż wszyscy królowie!

– Chcesz odkupić hacjendę od Arbelleza?

– Ani mi się śni. Odbiorę mu ją.

– Będzie się bronił!

– Niech spróbuje! Niedaleko miasta czeka na mnie dwustu dzielnych mężów! To początek, podstawa mej władzy. Nająłem ich do służby i pomogą mi odebrać hacjendę. Jeżeli Arbellez będzie się bronił, to go zabijemy!

– Dobrze. Z tymi dwustu ludźmi mamy podróżować?

– Tak.

– I to dzisiaj jeszcze?

– Oczywiście, nie mamy czasu do stracenia.

– A co się stanie z domem, meblami i wszystkim innym?

– Postaram się o to, by wszystko zostało w porządku.

– Ale Amaikę muszę wziąć ze sobą, ojczu!

– Będzie nam przeszkadzać.

– Ale ja potrzebuję służących!

– Będziesz musiała dać sobie radę sama.

– To niemożliwe, pomyśl ojczu, córka króla bez służby!

– Jeszcze nią nie jesteś.

– Ale mam jechać z dwustu mężczyznami! Muszę się przecież podobać, muszę ładnie wyglądać, a kto mi pomoże przy toalecie?

– To musisz zostać, starej brać nie będę. Do dzieła, spakuj się i przygotuj wszystko. O północy wyruszamy.

– Nie odważyła się dłużej nalegać. Zabrała się do roboty.

Po kilku godzinach dwustu jeźdźców w towarzystwie jednej damy galopowało na północ.

POWRÓT KSIĘCIA SKAŁ

Po opuszczeniu bezludnej wyspy Sternau wraz z towarzyszami szczęśliwie dopłynęli do Guyamas. Kapitan Wagner miał na nich czekać w Vera Cruz. W Guyamas dowiedzieli się, że Meksyk jest okupowany przez Francuzów, dlatego przede wszystkim zaopatrzyli się w broń i za radą Sternaua nie udali się na wschód ku Sierra de los Alamos tylko skierowali na północny wschód, w kierunku Chihuahua.

Nie sądzili, aby aż tam miało się rozszerzyć powstanie, nie przeczuwali, że Chihuahua dawno została zajęta przez Francuzów, a Juarez udał się do Paso del Norte, by zebrać nowe siły.

– Co teraz zrobimy? – spytał don Ferdynad. – Myślę, że już dosyć przeżyliśmy, nie powinniśmy się narażać na nowe niebezpieczeństwa.

– Sądzę, że Francuzów nie potrzebujemy się obawiać – odezwał się Sternau.

– Francuzów nie, ale tych, którzy im sprzyjają – rzekł Niedźwiedzie Serce. – Moi bracia niech nie idą do Chihuahua, tylko ze mną na pastwiska Apaczów. Tam zapanuje wielka radość z powrotu Niedźwiedziego Serca. Zbierzemy wielu wojowników i wtedy bezpiecznie wyruszymy do hacjendy.

– Jak daleko od Chihuahua są pola Apaczy? – spytał hrabia.

– Apacz w jednym dniu dociera do miasta – brzmiała odpowiedź.

Sternau skinął głową.

– Znam te okolice – rzekł – i myślę, że powinniśmy się zastosować do rady Niedźwiedziego Serca. Zaręczam, że będziemy tam gościnnie przyjęci.

– Tak, jedźmy tam – odezwała się Emma. – Niedaleko stamtąd leży fort Guadalupe. Tam mieszkają moi krewni, a ci niezawodnie ucieszą się na mój widok.

– Co to za krewni? – zapytał Sternau.

– Rodzina Pirnero. Siostra mego ojca jest żoną pewnego Niemca.

– Byłem kiedyś w pobliżu Guadalupe, ale do środka nie zaglądałem, dlatego nie znam tego nazwiska. W każdym razie sądzę, że znajdziemy dach nad głową.

Propozycja została przyjęta. Wyruszyli w kierunku Sierra Carmen, a po szczęśliwym przebyciu gór, skierowali się ku Rio de Conchos, a potem do drogi, która prowadzi z Chihuahua aż do Paso del Norte.

Właściwym ich zamiarem było przeciąć tę dolinę, ale że znajdowali się już w pobliżu indiańskich terenów, więc musieli zachować wyjątkową ostrożność.

Sternau i Niedźwiedzie Serce jechali przodem dokładnie sprawdzając teren. Nagle z przeciwnej strony ukazał się jeździec. Spotkanie było tak niespodziewane, że wszyscy trzej stanęli, jak wryci.

Był to jakiś mały człowieczek, w ubraniu trapera. Broń miał starą, zniszczoną, jednak wyglądał na prawdziwego westmana, a powagi dodawał mu silny i dziarski koń. Widać było, że był to wspaniały mustang, ujeżdżony na sposób indiański. Osadził go bowiem w jednej chwili, stając gotowy do walki.

– Stać, do pioruna! – krzyknął po angielsku. – Kim jesteście?

W Guyamas wszyscy zakupili sobie nową odzież, a że nie było nic innego to wszyscy mężczyźni zostali ubrani w zwykły codzienny strój meksykański.

Widocznie traper wziął ich za Meksykanów, zdjął bowiem z ramienia strzelbę i trzymał w pogotowiu.

– Dzień dobry! – krzyknął Sternau również po angielsku. – Pytacie, kim jesteśmy, ale nas jest dwóch, więc my raczej mamy prawo pytać, kim jesteście, senior?

Mały zauważył ogromną postać Sternaua, jednak bez strachu odpowiedział:

– Macie rację. Na prerii dwaj mają pierwszeństwo, chociaż mnie nie przeszkadza, czy naprzeciwko mnie stoi dwóch czy pięciu. Zresztą nie mam potrzeby wstydić się mego nazwiska. Słyszeć może już o myśliwym, którego nazywają małym André?

– Nie.

– Hm, widać nie jesteście z tych pięknych stron.

– Naturalnie, że nie.

– A to co innego. Ten mały André, to ja. Właściwie nazywam się Andréas Straubenberger.

– Straubenberger? – zapytał Sternau zdziwiony. – Jesteś pan Niemcem?

– Tak.

– Tak, to niech pan opuści tę flintę, do diabła – rzekł Sternau po niemiecku. – Ja także jestem Niemcem.

Mały podskoczył z radości, a opuszczając strzelbę, zawołał:

– Pan? Ach jak mnie to cieszy! Z którego landu?

– Z Moguncji.

– Z Moguncji? Tam mieszka mój brat.

Sternau pomyślał chwilę.

– Gdzie?

– W Kreuznach.

– Ach, to może chodzi o Kurta?

Przy tym pytaniu podskoczył mały jeszcze wyżej, tak, że mało nie spadł z siodła.

– Jak? Co? Zna pan mego Kurta? – pytał z radością.

– Bardzo dobrze.

– Do stu piorunów! A ja chciałem do pana strzelać!

– To by było trochę trudne – odrzekł Sternau z uśmiechem.

– Dlaczego? Przecież pan jest kawał chłopca, więc chybić bym nie mógł. Ale skąd pan jedzie?

– Jedziemy z Guyamas do Paso del Norte albo fortu Guadalupe.

– Do kogo w Paso del Norte?

– Do Juareza.

– A do kogo w forcie Guadalupe?

– Do niejakiego Pirnero.

– Tego znam bardzo dobrze. Pochodzi z Saksonii. Co do Juareza, to nie znajdziecie go już w Paso del Norte.

– Nie? A gdzie?

– Hm, może tu, a może tam, w lesie albo na prerii.

– Pan zna miejsce jego pobytu, tylko nie chce nam powiedzieć!

– Tak, bo nie mam przyjemności znać panów.

– Moje nazwisko Sternau. Mały zmarszczył czoło.

– Sternau? Hm, zdaje mi się, że już gdzieś słyszałem. Aha, przypominam sobie, seniorita Resedilla wspominała o nim. Jakiś Sternau mieszkał w hacjendzie del Erina, ale zniknął bez wieści.

– To ja.
Mały aż otworzył gębę z podziwu.
– Ten sam? To pan?
– Tak.
– Niemożliwe.
– Dlaczego? – zapytał Sternau, uśmiechając się nieco.
– Bo tamtego Sternaua wszyscy nazywali Księciem Skał.
– Ma pan na myśli Matava-se? To właśnie ja.
Tego było już trochę za wiele.
– Ależ pan zniknął...! – zawołał całkiem zdezorientowany.
– Słusznie! Teraz jednak powracam.
– W głowie mi się kręci! Czy pan wie, z kim pan zniknął?
– Naturalnie, muszę przecież to wiedzieć – rzekł śmiejąc się.
– To z kim?
– Chce mnie pan przeegzaminować?
– Tak – przyznał André szczerze. – O! To byłby prawdziwy cud, gdyby Księżę Skał tak niespodziewanie się zjawił. Ale kto to, co to za ludzie?
Właśnie nadjechała reszta towarzystwa.
– To właśnie ci, z którymi zniknąłem. Obok mnie stoi Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.
– Do diabła! – krzyknął mały, oglądając uważnie wodza.
– Ten, który jedzie na przodzie, to Bawole Czoło, wódz Mi eków. Za nim jedzie dwóch braci. Jeden jest zięciem hacjendero z del Erina, jeżeli pan o nim słyszał.
– Piorunowy Grot?
– Tak.
– Niech to piorun! Przestań pan, bo naprawdę mi się w głowie pomiesza. Co za spotkanie! Co za przypadek!
– Wierzy pan teraz, że to ja jestem Sternau?
– Naturalnie. Ten meksykański strój wprowadził mnie w błąd. Proszę o wybaczenie, oto moja ręka! Zsiądźmy z koni na chwilę, muszę panu coś ważnego powiedzieć.
Zeskoczyli. Niedźwiedzie Serce nie zrozumiał wprawdzie ani słowa z całej rozmowy, widząc jednak, że zsiadają z koni, poszedł za ich przykładem.
Właśnie nadjechali pozostali.
– Spotkanie, jak widzę, można wiedzieć z kim? – spytał hrabia.
– Z moim rodakiem – odrzekł Sternau. – Jest westmanem, nazywa się mały André i ma mi coś ważnego powiedzieć. Dlatego proszę, odpocznijmy chwilę.
Konie puszczono wolno, całe towarzystwo usiadło na bujnej trawie. Ze zdziwieniem zauważył André, że w towarzystwie znajdują się dwie damy. Przede wszystkim jednak przyglądał się hrabiemu.
– Zna pan hiszpański? – zapytał Sternau małego André.
– Tak trochę.
– Proszę więc mówić w tym języku, a wszyscy pana będą rozumieli. Co chciał mi pan powiedzieć?
– Najpierw to, że Juareza nie ma już w Paso del Norte.
– To mi już pan powiedział.
– Ale pan chciał wiedzieć, gdzie się obecnie znajduje? Jest w pobliżu. Muszę jednak pana zapytać, z kim pan trzyma, z Francuzami czy z Meksykanami.
– Z nikim. Jeżeliś pan już słyszał o mnie, to musi pan wiedzieć, że ja pozostaję bezstronnym.

– Tak, to prawda. Otóż, Francuzi zajęli Chihuahua. Stamtąd wysłali kompanię wojska, by zajęli Guadalupe, lecz Niedźwiedzie Oko ze swymi Apaczami wybili ich, co do jednego.

– *Uff!* – odezwał się Niedźwiedzie Serce, słysząc o Apaczach. – Niedźwiedzie Oko? Kto to taki?

– Kiedy Niedźwiedzie Serce zniknął, – wyjaśnił André – miał młodego brata, który ciągle szukał Niedźwiedzie Serce, a kiedy został sławnym wojownikiem, nazwano go Niedźwiedzie Oko. Uwierzył, że biali zabili jego brata, dlatego przy każdej okazji ściągał z nich skalpy. Teraz jest on najdzielniejszym i najślawniejszym wodzem Apaczów.

– *Uff!*

Tylko jedno słowo wyszło z ust starego Indianina, ale w nim grała cała skala braterskiej miłości, wdzięczności i radości. Nikt nie potrafi tak, jak Indianin w jednym słowie zamknąć całe morze uczuć.

– Niedźwiedzie Oko poprowadził Apaczów i zniszczyli francuskie wojsko – ciągnął dalej André.

– Mój brat! – odrzekł Niedźwiedzie Serce z dumą na twarzy.

– Następnie podążył z Apaczami na wschód. Tam znajdował się generał Hannert z milionami dolarów, które miał doręczyć Juarezowi, ale został otoczony przez sześciuset Komanczów.

Niedźwiedzie Oko pobiwszy Komanczów uwolnił go.

– *Uff!* – zawołał Indianin. – Czy mały, biały brat był przy tym?

– Tak, byłem, służyłem Niedźwiedziemu Oku za przewodnika.

– Jesteś więc przyjacielem mego brata?

– Tak.

– *Uff!* To bądź i moim!

Wyciągnął dłoń, którą André ścisnął, dumny z przyjaźni tego sławnego Indianina.

– Pieniądze dostarczyliśmy szczęśliwie do Juareza – opowiadał dalej traper. – Zaraz po naszym przybyciu dowiedzieliśmy się, że Francuzi otrzymali już wiadomość o zagładzie ich wojska. Natychmiast pościągali swe siły i z trzystu żołnierzami wyprawili się ponownie do fortu Guadalupe. Juarez wyruszył przeciw nim z całą swą armią, wzmocnioną przez Apaczów. Jestem pewny, że ich zniszczy, a potem wyruszy wprost do Chihuahua. Teraz w mieście prawie nie ma żołnierzy.

– A dlaczego pan nie jest przy Juarezie? – zapytał Sternau.

– Wysłał mnie na rekonesans, chce wiedzieć, jak najłatwiej zdobyć Chihuahua. Początkowo miał tam jechać Czarny Gerard, ale wolał iść do Guadalupe, gdyż ma tam znajomych, których chce bronić.

– Czarny Gerard? Kto to taki? – zapytał Sternau.

– Sławny strzelec.

– Nie znam go.

Po krótkiej chwili mały André powiedział:

– O pan go dobrze zna.

– Nie słyszałem tego nazwiska. Przynajmniej nie mogę sobie przypomnieć.

– On mi opowiadał o panu. Wiele o panu wie.

– Tak, a skąd?

– Z dawnych lat, słyszał także wiele o panu od seniority Resedilli.

– Resedilli? – przerwała Emma. – Co za Resedillę ma pan na myśli?

– Córkę starego Pirnero w forcie Guadalupe.

– To moja kuzynka! Jak się jej powodzi? Czy nie wspominała o mnie?

– Seniora, nie mogę na to odpowiedzieć, bo nie wiem, kto pani jest.

– Jestem Emma Arbellez, córka jej wuja.
– Z hacjendy del Erina?
– Tak jest.
– Wspaniale, z nieba mi państwo spadliście! Gdybym nie musiał do Chihuahua, natychmiast wróciłbym do Guadalupe, by im zanieść tę wesołą nowinę... Seniorita Resedilla bardzo wypiękniała.

– Wyszła już za męża?

– Nie, chociaż ojciec ciągle ją swata. Niedawno zatrzymałem się parę dni u nich, więc miałem sposobność poznać pana Pirnero dokładnie. Każdą rozmowę zaczyna od pogody, a kończy na zięciu. Czekałem wtedy na Czarnego Gerarda... ach, senior Sternau, już odpowiadam na pańskie pytanie. Był pan kiedyś w Paryżu?

– Nawet często.

– A wyciągnął pan z Sekwany pewną dziewczynę?

– Tak.

– I poznał pan brata tej dziewczyny?

– Tak.

– Nie przypomina pan sobie jego nazwiska?

Sternau zastanowił się chwilę, potem odrzekł:

– Jeżeli mnie pamięć nie myli, nazywał się Gerard Mason, a jego siostra Anneta.

– Tak i właśnie ów Mason jest Czarnym Gerardem.

– Przybył więc do Ameryki i został myśliwym?

– I to jakim!

Sternau przypomniał sobie, że Anneta opowiadała mu rodzinną historię. Przypomniał sobie także, że Mason był garoterem, ale nic nie powiedział, by mu nie szkodzić i sławy nie odbierać.

– I ten Gerard jest teraz w forcie Guadalupe?

– Musi już tam być – odrzekł André.

– Jak daleko stąd do fortu?

– Jutro o tej porze możecie państwo tam dotrzeć.

– A gdzie obecnie jest Juarez?

– Musi być na południe od fortu. Wyruszył bowiem przeciw Francuzom.

– Jeżeli udamy się wprost do fortu to go spotkamy?

– Zapewne.

– Dobrze, zrobimy tak. Spodziewamy się, że wkrótce zobaczymy pana u Juareza?

– Tak, ale radzę państwu najpierw udać się do fortu i tam zostawić damy, dopiero potem szukać Juareza. Nie wiadomo, na jakie niebezpieczeństwa będziecie narażeni.

– Ma pan rację, ale proszę nam jeszcze powiedzieć, jak pan się dostał do Ameryki? Pański brat nie wspominał o panu.

– Nie dziwi mnie to. Poróżniliśmy się.

– Dlaczego?

– Z powodu dziewczyny. Obaj zakochaliśmy się w jednej. Wolą mnie, więc opuścił nas. Kilka razy pisaliśmy jeszcze do siebie, a potem i to się zerwało.

– Był pan żonaty?

– Nie. Zdradziła mnie, niech diabeł porwie te wszystkie miłostki! Wyjechałem więc. Wreszcie przygnały mnie wiatry do Ameryki. W handlu jakoś mi nie szło, więc wziąłem flintę do ręki i zostałem myśliwym. To cały mój życiorys, a teraz do widzenia. Muszę się spieszyć, długa droga przede mną.

To niespodziewane spotkanie mogło przynieść wiele korzyści. Na prerii ludzie zaprzyjaźniają się szybciej, niż w eleganckich salonach. Gdy André każdemu z osobna ścisnął rękę, zdawało się im, że żegnają dobrego znajomego.

– My także musimy się zbierać – rzekł Sternau. – Jeżeli chcemy trafić na ślady Apaczów, musimy jeszcze w ciągu dnia dotrzeć do nich, inaczej ich nie zobaczymy.

Niedźwiedzie Serce wysunął się naprzód, nie mówiąc ani słowa, wszyscy jednak wiedzieli, że jako najlepiej znający okolicę, obejmuje rolę przewodnika.

Pędzili galopem aż do ujścia Rio Concha. Przebyli Rio Grandę del Norte i znowu galopowali naprzód.

W południe dali nieco odpocząć koniom, po czym z podwójną szybkością pogonili dalej. Konie tutejsze są nadzwyczaj wytrwałe, więc wieczorem dotarli do Sierra del Chanate.

W miejscu, gdzie Sierra styka się z Czarcimi Górami, leży wąwóz, w którym cała francuska kompania została zniszczona. Jeszcze tam nie dojechali, gdy Niedźwiedzie Serce zatrzymał konia i pochyliwszy się, uważnie oglądał ziemię.

– *Uff!* – odezwał się.

Sternau zbliżył się i także pochylił. Trawa w tym miejscu była zgnieciona. Widać było ślady, ale tak wąskie, jakby jeden jeździec tylko tędy przejeżdżał. Doświadczeni strzelcy nie dali się oszukać.

– Ślady Apaczy – rzekł Sternau.

– Tędy przejeżdżali moi bracia – poświadczył Niedźwiedzie Serce z radością w oku.

– Co teraz mój brat uczyni? – zapytał Sternau.

– Pójdzie za głosem serca – odrzekł wódz Apaczów. Nie mówiąc ani słowa więcej, zawrócił koniem i pogalopował śladami, które ciągnęły się wzdłuż Sierra.

– Gdzie on jedzie? – zapytał hrabia z widoczną troską na twarzy.

– Do Apaczów! – odrzekł Sternau.

– To oni tędy jechali?

– Tak.

– Ale czy my nie stracimy tropu?

– Niedźwiedzie Serce? To niemożliwe.

– Myśli pan, że powinniśmy za nim jechać?

– Nie. My udamy się do fortu Guadalupe. Teraz jednak musimy tu gdzieś w pobliżu przeno-cować.

– A Niedźwiedzie Serce?

– Proszę go zostawić! Jest Indianinem i zna nasze położenie, zjawi się, gdy będziemy go potrzebowali.

To uspokoiło wszystkich, więc ruszono dalej. W pobliżu ujścia do wąwozu Sternau przystanął i rzekł:

– Tutaj jest przejście przez Sierra. Góry tworzą tu kotlinę, właściwie wąwóz, który według mnie musi być bardzo długi. A że w wąwozie nie powinno się obozować ze względu na bezpieczeństwo, moim zdaniem musimy gdzieś w pobliżu wejścia znaleźć stosowne miejsce na nocleg.

– Ale do nocy jeszcze daleko! – zauważył hrabia.

– Lecz noc mogłaby nas zaskoczyć w wąwozie.

– A co to szkodzi?

– Słyszeliśmy, że Apacze pomagają Meksykanom, podczas gdy Komancze Francuzom – odrzekł Sternau. – A ponieważ właśnie tutaj schodzą się ich terytoria, to nie radzę nocować w miejscu, gdzie napad jest podwójnie groźny. Zresztą, co o tym sądzi, mój brat Bawole Czoło?

– Mój biały brat ma rację! – odrzekł zapytany krótko.

Ledwo to powiedział, zawrócił konia i popędził w dal.

– Gdzie on jedzie? – zapytała przerażona Emma.

– Proszę się nie martwić, seniora – odrzekł Sternau. – Wódz Misteków chce widocznie wyszukać stosowne miejsce na nocleg.

– Nie mógł tego powiedzieć?

– Indianin jest przyzwyczajony czynić dużo, lecz mało mówić. Poczekajmy trochę.

Stanęli. Niedługo ukazał się i skinął na nich. Poprowadził ich do zagłębienia sawanny, miejsca porośniętego z każdej strony wysokimi krzakami, gdzie mogli spokojnie spędzić noc a nawet rozpałcić ogień.

Tutaj zsiadł z konia, puścił go wolno i bez słowa począł zbierać drewno na ognisko.

Jak tylko płomienie wzbłyły się w górę, całe towarzystwo rozłożyło się wygodnie wokół. Sternau zbadał teren, po czym wyznaczył kolejność wart.

* * *

Na drugi dzień bezchmurne niebo zapowiadało piękną pogodę, rosa błyszczała na liściach i trawie jak miliony diamentów, kwiaty pachniały silniej niż zwykle.

Senior Pirnero wstał jak zwykle o świcie i ucieszony tą piękną pogodą, odważył się nawet wyjść na przechadzkę, co się rzadko zdarzało.

Kroczył zwolna aż do rzeki, która toczyła swe nurty, oblewając fort.

Spojrzał na wodę i zauważył, że w jego kierunku coś płynęło.

Z początku widział tylko mały, czarny punkt odbijający promienie, lecz gdy się baczniej przyglądał zawołał zdziwiony:

– Łódź!

Chwilę poczekał, aż się łódź zbliżyła, i ze zdziwieniem na twarzy znowu zaczął mruścić.

– Kanoë. Hm! To rzadkość w tych okolicach. W niej siedzi tylko jeden mężczyzna. Kto to może być?

Kanoë zbliżała się bardzo szybko. Widocznie mężczyzna, który w niej siedział, posiadał nadzwyczajną siłę i zręczność.

Właśnie zrównał się ze stojącym Pirnero. Przybiwszy do brzegu, wyskoczył z czółna i pociągnął je wprawna ręką na piasek. Był prawie nagi, krótkie spodnie i rozpięta kamizelka ukazywały mocną sylwetkę.

Teraz naciągnął na siebie skórzaną, mocno zniszczoną kurtkę. Wyjął jeszcze czapkę, która służyła wprawdzie do okrywania głowy, lecz podobną była raczej do worka na tytoń i wcisnął ją na głowę.

W pasie przypięte miał dwa rewolwery, nóż, tomahawk, worek z tytońmi, worek z kulami i inne drobiazgi. Z czółna wyciągnął strzelbę, którą oglądał uważnie, widać było, że pielęgnował ją starannie.

Dziwna to była postać. Chuda, spalona od wiatru i słońca, podobna raczej do wygarbowanej skóry. Małe oczy patrzyły ostro i przenikliwie, długi nos był wykrzywiony jak dziób drapieżnego ptaka. Mimo to nie wzbudza niechęci, przeciwnie raczej zaufanie.

– Good morning.

– Dzień dobry – odpowiedział Pirnero.

– Czy to fort Guadalupe?

– Tak jest.

– Mała dziura.

– Niewielka.

- Dużo żołnierzy w niej?
- Ani jednego.
- Znajdzie się tu gospoda i spanie?
- Tak.
- Gdzie?
- Przez bramę, trzeci dom.
- Dziękuję, sir.

Przeszedł obok Pirnero, który mu wskazał swój własny dom i wszedł do bramy. Krok jego nie był szybki, ale za to długi, nieprzyzwyczajony do takiego kroku musiałby przy nim biec, nie chcąc zostać w tyle.

– Jankes – zamruczał Pirnero i nie pomylił się.

Gdy Pirnero powrócił do gospody zastał tam gościa przy szklaneczce. Swym zwyczajem usiadł obok okna. Cisza panowała w izbie przerywana tylko głośnym spluwaniem przeżutego tytoniu.

Pirnero bardzo chciał poznać swojego gościa, a ponieważ nie mógł się doczekać od niego żadnego słowa, więc rozpoczął sam rozmowę:

– Świetna pogoda!

Nieznajomy mruknął coś pod nosem, czego jednak nie można było zrozumieć, więc Pirnero powtórzył po chwili:

- Co za piękna pogoda!
- Hrrmmrrum! – zakaszłał obcy.

Pirnero obrócił się pytając:

– Powiedzieliście co senior??

– Ja nie, ale wy tak – ta odpowiedź zamknęła mu znowu usta. Niezadowolony, mrużąc pod nosem, zaczął bębnić gorączkowo palcami po szybie. Po chwili jednak nie mógł się powstrzymać i powtórnie zagaił rozmowę.

- Dzisiaj jest o wiele piękniej niż wczoraj.
- Pchtich! – splunął nieznajomy.

Pirnero obrócił się mówiąc:

– Nie zrozumiałem was, senior.

Obcy przerzucił całą zawartość tytoniu w ustach z prawej strony na lewą, zwięził usta i splunął z taką pewnością i siłą, że brunatny sok przeleciał tuż koło nosa Pirnera i dosięgnął okna. Gospodarz rzucił głową na bok przestraszony wołając:

- Senior, tam przy szafie stoi spluwaczka.
- Nie potrzebuję żadnej – zabrzmiała odpowiedź.
- Wierzę, kto celuje w okno, nie potrzebuje spluwaczki, ale u mnie panuje inna moda.
- To otwórzcie okno.

Słowa te wymówił z taką powagą, że gospodarzowi aż twarz poczerwieniała ze złości. Zapomniał jednak nad sobą i zapytał:

- Z daleka pan, przybywa?
- Tak.
- To musisz pan być znakomitym wioślarzem.
- Dlaczego?
- No, płynął pan pod prąd.
- Phi!
- Skąd pan wyjechał?
- Musi pan o tym wiedzieć?

– No! – rzekł Pirnero zbity z tonu. – Jestem zainteresowany co za gościa ma się w gospodzie. Czy nie mam racji?

– Pchtiszchch! – splunął znowu obcy prosto w szybę.

– Do diabłów, proszę uważać! – zawołał gospodarz.

– Możesz pan odejść na bok.

Pirnero otworzył okno i odsunął swe krzesło pod ścianę, na której wisiał ładny, stary obraz. W ten sposób spodziewał się uniknąć tego szczególnego bombardowania sokiem tytoniowym.

Obcy przeżuwał i pił milcząc jednak uporczywie. Pirnero nie mógł dłużej wytrzymać, więc znowu zagadnął:

– Celem podróży pana był fort w Guadalupe?

– Zdaje się.

– Pozostanie pan tutaj?

– Raczej nie.

– Ja myślę o dniu dzisiejszym.

– Tak.

– Chce pan może kogoś odwiedzić?

– Hm.

– Albo może jaki interesik?

– Pchtiszchch! – splunął zapytany i to tuż nad głową gospodarza trafiając w obraz.

Tego już było Pirnero za wiele. Zerwał się z siedzenia wołając z oburzeniem:

– Co to za dzikie zwyczaje pluć na mój obraz!

– Powieście go w innym miejscu.

– Plujcie raczej do swojej kieszeni.

– Otwórzcie mi ją.

– Wie pan, że jest grubianinem?

– Nie i proszę się nie trudzić, nie pomoże to panu. Nie przychodzę tutaj na przesłuchanie, a teraz napełnij pan lepiej moją szklanę.

– Czy chce pan zostać u nas na noc?

– Muszę się namyślić. Można tu czuć się bezpiecznym, na przykład przed Indianami?

– Najzupełniej.

– A przed Meksykanami?

– O ci nam nic nie zrobią, jesteśmy po ich stronie.

– A przed Francuzami?

– Wprawdzie chcieli napaść na nasz fort, ale dostali odprawę, jakiej nie zapomną.

– A kto ich odprawił? Może pan?

Pytanie to postawił z ukrytym uśmiechem.

– Ja nie, ale Apacze pokazali im gdzie pieprz rośnie.

– Czyli, że Apacze trzymają z prezydentem Juarezem?

– Tak.

– A co na to Komancze?

– Oni trzymają z Francuzami.

– Niech ich diabeł porwie.

– Senior, więc pan także jest przeciwnikiem Francuzów?

– To pana nic nie obchodzi. Powiedz mi pan raczej gdzie znajduje się teraz Juarez.

– Sądzę, że w Paso del Norte.

– Co to znaczy „sądzę”, nie wie pan tego z całą pewnością?

– Nie.

– Jak daleko stąd do Paso del Norte?
– Dwadzieścia pięć godzin konno. Chce pan tam jechać?
– Może.
– Senior, ma zapewne jakąś sprawę do prezydenta.
– Pchtsizchch!
Brunatny sok przeleciał tym razem całkiem blisko twarzy Pirnera.
– Do stu tysięcy kartaczy i bomb! Teraz mam tego dosyć – kłął ze złości. – Do takiego obchodzenia się ze mną nie jestem przyzwyczajony. Wiesz pan skąd ja pochodzę?
– Skąd? – spytał obcy z flegmą.
– Z Pirna.
– Z Pirna? Nie znam tej dziury. Zapewne leży na biegunie północnym.
– Nie, w Saksonii.
– Cała Saksonia nie obchodzi mnie ani odrobinę. Dzisiaj zostanę tutaj.
– Senior, to nie może być.
Obcy popatrzył na gospodarza ze zdziwieniem i zapytał:
– A to dlaczego?
– Bo mi się pan nie podobasz.
– Ale pan mnie się podoba więc to się równoważy.
– Takiego plwacza nie potrzebuję.
– Chce pan lepszego, mogę służyć i tym.
– Nie chcę pana. Proszę iść tam, gdzie panu pozwolą pluć! Proszę tylko popatrzeć na moje okno i mój obraz. Wie pan przynajmniej co to za obraz?
– Nie.
– Mam panu powiedzieć?
– Mało mnie to obchodzi.
– Dobrze, ale teraz chcę, aby pan wyszedł jak najprędzej z mego domu. Nie pozwolę się poniżać. Rozumie pan?
– Nie.
– No to powiem panu to wyraźniej. Jeśli nie opuścisz natychmiast mojego domu, to wyrzucę pana za próg, ale tak, że wszystkie żebra będziesz musiał zbierać.
Rozzłoszczony stał przed nieznanym z zaciśniętymi pięściami, jakby go naprawdę chciał wyrzucić.
– Pstiszchch!
Nowa porcja przeżutego tytoniu wyleciała z ust obcego w kierunku nosa gospodarza, tak, że ten ledwo zdążył odskoczyć.
– Co? Jeszcze do tego to grubiaństwo? – wołał w uniesieniu. Teraz zbieraj się pan póki kości masz jeszcze całe, inaczej pokażę panu jak ze mną żartować!
– Phi! – odrzekł z flegmą. – Nie wrzeszcz pan tak. Czy mam tu zostać czy nie, to nie pańska rzecz tylko moja. Całą noc wiosłowałem, więc jestem znużony i chce mi się tu przespać godzinę.
Odłożył strzelbę na bok i rozłożył się na ławie, która stała pod ścianą. Pirnera zazgrzytał ze złości.
– Wstawaj pan! Śpij gdzie chcesz, ale nie u mnie, na to nie pozwolę. Sam wprawdzie nie będę się trudził, ale zawołam mych ludzi, a ci pokażą panu drzwi.
Obcy sięgnął po rewolwer i wyjąwszy go zza pasa rzekł zimno:
– Proszę czynić co się panu podoba. Kto się do mnie zbliży poczęstuję go kulą, a odpowiedziałność za to spadnie na pana.
To zaimponowało gospodarzowi. Chwilę postął jakby się namyślając a potem odrzekł:

– Hm! Widzę, że pan w gorącej wodzie kąpany. Śpij tę godzinę, kiedy jesteś znużony. Mam jednak nadzieję, że we śnie nie będzie pan pluł.

– Nie, chyba że będzie mi się śnił ktoś ciekawski.

Rewolwer schował za pas i po kilku minutach dało się słyszeć chrapanie.

Pirnero chcąc się uspokoić nalał sobie kieliszek julepu; właśnie chciał usiąść na swym dawnym miejscu pod oknem, kiedy usłyszał tętent kopyt. Jakiś jeździec zeskoczył z konia, przywiązał go do słupa i wszedł do izby. Nie był już młody i miał na sobie ciężki strój *vaquero*.

Usiadł, kazał sobie podać szklanekę julepu i począł bacznie obserwować gospodarza. Pirnero nie zauważył tego, usadowił się bowiem przy oknie. Widać było, że bił się z myślami, czy aby ten *vaquero* także pluje, w końcu zebrał się na odwagę i zapytał:

– Śliczna pogoda!

– O, tak! – odrzekł *vaquero*.

Odpowiedź ucieszyła gospodarza i udobruchany odwrócił się do przybysza i pytał dalej:

– Szczególnie piękny czas do jazdy konnej.

– Ja jechałem całą noc.

– Całą noc? To brzmi jakbyście byli posłańcem!

– Zgadza się.

– Dokąd jedziecie?

– Do fortu Guadalupe.

– Jesteście w nim. Macie tu jakąś sprawę?

– Muszę coś oddać. Czy to pan może jest Pirnero?

– Tak.

– A gdzie znajdę seniorkę Resedillę?

– Znacie ją?

– Nie, ale do niej zostałem wysłany. Znacie przecież hacjendę del Erina?

– Rozumie się. Pedro Arbellez jest moim szwagrem.

– Właśnie senior Arbellez przysyła mnie, pracuję u niego.

– Do mnie? Bardzo mnie to cieszy. Zaraz wam każę dać coś do jedzenia i zawołam moją córkę.

– Dziękuję panu.

Pirnero zapomniał zupełnie o swoim gniewie i zawołał córkę. Przyprowadziwszy ją do stołu, przy którym siedział nowo przybyły rzekł:

– Oto *vaquero* twojego wuja Pedro. Jechał całą noc, zajmij się nim.

Dziewczyna podała rękę gościowi i powiedziała:

– Na pewno pan zmęczony. Niech pan najpierw coś zje i odpocznie.

– Dziękuję seniorita, muszę przede wszystkim wyłożyć po co tu przyjechałem. Nasza panienska przed laty zaginęła i wszystko wskazuje na to, że nie żyje. Mój pan bardzo się od tego czasu postarzał. Wiecie państwo zapewne, że hacjenda nie należy już do hrabiego Rodrigandy?

– Tak, hrabia podarował ją szwagrowi.

– Mój pan mówi, że umrze bezdzietnie i to wkrótce.

– Spodziewam się, że jeszcze długo pożyje – wtrącił z troską gospodarz.

– W obecnych tak niespokojnych czasach nie dziw, że myśli o śmierci. Dziecka już nie ma, postanowił więc swoim spodkobiercą, a właściwie spadkobierczynią uczynić senioritę Resedillę.

Resedilla odwróciła się nieco. Kochała swego wuja i bardzo mu współczuła, więc rzekła tylko:

– Nie traćmy nadziei, Emma jeszcze się znajdzie.

– Mój pan nadzieję stracił dawno – odrzekł *vaquero*. – Dlatego chciałby jeszcze przed śmiercią ujrzeć chociaż was.

– To wszystko co mieliście nam przekazać? – pytał Pirnero.

– Tak. Mam prosić senioritę, by jak najprędzej odwiedziła mego pana i mam oddać jeszcze ten list.

Sięgnął i wydobył z kieszeni pismo. Pirnero wziął list i zaraz chciał otworzyć.

– Nie tutaj ojczy! – prosiła Resedilla. – Chodź ze mną. Takie listy czyta się na osobności.

Pociągnęła go za sobą. Kiedy za chwilę powrócili widać było, że płakała, Pirnero również był wzruszony.

– Przeczytaliśmy list – odezwał się.

– I co postanowiliście, senior? – zapytał *vaquero*.

– Odpowiedź jest trudna, znacie przecież okoliczności.

– Nie możecie się obejść bez córki kilka tygodni?

– Nie, ale w czasie podróży może się zdarzyć coś złego!

– Proszę się nie obawiać. Mój pan postara się o przepustkę i sądzę, że Francuzi będą ją respektowali.

– Tak, a Indianie?

– Tych także nie potrzebujemy się obawiać, bo senior Arbellez wysłał oddział *vaqueros*, by towarzyszyli senioricie w drodze.

– To już lepiej, chociaż ryzyko zawsze istnieje. Jak długo macie tu pozostać?

– Do jutra.

– Jutro więc dam wam odpowiedź i list do Arbelleza. Zajmijcie się teraz koniem, a potem idźcie do kuchni, tam wam podadzą posiłek.

Vaquero uczynił jak mu kazano. Resedilla udała się do kuchni, Pirnero usiadł z powrotem przy oknie rozmyślając o tym co się wydarzyło. Takie dziedzictwo, jak hacjenda del Erina nie było do pogardzenia. Kochał szwagra i też przeżywał zaginięcie Emmy. Charakter miał dosyć dziwny, na pozór nieprzystępny i oschły.

Nie miał jednak czasu na zajmowanie się tym, gdyż dzień dzisiejszy był pełen niespodzianek. Wkrótce znowu usłyszał tętent. Jeździec zeskoczył z konia i prędko wszedł do pokoju. Był to Czarny Gerard.

Pirnero przywitał go po przyjacielsku, całkiem inaczej, niż dawniej.

– Ach! Senior Gerard! – zawołał podnosząc się z krzesła i spiesząc na spotkanie. – Dzięki Bogu! Już się o pana martwiliśmy.

– Tak? Kto?

– No, ja i Resedilla.

– Pan także? – pytał Gerard z uśmiechem.

– Naturalnie.

– Jak to możliwe. Przecież ja piję tylko jeden kieliszek julepu.

– Proszę ze mnie nie żartować. Nie wiedziałem kim pan jest, teraz jednak cieszę się pańskim przybyciem, choćbyś pan nawet żadnego julepu nie pił. Muszę zaraz zawołać Resedillę.

To okazało się zbędne. Dziewczyna już usłyszała głos Gerarda, bo weszła uśmiechnięta.

– Witam! Wyprawa pomyślnie zakończona?

– O, bardzo!

– Bez rany?

Wzrok jej z troską prześlizgnął się po jego postaci.

– Ani włosa nie straciłem – odrzekł uspokajająco.

– Bogu dzięki!

– Tak, ale chciałbym to samo powiedzieć jutro, albo pojutrze.

– Dlaczego? – spytał Pirnero.

– Przyjeżdżam was ostrzec przed wielkim niebezpieczeństwem.

– Przed niebezpieczeństwem? Do tego wielkim? – pytał Pirnero. – Czy senior nie żartuje?

– Niestety nie. Francuzi dowiedzieli się o porażce swych wojsk. Właśnie wyruszyli z potrójną siłą pomścić pogrom. Są już w drodze. Resedilla zbladła. Ojciec jej załamał ręce wołając:

– Mój Boże, czy to prawda? Kiedy mają nadejść?

– Tego nie wiem.

– O! To muszę natychmiast wszystko pakować. Musimy uciekać do Juareza.

Wielce przerażony chciał pośpiesznie opuścić pokój, ledwo go Gerard zatrzymał.

– Ależ stój pan! Nie tak prędko! Tak daleko jeszcze nie zaszli. Nawet gdy Francuzi zajmą fort, to uszanują własność prywatną; nie zechcą bowiem robić sobie wrogów wśród ludności. Zresztą pomoc także już w drodze.

– Co za pomoc?

– Sam Juarez.

– Sam Juarez? A ma Apaczy ze sobą?

– Tak.

– To jesteśmy uratowani.

– Nie cieszymy się tak szybko. Juarez sam nie wie jaką drogą podaży nieprzyjacieli. Może go nie spotkać. Ślady Francuzów znajdzie, ale pytanie czy nie zbyt późno. Tymczasem Francuzi mogą nas napaść. Należy więc powstrzymać nieprzyjaciela jak najdłużej.

– Myśli pan o obronie fortu?

– Tak.

– Ale kto do licha ma go bronić, przecież nie mamy żołnierzy.

– My będziemy go bronić, my wszyscy i pan także, senior Pirnero.

– Ja? – spytał z przerażony.

– Naturalnie.

– I będę musiał strzelać?

– Tak.

– Mam zabijać ludzi?

– Ilu się tylko uda.

– O co to, to nie! Do tego w Pirnie nie dopuszczano. Tam, kto drugiego, a więc choćby i Francuza zastrzeli, ten zostaje skazany na śmierć. Za wielką łaskę musi sobie poczytać, jeżeli zostanie ulaskawiony i skazany tylko na dożywocie. Zdarza się nawet, że takiego zbrodniarza skazują na dziesięć lat ciężkiego więzienia, pięć lat utraty honoru, stawiają pod nadzór policyjny i wreszcie wieszają.

– To czynią wszędzie – odezwał się Gerard z uśmiechem, – chociaż przyznam, że taka kara jest zbyt wielka dla jednego człowieka, choćby i zbrodniarza,

– Ja nie strzelam!

– To pana zastrzelą!

Pirnero zbladł.

– Dlaczego?

– Przybywam właśnie jako wysłannik Juareza. Prezydent rozkazuje, aby wszyscy mieszkańcy przystąpili go obrony, którą ja mam kierować. Sędzia obchodzi wszystkie domy i ogłasza ten rozkaz.

– Ale, senior! Ja nawet zająca nie zastrzeliłem.

– Pociesz się pan. Człowieka łatwiej trafić. Argument ten nie trafił jednak staremu do przekonania.

– Ale potem będę mordercą – rzekł stroskany, nagle twarz mu się rozjaśniła i zawołał: – Wpadł mi do głowy dobry pomysł! Chce mi pan oddać przysługę, senior Gerard?

– Owszem, jeżeli będę w stanie.

– Ależ tak. To całkiem proste, weźmie pan dwie strzelby.

– A to na co?

– Raz wystrzeli pan z jednej za siebie, a potem z drugiej za mnie.

– Takich ludzi nie potrzebujemy! – zabrzmiał głos z kąta.

Gerard obrócił się. Dotychczas nie spostrzegł śpiącego, który obudził się podczas rozmowy. Teraz podniósł się z ławy, usiadł i ze spokojem zaczął przeżuwać tytoń. Gerard przypatrzył mu się z uwagą, podszedł i rzekł:

– Proszę wybaczyć, senior! Czy wolno mi się zapytać kim pan jest?

– Wolno.

Zapytany odrzekł to tylko jedno słowo; po czym wypluł resztę tytoniu.

– A nazwisko pańskie? – dodał Gerard.

– Pytał mnie pan, czy wolno mnie zapytać, kim jestem. No to pozwoliłem, ale nie przyrzekłem, że będę odpowiadał.

– Dobrze, wolno panu zamilczeć swoje nazwisko, ale proszę w takim razie nie mieszać się do naszej rozmowy.

– A jeżeli ona mnie obchodzi?

– W takim razie proszę nie brać mi za złe, że mnie również nazwisko pana obchodzi.

Obcy skinął głową, przerzucił tytoń w ustach z jednej strony na drugą i odrzekł:

– Chyba ma pan słuszność, lecz mam ważne powody nie wymienić swego nazwiska, zanim nie dowiem się pańskiego. Właśnie pan opowiadał, że przysyła pana Juarez?

– Tak jest.

– A więc zna go pan? Był pan przy nim?

– Tak.

– Wiesz pan, gdzie go można znaleźć?

– Naturalnie.

– Słowem, pan trzyma z nim, a nie z tymi przekłętymi Francuzami?

– No tak, słyszał pan o tym przecież.

– Bądź pan więc tak dobry i powiedz mi jak się nazywaś?

– Czarny Gerard.

Nieznajomy stracił na chwilę swoją zimną krew i zatapiając jedno ze swych przenikliwych spojrzeń w oczach mówiącego zawołał:

– Na grzmoty i pioruny! Naprawdę?

– Nie mam powodu pana okłamywać.

– W takim razie wszystko w porządku. Słyszałem o panu, witam serdecznie proszę mi podać swą rękę.

Wyciągnął rękę ku Gerardowi, ten jednak nie uchwycił jej mówiąc:

– Widzę, że pan jest ostrożny w zawieraniu przyjaźni; ja również, więc proszę mi powiedzieć, kim pan jest? Moje nazwisko już pan słyszał?

– Zapomniałbym, naprawdę! – zaśmiał się zapytany. – Mojego właściwego nazwiska nie będzie pan znał, bo i mnie wywietrzało już z głowy, ale czerwonoskórzy ochrztili imieniem, które wprawdzie nie brzmi pięknie, ale myślę, że się go nie muszę wstydzić, z biegiem czasu stało się dość głośne i sam pan zapewne o nim słyszał. Proszę zgadnąć! Popatrz pan tylko na mnie!

– To mi niewiele pomoże, senior! – odpowiedział Gerard. – Dotychczas poznałem tylko, że jest pan Amerykaninem!

– Jankesem, chce pan powiedzieć? Tak, jestem nim rzeczywiście. Ale proszę się tylko przy-
patrzeć mej twarzy!

To mówiąc wskazał palcami na twarz, Gerard jednak nie mógł odgadnąć.

– Nie? – spytał obcy. – Postaram się jeszcze pomóc. Proszę tylko przestudiować mój nos. Jak
on się panu podoba?

– Hm! Okazały.

– Sądzi pan? To dobrze, a kształt?

– Orli, to chyba za mało – rzekł śmiejąc się Gerard.

– Całkiem słusznie, a więc?

– Sępi można go nazwać, ach do pioruna zaczynam zgadywać.

– Proszę więc, tylko śmiało.

– O, senior, czy tylko pana nie obrażę? – zauważył Gerard.

– Mnie obrazić. Głupstwo! Indianie nazwali mnie tak ze względu na mój nos i miana tego wi-
docznie nie stracę już do śmierci. Proszę się więc nie krępować.

– Jeżeli się nie mylę, to jest pan jednym z najlepszych traperów, najślawniejszy nastawiacz si-
deł i tropicieli śladów w całych Stanach. Naturalnie będzie to dla mnie zaszczytem, gdy będę
mógł uściskać pana rękę, Sępi Dziobie.

– No wreszcie. Tak, jestem tym nicponiem, który to przezwisko musi wlec za sobą. Oto moja
dłoń. Co za spotkanie, mam nadzieję, że nie ostatnie.

Sępi Dziób był jednym z najlepszych i najoryginalniej szych westmanów. Na twarzy Gerarda
widać było radość z tego spotkania, serdecznie uściskał mu rękę i zapytał:

– Co pana tu sprowadza, do fortu Guadalupe?

– O tym pomówimy później. Na razie niech panu wystarczy to, że szukam Juareza. Zasta-
nowmy się raczej nad sposobem obrony fortu. Czy Francuzi naprawdę nadciągają?

– Tak.

– A Juarez za nimi?

– Za, albo przed nimi, tego nie wiem.

– Panu powierzył obronę fortu?

– Tak, jego pisemny rozkaz jest w rękach sędziego.

– Dobrze, pana więc musimy słuchać.

Następnie zwrócił się do Pirnero i zapytał:

– Pan nie chce strzelać do Francuzów?

– Nie chcę, nie potrafię.

– Ale gości chcieć wyrzucać pan potrafi. No już dobrze, nie jestem pamiętliwy. Proszę dalej
spokojnie spoczywać na swych wawrzynach, zastąpię pana.

Pirnero chwycił go za rękę, wołając:

– Senior, dziękuję bardzo! Chce pan naprawdę zastąpić mnie w bitwie?

– Jak pan słyszał.

– To pozwalam panu za to pluć, ile się podoba!

– Tu w pokoju? – pytał Sępi Dziób ze śmiechem.

– Tak – odrzekł Pirnero.

– Nawet i na obraz?

– Wołałbym, aby sobie pan inne miejsce wyszukał.

– Przyrzekam szanować pańskie arcydzieła sztuki, proszę tylko nie zarzucać mnie niepotrzeb-
nymi pytaniami, bo tego nie znoszę.

Resedilla słuchała w milczeniu, jednak obawa i trwoga przed Francuzami pokonały jej nieśmiałość; właśnie chciała zbliżyć się do Gerarda, gdy nowy wypadek przeszkodził jej w tym.

Na dworze znowu było słychać tętent kopyt. Wkrótce na podwórku zaroilo się od nowych przybyszów.

– Na miłość Boga! – krzyknął Pirnero. – Może to Francuzi!

Gerard przystąpił do okna i rzekł:

– Nie. Sądząc po ubiorze to Meksykanie.

– Ale aż tylu! Resedilla! Nowa robota.

Tymczasem otworzyły się drzwi i nowi goście weszli do izby. Był to Sternau z towarzystwem. Oczy wszystkich spoczęły ze zdziwieniem na jego wielkiej postaci. Broda, która mu na wyspie urosła aż do pasa, spadała majestatycznie po ubraniu. Za nim szedł hrabia, a potem mocno zawołowane damy. Emma bowiem chciała zrobić niespodziankę Resedilli.

Nowo przybyli goście zrobili dobre wrażenie. Gospodarz, kłaniając się nisko, przystąpił bliżej gotowy na rozkazy, Gerard i Sępi Dziób cofnęli się w tył izby.

– Pan jest tu gospodarzem? – spytał Sternau Pirnero.

– Tak, senior.

– Będzie pan miał miejsce dla nas wszystkich?

– Chcecie państwo u mnie mieszkać? – pytał ucieszony gospodarz.

– Tak.

– Jak długo?

– Tego nie wiemy.

– Pokoi mam dosyć, senior, jeden nawet wielki, w którym można urządzić salon.

– A konie?

– Mam dobre stajnie i dosyć paszy – zaręczył Pirnero. – Żeby tylko państwo rzeczywiście u mnie zostali.

– A dlaczego nie?

– O senior, obowiązek nakazuje mi przestrzec was, przed wielkim niebezpieczeństwem.

– Jakim?

– Francuzi mają napaść na nasz fort.

– Skąd ta wiadomość?

– Juarez przysłał nam tego oto seniora i polecił mu bronić fortu, dopóki Apacze nie przyjdą z odsieczą.

Sternau spojrział badawczo na mężczyzn stojących w kącie. Po twarzy jego przebiegł uśmiech, po czym zapytał gospodarza:

– Jak się nazywa ten senior, którego mi wskazaliście?

– Czarny Gerard.

Sternau podszedł do nich i witając, rzekł:

– Jeżeli się nie mylę, mam przed sobą mężów, którzy nie zląkną się Francuzów i bronić będą tego fortu.

– Z czego to wnosi, senior? – spytał Gerard.

– Myślę, że Sępi Dziób nie umknie przed Francuzami.

– Co? Pan mnie zna? – spytał zagadnięty ze zdziwieniem.

– Tak i to od dawna, kiedy pan jeszcze stawiał pierwsze kroki jako traper. Twarzy pana nie sposób zapomnieć. Pański towarzysz nazywa się Gerard Mason z Paryża. Nieprawdaż?

– Mnie też pan zna?

– Jak pan widzi. Co słychać u pana siostry, Annety?

Gerard nie mógł posiąść się ze zdziwienia.

– Senior poznał nas w Paryżu?

– Tak.

Na te słowa Gerard zbladł. Wszak w tym czasie był garoterem! Sternau spostrzegł natychmiast jego zakłopotanie, więc dodał:

– Pańską siostrę widziałem u profesora Letourbier. Była dobrą dziewczyną. Cieszy mnie, że znowu pana widzę. O siostrze pana jeszcze porozmawiamy, teraz jednak musimy się zająć ważniejszymi sprawami. Jakie pan środki już przedsięwziął co do obrony fortu?

– Dotychczas żadne – odrzekł Gerard.

– No to musimy się spieszyć, każda chwila cenna. Czy chce pan nieprzyjaciela przyjąć w otwartym polu, senior Gerard?

– Do tego jesteśmy za słabi.

– Kto więc będzie bronił fortu?

– Tych paru mieszkańców. Muszę zaraz posłać po *vaqueros*, by wracali z pola.

– Uczyń to, senior. Proszę i na nas liczyć.

– Ach, państwo chcecie także walczyć?

– Jeżeli będzie to konieczne, to z ochotą.

Gerard chciał właśnie podziękować za tę pomoc, gdy z kuchni rozległ się krzyk. *Vaquero* z hacjendy del Erina otworzył z ciekawości drzwi do pokoju i ujrzał wodza Misteków. Indianie wskutek słabego zarostu mało się zmieniają, więc o wiele łatwiej ich poznać.

– Bawole Czoło! – krzyknął *vaquero* w najwyższym zdumieniu.

Gerard i Yankes podskoczyli, by zobaczyć, co spowodowało ten krzyk. Wódz rzucił badawcze spojrzenie na *vaquero*. Poznał go pomimo tak długiej rozłąki i zawołał także:

– Antonio!

– *Santa Madonna!* To prawda, to rzeczywiście Bawole Czoło? Ale wszyscy sądzili, że zostałeś zabity.

– Bawole Czoło żyje.

– A inni? Co z resztą?

– Także żyją.

Resedilla krzyknęła również i łapiąc za rękę Indianina, spytała gorączkowo:

– Co? Czy to prawda, wy jesteście wodzem Misteków?

– Tak jest – odparł Bawole Czoło ze stoickim spokojem.

– Mój Boże, to cud! Ojczy, widzisz go, to Bawole Czoło, który z Emmą i innymi zniknął przed laty.

– Wodzu, powiedz, czy dobrze słyszałam, inni także żyją?

– Żyją.

– Wszyscy?

– Wszyscy.

– Emma Arbellez i Karta także?

– Tak.

Pytania te wyrzuciła Resedilla jednym tchem. Zanim miała czas na dalsze pytania, zwróciła uwagę na *vaquero*. Ten stał z iskrzącymi oczyma, wpatrując się bez ustanku w Sternaua.

– Senior Sternau, o senior Sternau!

Z tym okrzykiem rzucił się poczciwy *vaquero* na lekarza, wyciągając ku niemu obie ręce.

Sternau uściskał go, mówiąc:

– Poznajesz mnie, Antonio?

– Kto by was nie poznał, was dobroczyńcą hacjendy del Erina.

W tej chwili Resedilla podeszła ku niemu.

– To prawda? Pan jest doktor Sternau?
 Sternau skinął głową i z uśmiechem odrzekł:
 – Tak, seniorita.
 – Do diabła, Sternau, Książę Ska! – zabrzmiał głos z tyłu. – Dlatego mnie poznał!
 Słowa te wyrzekł Sępi Dziób, wypływając przy tym całą zawartość ust nad stołem i ławką.
 – Sternau! Doktor Sternau! – zawołał również Gerard, a podchodząc do niego, zapytał:
 – *Monsieur*, czy to nie pomyłka?
 – Słyszysz pan, że nie.
 – Ja dziękuję panu życie mojej siostry i jeszcze więcej. Jestem w stanie chociaż w części spłacić swój dług. Mogę panu wiele, bardzo wiele wyjawić!
 – Co?
 – O Rodrigandzie, o hrabim Alfonso, o Róży pańskiej małżonce i wiele innych jeszcze spraw.
 – Dobrze, opowie mi pan to później, teraz jednak muszę dać pierwszeństwo senioricie.
 Resedilla chwyciła jego rękę i nie puszczając go, pytała:
 – Senior, skoro pan tu jest, wierzę, że i inni żyją. Proszę mi powiedzieć na miłość boską, ale prędko, gdzie oni są!
 Sternau zrobił ruch kołujący ręką, wskazując na otoczenie i odrzekł:
 – Kochane dziecko, tu masz wszystkich. Nie brakuje nikogo. Podczas tych słów Emma zdjęła welon, Resedilla poznała ją natychmiast.
 – Emma, moja Emma!
 Głośno płacząc, padły sobie w objęcia. W pokoju panowała cisza, nikt nie zakłócał tej sceny. Minuty mijały, a one trzymały się w objęciach, szlochając. Wreszcie Emma spytała półgłosem:
 – Powiedz mi, czy mój ojciec żyje jeszcze?
 – Żyje – odpowiedziała Resedilla.
 Emma zsunęła się na kolana i składając ręce jak do modlitwy i zawołała:
 – O mój Boże, mój dobry Boże, jakże ci dziękuję!
 – Właśnie przed chwilą otrzymaliśmy list od niego – zauważyła Resedilla. – Musisz go przeczytać. A czy nie zechcesz przywitać się z moim ojcem?
 Towarzystwo rozglądnęło się za Pirnero, lecz zauważyli tylko jego nogi, tułów i głowa były na podwórzu. Z wielkiego wzruszenia nie wiedział, co ma uczynić, a wstydził się płakać, więc podszedł do swego ulubionego okna, wysunął głowę na zewnątrz.
 Kiedy go wreszcie córka przemocą wciągnęła do pokoju, płakał ciągle jak dziecko. Objąwszy Emmę, wykrztusił:
 – Wypuście mnie ludzie, inaczej lży mnie zadławią z wielkiej radości.
 Przycisnął Emmę do serca, następnie pobiegł do drzwi i zniknął. Resedilla tymczasem zwróciła się do odnalezionnej.
 – Emmo kochana, przedstaw mi teraz wszystkich panów!
 – Kogo najpierw Resedillo?
 – Seniora Helmera, twego narzeczonego.
 Emma uśmiechnęła się figlarnie i rzekła:
 – Znajdź go sama! Chciałabym się przekonać, czy umiesz zgadywać.
 Resedilla po chwili zastanowienia wskazała na Mariano.
 – To on!
 – Źle! Ten senior to... o zatrzymam jeszcze stare imię, porucznik Lautreville.
 – Lautreville? Mariano? – spytał Sępi Dziób.
 – Tak – odrzekł Mariano. – Zna pan moje imię?
 – Dobrze, nawet bardzo dobrze – powiedział Jankes.

– Skąd?

– Pewna dama, Angielka, często mi je wymieniała.

– Angielka? – spytał Mariano z pośpiechem. – Jak się nazywa?

– Amy Lindsay.

Mariano złapał mówiącego za rękę i potrząsając nią, jakby mu chciał ją wyłamać, wołał z uniesieniem:

– Powiedz jeszcze raz to imię, ale zaraz, proszę sir.

– Amy Lindsay.

– Dawniej tak się nazywała, teraz musi nosić inne nazwisko?

– Dlaczego miałyby się inaczej nazywać?

– Bo każda dama po zamążpójściu przybiera nazwisko męża.

– Ależ ona jest panną.

– Człowieku! Czy to prawda?

– Tak.

– I pan ją znasz?

– Znam nawet lorda, jej ojca.

Ogromne wzruszenie odmalowało się na twarzy Mariano.

– Gdzie ich pan widział? W Anglii?

– Tutaj w Ameryce! W El Retugio.

– To jest przy ujściu rzeki Rio Grandę del Norte?

– Tak.

– Kiedy?

– Przed paru dniami.

– O Boże! Więc oni są w Meksyku? Co robili w El Refiugo?

– Właściwie to tajemnica, ale w obecnych okolicznościach mogę chyba to powiedzieć.

– Proszę sir, zaręczam, że z tego powodu nie będzie pan miał nieprzyjemności.

– Służyłem lordowi za przewodnika – ciągnął Sępi Dziób. – Lord przybył do Meksyku jako pełnomocnik rządu brytyjskiego. Przywiózł ze sobą wielkie zapasy broni, amunicji i sporo pieniędzy. Naturalnie wszystko w tajemnicy. Francuzi nie mogą się o tym dowiedzieć. Cały transport ma być spławiony w górę rzeką Rio Grandę del Norte.

– Dla kogo? – przerwał nagle Sternau.

– Dla Juareza – odrzekł Amerykanin. – Dlatego przybyłem tutaj, bo chcę oznajmić prezydentowi o zbliżaniu się przesyłki i zapytać dokąd mam ją odstawić.

– Ach! Więc lord sam pilnuje przesyłki?

– Tak, kieruje wszystkim.

– Ale jego córka?

– Jest przy nim.

– Niepodobne. Dziewczyna w puszczy Rio Grandę?

– Ona nie opuszcza swojego ojca.

– Ja muszę się z nimi zobaczyć. Gdybym tylko zaraz mógł tam pojechać!

– Kiedy transport ma nadejść?

– Tego nie mogę powiedzieć, gdyż nie wiem. Muszę najpierw udać się do Juareza, a potem z powrotem do lorda.

– Dziękuję panu serdecznie za tę wspaniałą wiadomość. Nie uwierzy pan jaką nam sprawiłeś radość. Taka nowina. Jestem panu bardzo wdzięczny.

– Jeżeli to nie ten, to który? – szepnęła Resedilla do kuzynki. Emma wskazała palcem Antoniego Helmera i rzekła:

– Ten, a stojący obok niego to jego brat.
 Resedilla podbiegła do obu i przywitała serdecznie.

– A ten senior? – spytała wskazując na don Ferdynanda.

– Zgadnij.

– Nie potrafię?

– Wierzę, bo to wręcz nieprawdopodobne. Czy wiesz o wszystkim co się stało w hacjendzie del Erina?

– Wiem.

– Słyszałaś i o tym, że dom Ferdynand de Rodriganda zmarł?

– Tak.

– Otóż tu, przed tobą stoi hrabia Ferdynand i jak widzisz żyje. Zdziwienia Resedilli nie da się opisać. Stary hrabia gładził jej piękne włosy i uśmiechał się zyczeniście.

– Później opowiem ci o wszystkim dokładnie – rzekła Emma. – Ten ostatni pan to senior Mendoza, który był razem z hrabią w niewoli.

– Jeszcze jednego brakuje Emmo! – odezwała się Resedilla.

– Kogo?

– Niedźwiedzie Serca! Nie żyje?

– Żyje. Wczoraj opuścił nas na jakiś czas, bo chciał podążać za śladami Apaczów, którzy ciągną pod wodzą jego brata.

Nagle jak w przysłowiu: „Nie maluj diabła, bo go ujrzysz” zjawił się Niedźwiedzie Serce. Zwyczajem Indan zajechał po cichu, tak, że nikt go nie słyszał i teraz zjawił się w drzwiach. Okiem znawcy obejrzał zgromadzenie, po czym jakby nigdy nic nie zaszło zwrócił się z całą powagą do Sternaua pytając:

– Co będzie czynił mój biały brat? Czy będzie walczył?

– Jestem twym przyjacielem – odrzekł Sternau. – Twój wróg jest moim wrogiem.

– To niech mój brat chwytą za broń. Francuzi zaraz przyjdą.

– Widziałeś Niedźwiedzie Oko?

– Nie. Żadnego syna Apaczów nie ujrzałem.

– Dlaczego?

– Jechałem ich śladami wczoraj wieczór i dzisiaj rano. Ujrzałem ich ślady krzyżujące się ze śladami Francuzów, którzy dążyli na wschód. Synowie Apaczów są tuż za Francuzami. Ale wróg nie podążył ku fortecy tylko zwrócił się ku górcom Puercos.

– Rozumiem! Ponieważ ich oddział został niedawno zniszczony obrali inną drogę, chcą z innej strony napaść na fort. Śledził mój czerwony brat dalej ich ślady?

– Nie! Musiałem prędko wracać, by oznajmić, że nadchodzą.

– Byli tylko jeźdźcy?

– Tak.

– Mieli działa ze sobą?

– Nie.

– No, zobaczymy co się da zrobić. Kiedy mogą tu dotrzeć?

– Godzina upłynie.

Sternau skinął na Gerarda i rzekł:

– Przyrzekłem panu, że będę mu pomagał, więc pozostaje mi tylko przedstawić innych, którzy również będą walczyli. Już pan słyszał, że Bawole Czoło jest z nami i wiesz który to?

– Tak.

– To dobrze, otóż ten tutaj Indianin to Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów. Ten pan, co przy nim stoi to Piorunowy Grot, o którym pan też na pewno słyszał. Pozostali mężczyźni także będą

uczestniczyć w obronie, tylko hrabiego Ferdynanda będę prosił, by został przy damach, jako ich obrońca.

Pomimo swego podeszłego wieku hrabia nie chciał się na to zgodzi, dopiero prośby pozostałych skłoniły go do tego.

– Kto obejmuje dowództwo? – spytał Gerard.

– Naturalnie, że pan. Przecież Juarez wyznaczył pana.

– O nie, *monsieur* – odrzekł Gerard. – Proszę mnie od tego zwolnić.

– A to dlaczego? – spytał Sternau.

– Kim ja jestem w porównaniu z Księciem Skał, Bawolim Czołem, Niedźwiedzim Sercem lub Piorunowym Grotem?

– W takim razie muszę przyjąć tę odpowiedzialność.

– Myślę, że tak będzie najlepiej.

– Nie traćmy więc drogiego czasu. Muszę obejrzeć fort.

– Proszę za mną, ja go panu pokazę – rzekł Gerard.

Wyszli. Forteca była mała, położona nad brzegiem rzeki, na wąskiej stromej wyżynie i otoczona palisadami. Położenie jej było szczęśliwe i łatwo było ją obronić przed nieprzyjacielem.

Zgromadziło się tylko dwudziestu uzbrojonych mieszkańców i z nimi musiano spróbować, jakich czas utrzymać z daleka trzystu Francuzów.

Podczas, gdy Sternau z Gerardem obradowali nad obroną, Niedźwiedzie Serce wyszedł z pokoju, by poszukać gospodarza. Znalazł go w sklepie, bo aż tam uciekł, chcąc zapanować nad swym wzruszeniem.

– Biały mąż ma tu dużo rzeczy! – zagadnął go Apacz.

– Tak – odrzekł Pirnero.

– I można wszystko kupować?

– Tak.

– Jakie pieniądze bierze biały brat najchętniej?

– Wszystkie, które są tutaj w obiegu.

– Ma mój brat także farby?

– Tak, we wszystkich gatunkach i kolorach.

– Ma krucze i orle pióra?

– Mam.

– Ma ubranie dla czerwonoskórych?

– Mam piękne indiańskie ubrania, uszyte przez pracowite *squ-aws*.

– A płaszcze ze skór?

– Nie, ale mam tutaj skórę szarego niedźwiedzia.

– Ma mój brat także sztuczne ognie?

– Mam.

– Niech mi pozwoli wybrać, czego mi potrzeba, zapłacę zaraz. Tymczasem Emma stała w kuchni przy *vaquero* i słuchała opowieści o ojcu i hacjendzie. Resedilla przyniosła jej list, który niedawno otrzymała. Emma przeczytawszy go zawołała:

– Ojciec spodziewa się śmierci! Biedny! – rzekła.

Z jej oczu popłynęły łzy. Resedilla chcąc ją trochę rozerwać zapytała:

– Dzisiaj zostaniecie u nas wszyscy?

– Tak.

– To muszę się zakrzętać przy jedzeniu. Nie chcesz mi pomóc?

– Chętnie.

– Dziękuję, chodź pokażę ci wasze pokoje.

W ten sposób starała się oderwać Emmę od smutnych myśli.

Sternau oglądając cały fort chciał wracać, lecz Gerard zatrzymał go prosząc:

– Niech się senior zatrzyma, chciałbym jeszcze coś ważnego omówić. Tyle czasu może jeszcze będziemy mieli.

– Słucham.

– Ów stary senior to hrabia Ferdynand de Rodriganda?

– Tak.

– A ten młody, Mariano jest prawowitym spadkobiercą hrabiego?

– Tak się domyślamy. Ale skąd pan wie o tym?

– O tym powiem później. Czy wie pan, że ja byłem w Kreuznach?

– Naprawdę?

– Niestety nie przypadkiem! Pan wie, z czego żyłem w Paryżu?

– Wiem.

– Nie chcę się usprawiedliwiać, ale to były podle czasy, przeklinam się za to. Otóż tam obrabowałem hrabiego Alfonso.

– Alfonso de Rodrignda? – przerwał Sternau.

– Tak jest.

– W Paryżu?

– Tak. Przebywał tam pod fałszywym nazwiskiem. Zabrałem mu jego pieniądze i notes, w którym były zapisane wszystkie jego występki.

– Niepodobne! To szalona nieostrożność.

– Nie wie pan, że najprzebieglejsi zbrodniarze mają swoje słabostki, po których ich łatwo można odkryć?

– To prawda.

– Tak było i z nim. Później poznał mnie.

– Nie wiedząc, że przez pana został obrabowany?

– Nie. Wiedział, że za pieniądze zrobię wszystko, więc dał mi zadanie dotyczące pańskiej żony.

– Mój Boże! Co to było?

– Miałem z nim udać się do Kreuznach i tam zamordować pańską żonę.

Sternau zbladł.

– I co pan uczynił? – zapytał gorączkowo tracąc oddech z przerażenia.

– Zgodziłem się na to, ale pozornie tylko.

– Dzięki Bogu!

– Gdybym się nie zgodził, najalby innego i hrabina Róża nie żyłaby dzisiaj.

– Tak, to prawda, więc pojechał pan z nim do Moguncji?

– Tak i to jako jego służący.

– Co tam robiliście?

– Udałem się do pańskiej żony. Matka i siostra były przy niej. Opowiedziałem im wszystko, a także powód, dla którego morderstwa tego wykonać nie chcę, lecz je ostrzegłem przed niebezpieczeństwem.

– Co to był za powód?

– Bo pan uratował moją siostrę.

– Jak to za dobrym uczynkiem od razu idzie nagroda.

– Wracając od pańskiej żony szedłem przez las. Tam spotkałem leśniczego.

– Zapewne Tombi?

– Oddałem mu notes zabrany hrabiemu Alfonso.

- To nieostrożność!
- Chciałem, by mi przetłumaczył. Przeczytał po czym schował i nie oddał mi.
- Pozwolił pan na to?
- On jest synem Zarby.
- Zna pan Cyganekę Zarbę?
- To moja władczyni.
- Władczyni? W jaki sposób? Zdziwiał mnie pan!
- Istnieje tajemne stowarzyszenie, którego celów nie wolno mi zdradzić.
- Wiąże pana przysięga?
- Tak. Zarba jest głową tego stowarzyszenia, każdy członek winien jej absolutne posłuszeństwo.
- Nawet zbrodni?
- Nawet najokrutniejszej zbrodni. Tombi nie chciał mi oddać notesu, a ja nie mogłem go zmusić. Wobec niego, syna Zarby, byłem bezsilny.
- Dlaczego Zarba wysłał swego syna do Kreuznach?
- Tego nie wiem, ale na pewno musiała mieć w tym jakiś ukryty cel.
- Czy Tombi ma jeszcze ten notes?
- Przypuszczam, że już musiał oddać Zarbie.
- Ona też będzie musiała go oddać. I co dalej?
- Zdradziłem zamiar Alfonsa. Policja zaczęła go śledzić, ale umknął do Hiszpanii. Mnie w Paryżu nie powodziło się dobrze, zaczęło mnie gryźć sumienie, więc uciekłem do Ameryki i tutaj zostałem myśliwym. Postanowiłem oczyścić sawannę ze zbrodniarzy i nicponiów. Stałem się sławnym, lecz sumienie nie dawało mi spokoju.
- Gerardzie! Bóg nie gniewa się wiecznie.
- Ale ludzie!
- Co pana obchodzą ludzie?
- Bardzo. Poznałem tu dziewczynę, anioła czystego i dobrego. Pokochała mnie, a ja ją, uczciwie wyznałem jej, że byłem zbrodniarzem.
- Czy to było konieczne?
- Myślę, że tak. Wybaczyła mi wszystko i odda dawnemu garoterowi swą rękę. Sternau nie chciał przerywać tej wypowiedzi.
- Ale ja nie chcę, żeby cierpiała! – ciągnął Gerard dalej. – Jestem myśliwym: tysiące niebezpieczeństw mnie otacza, łatwo mogę zginąć. Czy na wypadek mej śmierci mogę pana prosić o przysługę, panie Sternau?
- Bardzo chętnie, jeżeli będę w stanie.
- Jeżeli pan usłyszy, że nie żyję proszę pość do niej i powiedzieć, że w chwili śmierci myślałem o niej.
- Sternau dziwnie się poczuł.
- Pan myśli o śmierci? Wybij pan to sobie z głowy. Zresztą bardzo wątpię, bym był obecnym przy panu w tej smutnej chwili.
- Ale ja pana proszę!
- Muszę więc wiedzieć, kim jest ta dama.
- Resedilla Pirnero.
- Rozumiem, to wspomniała kobieta i na pana miejscu pozwoliłbym temu pięknemu uczuciu rozwijać się swobodnie.
- Tak, ale to nie takie proste.
- Dlaczego?

- Resedilla jest przyjaciółką Emmy Arbellez, znajomą hrabiego i tylu innych, godnych szacunku ludzi. Nie mogą być dla nie przeszkodą.
 - Pan się mylisz. Jakkolwiek na razie czuje się pan trochę upokorzony, jestem jednak przekonany, że to się zmieni. Musi to pan przezwyciężyć.
 - Wątpię. Ale, senior Sternau, mogę na pana liczyć? Zrobi mi pan tę przysługę?
 - Ale pan nie umrze tak prędko.
 - Kto to wie? Czyż nie szykujemy się do walki?
 - Dobrze, przyrzekam!
 - Dziękuję i proszę o jeszcze jedno. Gdybym dzisiaj zginął, to mam jeszcze jedną prośbę. Jeżeli będzie pan kiedyś w Chihuahua, to proszę pewnej damie, która nazywa się Emilia i o której pan jeszcze usłyszysz, powiedzieć, że zginąłem i że ją proszę, by poważnie traktowała życie.
 - Czy to pańska dawna kochanka?
 - Nie. Ale kocha mnie, jak żadna kobieta nigdy nie kochała.
 - Dobrze, zrobię to.
 - Teraz możemy wracać.
- Skierowali swe kroki ku gospodarce.
- Resedilla tymczasem razem z Emmą przygotowywały pokoje gościnne. Właśnie szła po schodach z miednicą pełną wody, kiedy obaj wchodzili do środka. Nie zauważyła ich, a Gerard poszedł na górę chcąc z nią porozmawiać.
- Myśl o dzielącej ich przepaści bardzo go ostatnio dręczyła. Nie wierzył, by przyszłość mogła to zmienić, postanowił więc wszystko zakończyć.
- Zapukał, Resedilla była zajęta pielęgnacją kwiatów.
- Ach, senior, ale radość, prawda? – zawołała na jego widok.
 - Z jakiego powodu? – spytał.
 - Z powrotu mojej kuzynki, co to za szczęście, nieprawdaż?
 - Tak, to prawdziwe szczęście.
 - Proszę sobie wyobrazić, właśnie dzisiaj dostałam list od jej ojca, w którym donosi, że chce mi zostawić w spadku hacjendę i prosił bym go odwiedzić.
 - W tych niebezpiecznych czasach?
 - Liczyłam na pańską pomoc w podróży.
 - Z wielką chęcią bym pani towarzyszył!
 - Wiem o tym. Jestem nawet pewna.
- Patrzyła mu w oczy z taką ufnością, że spuścił wzrok i odrzekł:
- Proszę tak nie mówić, seniorito!
 - Dlaczego?
 - Bo właśnie dzisiaj zrozumiałem pewne sprawy. Na dole, gdy stała pani w towarzystwie tych ważnych ludzi, pojąłem, że pani jest wyjątkowa i muszę się trzymać z daleka.
- Pod wpływem tych słów dziewczynę opanowała trwoga.
- Mój Boże, kto to panu powiedział? Skąd takie myśli u pana? – pytała.
 - Same przyszły.– odpowiedział.
 - To proszę je odpędzić! Czy nie pamięta pan, że po wyznaniu mi prawdy przebaczyłam panu wszystko?
 - Pamiętam! Seniorita była zawsze tak dobra dla mnie, dlatego myślę, że i dzisiaj nie odrzuci pani mej prośby.
 - Naturalnie, chcę ją tylko usłyszeć.
 - Niech seniorita zamknie oczy!

– Ach! – rzekła, uśmiechając się. – Chcesz się pan zabawiać, chce mi pan sprawić jakąś niespodziankę?

– Tak, ale ta niespodzianka chyba się pani nie spodoba.

– Spróbujemy. Proszę patrzeć, już zamknęłam oczy! Gerard podszedł do niej i obejmując ją ramionami, przycisnął do serca. Zanim miała czas otworzyć oczy, poczuła jego ciepłe usta na swoich wargach.

– Dziękuję, moja kochana, droga Resedillo! Nie zapomnij mnie! Poczuela, że zwolnił uścisk, kiedy otworzyła oczy, jego już nie było. Zbiegł po schodach jak wiatr i wpadłszy do izby gościny, złapał swą strzelbę i chciał wyjść, lecz Sępi Dziób widząc ten pośpiech, zapytał:

– Co to? Nadchodzą?

– Nie wiem, ale lepiej zachować czujność.

– Idę z tobą.

Jankes również chwycił za strzelbę. Obaj wyszli obserwować okolicę. Lecz w tej chwili podniósł się przy bramie krzyk.

– Nadchodzą, nadchodzą!

Wszyscy chwycili zabron, skupiając się koło dowódcy.

Hrabia Ferdynand wyszedł na górę, by obejrzeć swój pokój. Na korytarzu spotkał młodą dziewczynę, jaśniejąca urodą młodości. Była to Pepi.

Hrabia zobaczywszy ją, stanął jak wryty.

– Emilka! – wyrwało mu się mimo woli. Zdumiona cofnęła się o krok. To doprowadziło go do przytomności. Przystąpił do niej i rzekł:

– Proszę wybaczyć seniorita! Czy należy pani do rodziny gospodarza?

– Nie – odrzekła nie spuszczać oka z jego postaci wzbudzającej szacunek.

– A czy mogę zapytać o pani imię.

– Nazywam się Pepita, jednak zwyczajnie wołają mnie Pepi.

– Ale ja chciałem poznać pani nazwisko!

– Nie mam żadnego.

– To niemożliwe.

– Nie mam rodziców; razem z siostrą byłyśmy wychowane w klasztorze.

– Ma pani siostrę?

– Tak.

– A ile ma pani lat?

– Osiemnaście, a ona siedemnaście.

– W którym klasztorze były panie wychowane?

– W klasztorze Della Barbara w Santa Jaga. Chciał jeszcze o coś spytać, lecz z innych drzwi wyszli dwaj panowie i zbliżali się do nich. Był to Bertold z Williamem, wiedeńscy lekarze.

– Co to takiego? Dlaczego słyhać strzały? – spytał Bertold.

– – Francuzi nadchodzą i chcą wtargnąć do fortu – odpowiedział hrabia.

– A to niespodzianka. Chodź William musimy zobaczyć co się dzieje.

Pobiegli w dół. Pepi była tak zdumiona słowami Ferdynanda i tak przerażona, że cofnęła się do pokoju zamykając za sobą drzwi.

– Nazywa się Pepita – szeptał hrabia. – Ma siostrę i obie były w klasztorze Della Barbara.

Zszedł po schodach pogrążony w myślach.

Obaj doktorzy doszli właśnie do bramy, koło której skupili się obrońcy. Sternau dominował w tym zgromadzeniu tak, że od razu go zauważyli. Bertold odezwał się zdziwiony:

– William znasz tego Meksykanina, który tam stoi?

– Tego wysokiego? – odrzekł zapytany. – Gdyby nie ta broda, wziął bym go na pierwszy rzut oka za...

Przerwał, bo już sama myśl wydawała się mu nieprawdopodobna.

– No, za kogo? – naglił Bertold.

– Za owego doktora Sternaua, który w salonie twych rodziców tyle mówił o sobie kiedy jeszcze byliśmy chłopcami.

– Ja też tak myślę. Nadzwyczajne podobieństwo! Muszę iść do niego, chodź ze mną.

Podeszli do Sternaua, Bertold uklonił się i zapytał:

– Proszę wybaczyć, senior! Czy był pan kiedyś w Wiedniu?

– Tak – odrzekł zapytany, oddając im ukłon.

– Pan jesteś nadzwyczaj podobny do jednego znajomego, który bywał w naszym domu, u mojego ojca.

– Kto jest pańskim ojcem?

– Profesor Bertold, z Wiednia.

Sternau aż cofnął się ze zdziwieniem mówiąc:

– Profesor Bertold z Wiednia? Ten sam, to mój przyjaciel i opiekun.

– Więc nie pomyliłem się! Pan jest doktorem Sternau?

– Naturalnie.

– Co za przypadek. Co za spotkanie! Mógłby ktoś coś podobnego przypuszczać?

– A pan jesteś ten mały Johan, który tak brylował w łacinie, nieprawdaż?

– Tak. Zostałem lekarzem i oto z moim przyjacielem, doktorem Williamem przyłączyliśmy się do ekspedycji meksykańskiej, chcąc wzbogacić naszą wiedzę. Przybyliśmy do Chihuahua i połączaliśmy razem z kompanią Francuzów, która miała zdobyć ten fort. Wszyscy jednak zginęli, a nas oszczędzono.

– To bardzo interesujące. Potem o tym porozmawiamy, teraz są jednak ważniejsze sprawy.

– Słyszeliśmy, że Francuzi znowu nadciągają.

– Tak, proszę spojrzeć tylko tam, na wschód.

– Fort będzie się bronił?

– Naturalnie. Ja kieruję obroną.

– A gdzie pańskie siły? – spytał William zdziwiony, że niemiecki lekarz kieruje obroną meksykańskiego fortu.

– Tutaj – odrzekł Sternau wskazując na garstkę uzbrojonych ludzi.

– Ach! A ilu jest Francuzów?

– Trzystu.

– I pan chce z tą garstką bronić fortecy?

– Naturalnie.

– Panie doktorze, oni zgniotą was.

– Zobaczymy. A teraz proszę panów, jeżeli oczywiście chcecie nam pomóc, o opiekę medyczną.

– I owszem, ale narzędzia mamy w pokojach.

– Proszę je przynieść i to prędko. Myślę, że walka wkrótce się rozpocznie.

Obaj lekarze udali się do pokoi, Sternau zaś posłał kilku krajowców do Pirnero, by wydał cały zapas amunicji, po czym rozstawił swoich ludzi za palisadami, tuż nad brzegiem skały, skąd można było dokładnie widzieć nadciągającego wroga. Od strony wody nie potrzebowano się na razie obawiać napadu.

Francuzi jechali galopem. W pobliżu fortu około pięćdziesięciu jeźdźców oderwało się od masy i popędziło w kierunku otwartej bramy.

Widocznie od razu chcieli wtargnąć do fortu. Może jakieś dwadzieścia kroków dzieliło ich od bramy, kiedy Sternau wyszedł im na spotkanie.

Kapitan, dowodzący oddziałem, zobaczywszy wysoką, dumną postać Sternaua ubranego w bogaty meksykański strój, wstrzymał konia.

– Czego sobie tutaj życzyacie, panowie? – spytał Sternau grzecznie, ale stanowczo.

– Chcemy się dostać do fortu – odrzekł kapitan.

– Po co?

– Chce nas pan egzaminować?

– Trochę. Przyjeżdżacie panowie w pokojowych zamiarach?

– Naturalnie.

– To proszę, możecie wjechać, tylko najpierw proszę złożyć broń.

– Co, kim pan jest, że ośmielasz się tak do mnie mówić?

– Jestem komendantem tego fortu.

Kapitan zasalutował i śmiejąc się ironicznie rzekł:

– To rzeczywiście zaszczyt nie lada, panie kolego. Ilu podwładnych ma pan pod sobą? Pięciu czy sześciu?

– Moich sześciu ludzi całkowicie wystarczy.

– A jaką pan ma rangę?

– Proszę sprawdzić szpadą!

– Dobrze. Wzywam pana do natychmiastowego poddania fortu.

– A ja żądam, byście panowie natychmiast stąd się oddalili.

– Daję panu dziesięć minut do namysłu.

– A ja panu dwie minuty na oddalenie się.

– Do diabła, w razie najmniejszego oporu utoruję sobie drogę ostrzem.

– Bardzo chciałbym poznać to ostrze.

– Oto ono! Dalej ludzie, do środka!

Wydobył szpadę i dał koniowi ostrogi. Ten podskoczył, posunął się naprzód, a za nim inni.

Sternau w gnieniu oka wydobył zza pasa rewolwery. Pierwszy strzał zrzucił kapitana z konia, każdy inny kosztował życie jednego z żołnierzy. Wystrzelivszy naboje pobiegł do bramy, która w tej chwili została zabarykadowana. Jednocześnie wykwitały coraz to nowe dymki zza palisady. Stali tam ludzie, którzy umieli się dobrze obchodzić z bronią. Kule ich trafiały żołnierzy i co chwila któryś spadał z konia.

Konie bez jeźdźców przestraszone hukami stawały dęba, padały lub pędziły tratując po drodze wszystko. Powszechne zamieszanie wzrastało z każdą chwilą, przerywane coraz nowymi strzałami zza ogrodzenia. Wszystko to odbyło się tak błyskawicznie, że Francuzom nie przyszła do głowy myśl o ucieczce. Kiedy wreszcie zobaczyli, że dalszy atak jest niemożliwy zwrócili konie, było ich już tylko dziewięciu.

Gerard stał obok Sternaua trzymając w ręku dymiącą strzelbę.

– Dobrą nauczkę dostali – odezwał się. – Jeżeli mają trochę oleju w głowie zaniechają dalszych napadów.

– Myślę, że nie będą – odparł Sternau. – Nie widzisz pan, że oficerowie zebrali się na naradę.

– Widzę, ale nie spostrzega pan tam czegoś na krawędzi gór? To mówiąc wskazał na wschodnie góry. Nadzwyczaj wprawnego oka było trzeba, by ujrzeć czerniejącą tam linię, poruszającą się i rozciągającą z wolna na prawo i na lewo.

– Aha! Odsiecz, Apacze! – zwołał Sternau.

– Formują łuk, by otoczyć nieprzyjaciela ze wszystkich stron.
– Upłynie przynajmniej kwadrans, bo muszą z wielką ostrożnością przystąpić do dzieła, by ich Francuzi nie zauważli przed czasem.

– Ci dumie są zaniadto zajęci swymi planami – odparł Gerard. – Zresztą znaj dują się w dolinie i nawet nie wystawili straży. O, wymyślili coś nowego!

– Chcą przepuścić szturm – odezwał się Mariano stojący w pobliżu.

Nie omylił się. Francuzi posiadali z koni, odprowadzając je na tyły. Uformowali się w półkole, chcąc napaść na fort od strony rzeki. Sternau wysłał natychmiast w tym kierunku dwóch krajowców.

W tej chwili jakiś oficer galopował na koniu w kierunku fortecy, powiewając białą chustką przyczepioną do szpady. W odległości może pięćdziesięciu kroków przystanął. Był to sam dowódca, ten sam major, który tak ubóstwiał senioritę Emilię.

– Ach! To ten major – wybąkał Gerard.

– Zna go pan? – spytał Sternau.

– Tak. Może mi pan pozwoli z nim pomówić?

– Chętnie.

– Wyjdę naprzeciwko.

– To niebezpieczne.

– Wcale nie. Stoję przecież pod pewną obroną pańskich strzelb.

– Proszę iść i powiedzieć mu to, co ja bym mu powiedział. Sternau rozkazał otworzyć bramę. Gerard zarzuciwszy strzelbę na ramię wyszedł spokojny i spuściwszy się z wyżyny znalazł się tuż koło konia oficera, który zdumiał się taką śmiałością. Spojrzawszy jednak w ciemne oblicze mimowolnie ściągnął cugle.

– Na Boga, Czarny Gerard! – zawołał.

– Tak, to ja – odrzekł. – Sama moja obecność odpowiada panu, czego się może pan spodziewać.

– Chcę zająć fort.

– Niech pan nawet o tym nie marzy. Chciałby go pan wziąć w posiadanie i to jak najprędzej, o tym jestem przekonany. Pozwoli pan, że pozwolę sobie na porównanie, tak jak piękną Emilię, ale czy skutek ten uwieńczy zamiar, to się dopiero okaże.

– Co pana obchodzi seniorita Emillia? – zawołał major z oburzeniem.

– A co pana obchodzi nasz fort? Ale po co te kłótnie. Dowódca twierdzy wysłał mnie, bym pana spytał, czego żądasz.

– Żądam natychmiastowego poddania fortu, a to dlatego, że zgładziliście już czterdziestu moich żołnierzy.

– Więcej pan niczego nie żąda? Bardzo skromnie. Tych czterdziestu zostało wystrzelonych dlatego, że kapitan odważył się napaść ze szpadą na naszego dowódcę. W niespełna dwie minuty czterdzieści trupów leżało na ziemi. Może pan wywnioskować z tego, co was czeka. Propozycja poddania się jest głupia.

– Proszę nie zapominać z kim pan mówi!

– Mały major mówi ze sławnym Gerardem; o tym każdy wie. Proszę przyjąć do wiadomości, że to ja byłem tym, który waszą kompanię oddał w ręce Apaczów. Duma tu panu nic nie pomoże i to wojsko, choć liczne, zostanie wybite, jeżeli się nie cofniecie. Zaręczam, że żaden żołnierz nie zostanie przy życiu.

– Pan musisz mieć gorączkę! Proszę oznajmić moje żądanie pańskiemu dowódcy.

– To nie jest potrzebne, odpowiedź już pan otrzymałeś.

– To ma być ostatnie słowo?

- Tak.
- Oznajmiam więc, że nie będę znał litości!
- To śmieszne, myślę, że nie znajdzie taka potrzeba.
- Zobaczymy. Zaraz zaczniemy.

To mówiąc podniósł szpadę w górę, zdarłwszy wprzód z niej chustkę. Na ten znak półkole Francuzów poczęło się szybko poruszać. Złamał warunki pokojowego rokowania. Gerard był przecież wysłannikiem nieprzyjaciela, a więc osobą nietykalną. Pomimo tego major wyciągnął szpadę krzycząc:

- Ty łotrze, masz nagrodę za wszystko!

Zamierzył się do ciosu. Nie znał jednak Gerarda, jeżeli sądził, że mu pójdzie tak łatwo. Kolbą strzelby sparował cięcie, gwałtownym szarpnięciem zrzucił go z konia i obalił na ziemię. W mgnieniu oka wyrwał mu szpadę i obróciwszy go na wznak wbił w ciało aż po rękojeść, tak że ostrze wryło się głęboko w ziemię.

– Tu masz nagrodę zdrajco! – zakrzyknął sapiąc nad nim. – Przygwożdżony własną szpadą oglądaj porażkę swoich.

Po czym pospiesznie począł biec na górę. Kule nadciągających Francuzów świstały mu za uszmi. Ze strony fortu dały się już słyszeć nawoływania.

- Prędko, prędko do bramy. Jeszcze otwarta!

– Za późno! – odkrzyknął. – Zamykajcie! Ja zostaję tutaj. Za jednym, jedynym drzewem, które stało na wzgórzu w pobliżu palisady, schronił się i rozciągnawszy na ziemi wysyłał zza niego kulę po kuli atakującym Francuzom.

- Ten człowiek szuka śmierci – odezwał się Sternau do Mariano.

- Tak się przynajmniej wydaje – odrzekł.

- Znasz może powód tego?

- Tak. Musimy go wspierać ile możliwości! Nie powinien zginąć. Chodź ze mną.

Obrońcy fortu nie byli wprawdzie liczni, ale tacy mężowie jak Sternau, Gerard, Sępi Dziób, Bawole Czoło wystarczyli za pięciu, a może i dziesięciu innych. Nim Francuzi dobiegli do podnóża skały, ich szeregi poczęły się przerzedzać, ale nadal nacierali.

Dopiero podczas wspinania się można było oglądać straszliwe skutki celnego ognia obrońców. Gdy tylko któryś podsunął się wyżej padał ugodzony kulą, tamując drogę innym. Następny wdierał się po trupie dalej, ale tylko po to, by natychmiast podzielić dolę poprzednika.

Tam, gdzie znajdował się Gerard wrzała najzapalczywsza walka. Jeden z oficerów poznał go, więc rozkazał natychmiast swoim ludziom osaczyć go i wziąć o ile możliwości żywcem. Jeden po drugim drapał się w górę, lecz Gerard nie próżnował. Każda jego kulka była celna, a jeżeli któremuś udało się dojść z boku aż do niego, jego ciężka kolba roztrzaskiwała mu głowę.

Właśnie w tym miejscu, za palisadami stał Sternau i Mariano, niedaleko nich Sępi Dziób. Pracowali w pocie czoła, starając się ratować Gerarda, a napastników powstrzymując z dala, celnymi strzałami.

Przede wszystkim interesujące było zachowanie się Sępiego Dzioba. Ładował, mierzył i strzelał z taką szybkością i wprawą, iż zdawało się, że to czary. Przy tym mówił głośno, jakby rozmawiając z nieprzyjacielem.

– Tam znowu któryś mierzy w Gerarda! – wołał. – Szkoda, że się trudzisz, bo najpierw połkniesz moją kulkę!

Szybko wypalił, Francuz celujący w Gerarda potoczył się po ziemi.

– Tam znowu gramoli się drugi. Zapewne myśli, że go nie zobaczę. Przerachowałeś się, patrz tylko, jak polecisz w dół.

Wypalił z drugiej lufy i Francuz trafiony w czoło padł do tyłu obalając przy tym własnym ciałem idących za nim żołnierzy.

Gerard dotychczas bronił się zacięcie, lecz nagle zabrakło mu kuł. Walczył jeszcze swą kolbą i choć ranny, ociekający krwią, oganiał się jak odyniec waląc ile miał sił naokoło.

W tej chwili zabrzmiał donośny głos Sternaua:

– Nie bój się pan nadchodzi pomoc!

Pomimo znacznej przewagi, nie udało się żadnemu z Francuzów dotrzeć do palisady. Nagle odezwały się ich trąbki, wołające do powrotu. W zaciekłości swej w szturmowaniu nie spostrzegli co się za nim działo. Dopiero teraz ujrzeli jakby spod ziemi wyrosłych Apaczów.

Tylko niektórym oddziałom udało się jeszcze na czas sformować czworoboki, tak zwane *car-ré*.

Z góry Sternau oglądał całą scenę. Teraz dzielni obrońcy mogli nieco odetchnąć. Cała uwaga Francuzów skierowała się na Indian i strzelców Juareza.

– Zrobimy wycieczkę? – spytał Mariano.

– Tak, to będzie najlepsze, ale poczekajmy jeszcze chwilę. Nagle usłyszeli za sobą pędzącego konia, a na nim Indianina. Trzy orle i trzy krucze pióra powiewały mu we włosach, twarz pomalowana była wojennymi farbami. Miał na sobie nowy strój, z ramion spływała skóra szarego niedźwiedzia.

– Niedźwiedzie Serce – zawołał Mariano. – Skąd on wziął to ubranie?

– Kupił pewnie od Pirnero. Chce się pokazać Apaczom.

Słowa te natychmiast zostały potwierdzone. Dotarłszy do bramy w milczeniu wskazał na nią. Zrozumieli i otworzyli wrota na oścież. Z góry puścił się galopem kierując konia ku nieprzyjacielowi.

Jak już wspomnieliśmy Francuzi utworzyli kilka czworoboków. To o nie rozbił się napad Apaczów. Podczas gdy w innych miejscach niezatrzamani, tratując nieprzyjaciela, posunęli się naprzód, sformowane czworoboki wstrzymały tu i ówdzie ich atak. Indianie daremnie starali się rozedrzeć te najeżone bagnetami kwadraty. Myślano, że Francuzom uda się przynajmniej w kilku punktach przedrzeć przez nieprzyjaciela.

Za linią bojową stało kilku jeźdźców z prezydentem Juarezem na czele. Oko jego spoglądało uważnie na pole walki. Za tą grupą stali biali strzelcy w liczbie może sześćdziesięciu. Byli to najemnicy ze Stanów Zjednoczonych. Dotychczas nie uczestniczyli w walce, gdyż Niedźwiedzie Oko, ze względu na skalpy atakował pierwszy. Juarez skinął teraz na przywódcę traperów i zapytał:

– Widzi pan, że walka słabnie?

– Niestety widzę – odrzekł. – Myśli pan, że Apacze zwyciężą?

– Nie ma obawy. Zwyciężą. Fort zostanie uratowany, ale wielu z Francuzów zdoła uciec.

Juarez skinął głową na znak, że jest tego samego zdania. Wargi ścisnął surowo i rzekł:

– To nie powinno i nie może się stać. Jaką ma pan radę?

– Proszę nam pozwolić ruszyć na nieprzyjaciela. Nasze kule rozerwą te czworoboki.

– Dobrze, proszę zaczynać.

Myśliwy powrócił do swoich i na dany znak sześćdziesięciu sześciu najemników rozproszyło się. Każdy z nich posuwał się zręcznie wedle zwyczaju westmanów wykorzystując każdy krzaczek jako zasłonę.

Tymczasem Niedźwiedzie Oko rozniósłszy pierwsze zastępy Francuzów zwrócił się znowu ku owym najeżonym czworobokom. Każdy cios tomahawka powalał nowego wroga. Siedząc na wysokim koniu był podobny do niezwycięzonego boga wojny. W półkołu, które atakował było

jeszcze kilku Francuzów, którzy szukali ratunku w ucieczce. Na nich polował i tym sposobem oddalił się od centrum walki.

W zapale swoim nie miał czasu rozglądać się dokładnie, nie spostrzegł, że koło dalszych czworoboków usiłowanie jego wojowników spełzło na niczym i że wróg począł brać górę.

Właśnie dogonił znowu Francuza i jednym cięciem swego topom przeciął mu kark. Głowa Francuza opadła w dół. W tej chwili usłyszał galopującego konia.

Niedaleko od siebie ujrzał szybko zbliżającego się od strony fortu Apacza ozdobionego insygniami wodza.

Zdziwiony wstrzymał konia. Nowy towarzysz zrównał się tymczasem z nim wstrzymując również swojego wierzchowca. Nowoprzybyły zapytał:

– Ty jesteś Niedźwiedzie Oko, wódz mych braci?

– Tak jest – odrzekł zapytany.

– Dzielnym jesteś wojownikiem, ale nie widzisz, że twoi bracia walczą daremnie?

Mówiąc to wskazał ręką na czworoboki. Oko wodza skierowało się we wskazanym kierunku.

– *Uffi* – krzyknął. – Te psy francuskie muszą zginąć. Ale kim jesteś?

– Jestem Niedźwiedzie Serce, któremu co siedem dni poświęcałem jednego białego. Naprzód! Skierował konia w kierunku nieprzyjaciela. Walka i pomoc braciom stała na pierwszym miejscu.

Niedźwiedzie Oko mimo opanowania zeszytniał ze zdumienia, wkrótce jednak opanował wzruszenie i pogonił za bratem.

– *Arku Shosh-in-lit! Gutesnonselkhi francos!* – krzyczał z całej siły, tak, że jego wojownicy musieli go usłyszeć.

Słowa te w narzeczu Apaczów znaczą: Tutaj jest *Niedźwiedzie Serce! Śmierć Francuzom!*

Oczy czerwonych zwróciły się w stronę wołania. Ujrzeni Niedźwiedzie Oko tuż za swym bratem. Obaj zbliżali się ostrym galopem.

– *Arku Shosh-in-lit! Tasta francos!* Tutaj jest Niedźwiedzie Serce! Zagłada Francuzom! – krzyczeli Indianie.

Z wściekłością rzucili się na wroga. Nowa salwa powitała ich, lecz to nie ostudziło zapału, skorzystali z chwili, w której Francuzi nabijali karabiny.

– *Prenez les crossers!* Walczcie kolbami! – zabrzmiał rozkaz ich dowódcy.

Żołnierze odwrócili strzelby, lecz w tej chwili zbliżyli się wodzowie. Bijąc na prawo i lewo, tratując koniem szerzyli śmierć. Francuzi rozproszyli się na wszystkie strony, szukając ratunku w ucieczce.

W ten sposób utorował Niedźwiedzie Serce drogę swoim braciom do drugiego czworoboku.

Nagle ujrzał w niewielkim oddaleniu konie Francuzów strzeżone przez kilku mężczyzn. Wskazując na nie ręką zawołał:

– Tekli francos shli, sesteh nagaya! Zabrać konie Francuzów, a straż zabić!

Natychmiast Niedźwiedzie Oko zwołał garstkę swoich i uderzył na straż. W ten sposób Francuzi stracili jedyną drogę ratunku.

Tymczasem nadciągnęli biali myśliwi Juareza. Ich celne strzały poczęły wybijać nowe luki w czworobokach.

Kiedy Niedźwiedzie Serce dotarł do następnego *carré* nie potrzebował nawet wskakiwać do środka, tak był już celnym ogniem zdezorganizowany. Właśnie padło dwóch Francuzów tworząc dodatkowy wyłom w ścianie, przez który wpadł wódz szerząc straszne spustoszenie.

Apacze na widok swego dawno zaginionego wodza dostali nowych sił, wielkiego entuzjazmu. Widocznie postanowili uczcić tę chwilę całkowitą klęską i zagładą Francuzów.

Wobec takiej niehumanitarnej zaciętości Francuzi nie zdołali się długo opierać. Jak stado owiec rozproszeni po polu walki szukali ratunku w ucieczce. Było jasne, że ucieczka nie potrwa długo i że ani jeden nie ujdzie cało z pola walki.

Kiedy Francuzi na początku napadu w półkolu zbliżali się do fortu, oba końce łuku dotykały dwóch brzegów rzeki.

W górnej części rzeki były zbyt rwące prądy i skała prostopadle wchodząca do wody, by można było myśleć o wtrągnięciu do fortu od tej strony.

Za to w dole rzeka płynęła spokojnie. Brodząc można było dosięgnąć drugiego brzegu i ukryć się jako tako poza luźnymi kamieniami, które otaczały brzeg. Przy tym skała nie wznosiła się tutaj prostopadle w górę, więc choć z trudem, to można się było po niej wdrapać.

Na końcu tego skrzydła stał sierżant, który pragnąc się odznaczyć zaciekle walczył przeciwko Gerardowi. Napad Apaczów zmienił całą sytuację. Sierżant był sprytny i szybko pojął, że tylko podstępem uda się zdobyć fort. Zwołał więc swoich ludzi i rzekł:

– Chodźcie ze mną! Widzicie, że Apacze siedzą nam na karku, lecz znalazłem wyjście.

– Jakie? – zapytał jeden z żołnierzy ocierając pot z czoła.

– Słuchajcie. Teraz nadchodzi pomoc dla obłożonych, zapewne wyjdą z fortecy biorąc naszych w dwa ognie. Tymczasem my pójdziemy przez rzekę, wdrapiemy się na wzgórze od strony wody i otworzymy bramę.

– Zgoda! Pójdziemy za tobą.

Było ich może dziesięciu lub jedenastu. Zawrócili na prawo ku rzece. Brodząc w wodzie, która tutaj nie była zbyt głęboka, dotarli szczęśliwie do drugiego brzegu, na którym stał fort.

Brzeg porastały drzewa i krzaki. Na górze stał z rozkazu Sternaua wartownik, ale nie był on zbyt bystry, bo zamiast udać się na sam skraj palisady, skąd mógłby dokładnie wszystko widzieć, schował się za drzewo, skąd nic nie mógł widzieć.

Sierżant tymczasem wspinał się ze swymi ludźmi aż na samą górę, po czym ostrożnie za krzakami, posuwał się naprzód.

Kiedy dotarli do drzew jeden z jego ludzi przystanął i wyszeptał:

– Stójcie, tam na górze jest człowiek!

– Gdzie?

– Tam, za tym dębem.

Sierżant spojrział we wskazanym kierunku.

– Do diabła, naprawdę! – odrzekł. – To z pewnością wartownik, bo ma przy sobie broń.

– Mam mu posłać kulkę? – zapytał drugi

– Nie! Musimy unikać wszelkiego hałasu. Zakłuj go!

Żołnierz poczołgał się ostrożnie za krzakami, gdy był tuż obok wartownika wyciągnął bagnet i skoczył. Wartownik tylko jęknął, po czym znowu zapanowała cisza.

– Teraz jesteśmy bezpieczni – zawołał sierżant. – Naprzód, za mną!

Niedługo dostali się aż do ogrodzenia. Sierżant widząc, że jest zbyt wysokie, potrząsnął głową i rzekł:

– Przeskoczyć nie damy rady, musimy się skradać wzdłuż muru, może spotkamy gdzieś przejście.

Posuwali się z wolna, dopiero przy wschodniej części fortu znaleźli dziurę.

Nie namyślając się długo weszli do środka. Idąc dalej nie zauważyli nikogo. Cała obrona była skupiona po przeciwnej stronie, kobiety zaś i dzieci pochowały się w domach.

– Fort nasz! – odezwał się sierżant. – Słyszycie te krzyki? Widać, że już naszych dopadli.

– Co teraz zrobimy?

– Otworzymy bramę naszym.

- Myśli pan, że naprawdę będą musieli się cofać?
- Kto to wie. W każdym razie tych czerownych było dosyć.
- Ale co będziemy mieć z tego jeżeli otworzymy bramę? – odezwał się któryś żołnierz. – Przylecą wszyscy i odbiorą nam zdobycz.
- Mądre słowa – zawołał sierżant. – Musimy najpierw sami zabrać to i owo. Ale żeby nikt o tym później nie gadał.
- Nikt nie jest przecież na tyle głupi.
- Dobrze, spróbujmy – odrzekł sierżant. – Ale nie wolno się rozchodzić, bo nas jest mało, a nie wiemy ilu obrońców jest w forcie.
- To chodźmy od domu do domu.
- To zajmie zbyt wiele czasu, najlepiej wyszukajmy najbogatszy.
- A jak poznamy który jest najbogatszy?
- Hm, w sklepach i szynkach zwykle bywa najwięcej pieniędzy.
- To prawda. Tylko czy w tej dziurze jest jakiś sklep?
- Zdaje się, że Hiszpanie taki dom, gdzie można dostać napitek i inne rzeczy nazywają *venta*.
- *Venta*? Chodźmy szukać.

Zgadł. Słowo *venta* widniało nad drzwiami domu starego Pirnero, który siedział w środku zadowolony, że znalazł zastępcę do walki.

Dom Pirnera był piętrowy i stał dosyć wysoko, tak że z okien strychu można było widzieć przez palisady, aż po teren bitwy.

Z tego powodu udał się tam hrabia, Emma, Karia i Resedilla, podczas gdy Pepi i Zilli zamknęły się w swoim pokoju. Pirnero siedział na dole na zwykłym swym miejscu przy oknie, zatykając uszy rękami. Każdy strzał denerwował go. Żądał od innych odwagi i za odważnego uważał siebie, tylko wypróbować tej odwagi jakoś mu się nie chciało.

Samotność jednak szybko mu się znudziła, wstał by zawołać córkę, kiedy do izby wpadł *vaquero*, ten sam co niedawno przybył z hacjendy del Erina. Uczestniczył w walce i dotychczas trzymał się dość dzielnie.

Chciał przejść tylko przez pokój i udać się do kuchni, ale Pirnero zatrzymał go mówiąc:

- Stój, senior! Przychodzi pan z pola bitwy?
- Bitwy? – spytał *vaquero*. – To tylko potyczka.
- Co za różnica między bitwą a potyczką.
- W bitwie, naprzeciwko siebie stoją całe armie, senior Pirnero.
- Słusznie! Ale zapomnieliście o głównej rzeczy.
- Jakiej?
- Ja wam to wytłumaczę. Wiecie co to jest polityka?
- Wiem. Jeżeli się nie jest osłem, tylko się ma trochę oleju w głowie, to można zostać politykiem. Pirnero popatrzył na niego zdziwiony.
- Bardzo słusznie – odrzekł. – Dlatego osły nie prowadzą polityki.
- A wiecie może co to jest dyplomacja?
- Wiem. Jeżeli się wielcy panowie wodzą za nosy.
- Do diabła! Widzę że nie jesteście głupcem. Tak polityka z potyczką nie ma nic wspólnego, ale dyplomaci grają ze sobą w szachy, ostatecznie pociągnięcie rozgrywa się zawsze na polu walki, dlatego dobry dyplomata musi być także dobrym wodzem. Ja na przykład bardzo dobrze znam się na polityce.
- Wierzę – potwierdził *vaquero*.
- Jestem także bardzo dobrym dyplomata. Wierzycie?
- Nie zaprzeczam, senior Pirnero.

– Dlatego muszę być także dobrym wodzem. Zrozumieliście?
– Zrozumiałem. A dlaczego nie bierzecie udziału w walce?
– Bo to nie bitwa, a w takiej potyczce, tak znakomitemu dyplomacie nie przystoi brać udziału.
Ale powiedzcie, co tam słyhać na polu? Jak idzie?

– Dobrze, bardzo dobrze.
– Mieliście ze sobą strzelbę, więc strzelaliście także?
– Naturalnie.
– A ilu zabiliście?
– Sześciu albo siedmiu.
– To niezbyt wiele – zauważył Pirnero z miną znawcy. – Bronią się jeszcze Francuzi?
– Bronią się, ale właśnie nadeszli Apacze.
– Do kroćset! To już po Francuzach.
– Traperzy także zaatakowali. Sam Juarez ich przyprowadził.
– Juarez? Słyszałem, że ma przyjść z odsieczą. Widzieliście go już kiedyś?
– Widziałem.
– Gdzie i kiedy?
– Na naszej hacjendzie. Przyszedł by oddać memu panu w dzierżawę przyległą hacjendę *Van-
dqua*.

– Ja go jeszcze nie widziałem, ale spodziewam się, że po zwycięstwie zagładnie do mojej go-
spody i napije się szklaneczkę *pulque* lub *julepu*. Jestem mianowicie... Ach! Ach!

Przerwał nagle, bo właśnie otworzyły się drzwi przez które wszedł sierżant, a za nim jedenastu
żołnierzy. Stuknął kolbą o ziemię i zapytał:

– Czy tu jest *venta*?
– Tak – odrzekł Pirnero drżąc ze strachu.
– Jak się nazywacie?
– Pirnero. Ale senior, czy nieprzyjaciel już jest we forcie?
– Naturalnie, widzicie przecież.
– Ale ja myślałem, że my zwyciężymy – bąknął Pirnero naiwnie.
– Diabeł da wam chyba zwycięstwo! – zaśmiał się Francuz szyderczo, po czym zapytał: – Co
za ludzie są w domu?

– Ja.
– Dalej!
– Ten senior.
– Co to za jeden?
– *Vaquero*.
– Tak, to niech nam odda swoją strzelbę.

Stary *vaquero* zacisnął pięść, w której trzymał strzelbę i zmarszczył brwi. Nie mógł pojąć jak
zwyciężeni Francuzi mogli wtargnąć do fortu. Miał zamiar bronić się i nie oddawać strzelby, lecz
Pirnero przystąpił do niego i szepnął do ucha:

– Na miłość boską, nie róbcie głupstw i nie gubcie nas! – to mówiąc wyrwał mu strzelbę i od-
dał sierżantowi.

– Proszę senior, oto strzelba! Proszę to uważać za znak, że fort *Guadalupe* wita was z rado-
ścią.

– Z radością? Przyjęliście nas strzałami, prochem i ołowiem. Kto jest jeszcze w tym domu?
– Dwie młode seniority.
– Gdzie?
– Na piętrze. Zapewne się zamknęły.

– Nam otworzą. Kto jeszcze?

– Na strychu jest jeden senior z trzema senioritami.

– Kto taki ten senior?

– Hrabia Rodriganda.

– Hrabia? Do diabła. Bogaty?

– Nawet bardzo.

– Dobrze, zobaczymy czy coś ma. Zwiążcie tego *vaquero*. Żołnierze wyciągnęli sznury i zbliżyli się do *vaquero*. Ten jednak zerwał się ze stołka i wyciągnął nóż.

– Nie pozwolę się wiązać – zawołał.

– *Santa Madonna!* Co wam wpadło do głowy! – krzyknął Pirnero. – Jeden przeciwko dziesięciu?

Vaquero opierał się jeszcze chwilę, w końcu jednak uznał dalszą obronę za niemożliwą i podał rękę, które mu natychmiast skrepowano.

– A teraz gospodarza – zawołał sierżant.

– Mnie także? – wrzasnął Pirnero ze strachu. – Chyba się pan myli. Panowie, ja najwierniejszym poddanym jego cesarskiej mości, Napoleona.

– Jeżeli nim rzeczywiście jesteście, to nie powinniście się opierać, tylko słuchać mych rozkazów – odrzekł żołnierz śmiejąc się. – Dalej, podaj rękę!

– Macie je, macie! – rzekł gospodarz pokorniejac. – Proszę tylko wziąć pod uwagę, że nie jestem wrogiem Francuzów, nie jestem nawet Meksykaninem.

– Tylko?

– Pochodzę z Pirna.

– Co? Gdzie to jest?

– W Saksonii.

– W Niemczech? Niech was diabeł porwie, ładny mi przyjaciel! Pirnero również został związany. Nie starał się nawet opierać, dobrowolnie trzymał im rękę.

– A teraz prowadźcie do innych! – rozkazał sierżant.

Dwóch żołnierzy zostawił przy *vaquero*, zaryglowali drzwi wejściowe od środka i pomaszrowali na górę.

– Tutaj są młode seniority! – rzekł Pirnero wskazując na drzwi.

– Zapukaj! – zabrzmiał głos sierżanta.

Ponieważ pukanie okazało się daremne, wywalili drzwi kolbami.

– O nieba! – zawołał gospodarz z rozpaczą. – Kto mi moje drzwi naprawi i kto pokryje koszty naprawy. To czyste barbarzyństwo.

– Milczeć! – zawołał jeden z żołnierzy.

Sierżant wszedł do środka. Obie dziewczyny stały zdenerwowane przy oknie.

– O! Gładkie bestyjki! – zawołał na ich widok i podchodząc do Pepi i rozłożył ramiona.

Pepi wyprostowała się i sięgnęła ręką pod krótki stanik.

– Czego chcecie?

Słowa te wypowiedziała tak stanowczo, że sierżant mimo woli umilkł. Po krótkiej chwili zebrał się jednak na odwagę i odpowiedział:

– Czego chcę? Niewiele. Tylko jednego całuska.

Przy tym jego lubieżny wzrok prześlizgnął się po pełnych kształtach dziewczyny.

– Nie odważajcie się mnie dotknąć! – zawołał z energią.

– Ha, ha! Kotek chce pokazać pazurki, to ci nie pomoże, mój aniołku. Całusa muszę dostać i to najpierw ja, a potem moi żołnierze; wiesz, musimy się przecież podzielić.

Przystąpił do niej o krok, w tej chwili wyciągnęła jednak rękę zza stanika; zabłyszczało w niej ostrze sztyletu.

– Na Boga, ona naprawdę myśli o obronie – zawołał sierżant śmiejąc się.

Naturalnie zamierzał jej jednym szarpnięciem wyrwać sztylet. Tymczasem Zilli także wyciągnęła swój sztylet szykując się do obrony.

Jeden z żołnierzy przystąpił do niej mówiąc:

– Daj tu ten kozik, laleczko, nóż nie przystoi damom.

Chciał złapać ją za rękę, jednak zdołała odskoczyć w bok, kierując ostrze ku napastnikowi zawołała:

– Bądźcie ostrożny! Ten sztylet jest zatruty.

– Terefero! Opowiadaj to innemu. Ja się nie zleknię.

Zrobił ruch niby chcąc ją rozbroić i podczas gdy w tym kierunku pchnęła sztyletem, cofnął szybko ramię równocześnie łapiąc ją za rękę, w której trzymała sztylet. Ponieważ nie mogła go odepchnąć, począł ją obejmować.

– Pepi ratuj! – prosiła daremnie mocując się ze zbirzem.

– Zaraz! – odrzekła siostra.

W tej sekundzie pchnęła żołnierza w rękę, którą trzymał jej siostrę. Pchniecie było słabe i nie głębokie.

– Do diabła! Ta rzeczywiście ma pazury! – zawołał żołdak cofając się nieco. – No, poczekaj my ci je zaraz odetniemy.

To mówiąc wyciągnął znowu rękę ku jej siostrze, chcąc ją przyciągnąć do siebie, w tej chwili jednak stanął jak skamieniały i pobladł, tylko palce poczęły drgać konwulsyjnie, na ustach wystąpiła mu piana, zacharczał głucho i padł w tył bez życia.

– Do stu diabłów! – zawołał sierżant. – Co się z nim stało?

– Jak widzicie leży, nie żyje! – odpowiedziała Pepi. – To czeka każdego, kto się poważy nas dotknąć.

– Więc ten sztylet jest naprawdę zatruty?

– Tak, sztylet mojej siostry też.

– Poczekaj, zapłacisz za to, jaszczurko! Dalej chłopcy, odebrać im broń.

Sam jednak cofnął się ostrożnie, pozostawiając tę niebezpieczną robotę swoim podwładnym, lecz żaden nie miał go chęci słuchać.

– Słyszeliście! – wrzasnął w gniewie.

– Ani nam w głowie! – odrzekł jeden. – Kto je chce całować ten niech sobie je rozbiera.

– Ja wasz przełożony, rozkazuję wam.

– Takiego rozkazu nie mamy obowiązku słuchać.

Widział, że nic nie wskóra, a sam również nie miał ochoty narażać się dla całusa, odstąpił więc w bok i zawołał:

– Te kotki zasłużyły na śmierć, bo zabiły jednego z naszych. Musimy je strzec, aby nie uciekły, jak się uporamy z innymi to pomyślimy nad tym jak je ukarać.

Postawił jednego żołnierza przed drzwiami na straży, sam zaś kazał się prowadzić na górę, do hrabiego.

– Czy Francuzi zwyciężyli? – zapytała Zilli siostrę po ich wyjściu.

– Nie sędzę. Pirnero przeciw nam powiedział, że sławni strzelcy bronić będą fortu, a Juarez z Indianami ma przyjsć z odsieczą.

– Myślisz, że ci ludzie się tylko wkradli?

– Naturalnie. Oni chcą nas zabić.

– Będziemy się broniły.

– Chcesz się bronić sztyletem przed kulką?

W tej chwili od strony pola bitwy zabrzmiał dziki wrzask Indian.

– To Apacze. Widocznie zwyciężyli – odezwała się Pepi.

– A my mamy się dać rozstrzelać? O nie. Uciekajmy!

– Ale dokąd? Jak przejdziemy, kiedy drzwi są strzeżone?

– Sztylet musi pomóc. Zostaw to mnie i chodź.

Pobiegły ku drzwiom otwierając je,

– Stać! – rozkazał posterunkowy.

– My chcemy wyjść! – rzekła Pepi stanowczo.

– Nie mogę wam na to pozwolić.

– To wyjdziemy bez pozwolenia.

– Będę strzelał.

Chciał podnieść strzelbę, lecz zręczna Pepi jednym skokiem była przy nim i zatopiła mu w rękę, swój sztylet.

Wrzasnął i puścił karabin. Nie był to skutek trucizny, gdyż ta nie mogła tak prędko zadziałać, tylko ze strachu, ale właśnie ta trwoga obezwładniła go, a zanim się zdobył na działanie, poczuł, że sztywnieje.

Obie dziewczyny pobiegły od razu ku schodom i przedostały się szczęśliwie przez tylne drzwi na podwórze. Z podwórza wąskie drzwi prowadziły na obszerny plac, gdzie zazwyczaj stały konie.

– A dokąd teraz? – zapytał Zilli.

– Musimy się przekonać, kto zwyciężył.

Pobiegły do ukrytego przejścia. Przecisnąwszy się przez nie stanęły na brzegu skały. Na pierwszy rzut oka pojęły całą sytuację.

Z daleka w gronie kilku jeźdźców stał Juarez ze swoim sztabem. Cała równina aż do podnóża skały była pokryta trupami. Na prawo było widać Indian strzegących koni Francuzów.

– Juarez zwyciężył! – zwołała Zilli.

– Wiesz, który to?

– Zapewne jeden z tych czerwonoskórych, co noszą pióra.

– Bzdura! – odparła Pepi. – To są wodzowie Apaczów.

– Juarez przecież także jest Indianinem.

– Tak. Przedtem był naczelnym sędzią i prezydentem. Nie, widzisz tam w dali tego jeźdźca, wśród grona innych?

– Widzę.

– To musi być on. Chodź, musimy spieszyć po pomoc dla *venty*.

– Kogo zawołamy? Może Indian?

– Kogo spotkamy.

Poczęły schodzić na prawo, nie uszły jednak daleko. Tuż przed nimi leżała na ziemi jakaś postać podtrzymująca głowę na ręku i wspierająca się na łokciu.

– Kto to? – zapytała Zilli.

– Mój Boże, to Czarny Gerard! – odpowiedziała Pepi.

– Jak mi Bóg miły. Ale on leży w kałuży krwi! Na Boga! On umiera! Oczy ma przymknięte, a z ramienia ciecze krew!

Podbiegły szybko ku niemu. Słyszał ich kroki, otworzył z wolna oczy, lecz nie poruszył się.

– Senior jest ranny?

– Tak.

– Obwiążemy ranę!

– Chyba już za późno – wyrzekł po cichu. – Właśnie chciałem umrzeć. Pozdrówcie ją ode mnie!

– Kogo?

– Resedillę.

– Resedillę? Grozi jej właśnie wielkie niebezpieczeństwo. Wyszliśmy szukać pomocy.

– Niebezpieczeństwo? – spytał szybko, twarz jego zarumieniła się lekko.

– Tak. Kilku Francuzom udało się zakraść aż do fortu. Napadli na *ventę*. Dwóch z nich zabiłyśmy, ale reszta poszła na górę, a tam jest Resedilla.

Popatrzył na nie dziwnym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc ich słów, lecz wkrótce poczęły się mu oczy żarzyć, oblicze ożywiać.

– Poszli na górę, tam gdzie Resedilla? Czarny Gerard jeszcze żyje – wołał.

Spróbował się podnieść, lecz znowu upadł.

– Proszę spokojnie leżeć! – poczęła prosić Zilli. – Sprowadzimy pomoc dla pana i dla Resedilli. Pobiegly dalej.

– Pomoc? – mruzczał Gerard. – Ma jej pomóc ktoś inny? O nie!

Obiema rękami wsparł się i pomału podniósł. Zataczał się z osłabienia, lecz dotarłszy do palisady potrafił jeszcze nabić broń i rewolwery.

W chwili, gdy Francuzi cofnęli się, by uderzyć na Apaczy rzucił się za nimi strzelając, szalejąc i specjalnie narażając życie.

Pchnięcie bagnetem i nowy strzał powaliły go na ziemię. Myślał, że przyjdzie mu umrzeć, a nie chciał kończyć na dole, więc powtórnie wdrapał się na górę obok owego drzewa, skąd tak dzielnie się bronił.

Chętnie by się zawlókł aż do *venty*, by tam umrzeć patrząc na nią. Ale takim strasznym widokiem nie chciał straszyć jej kochanych oczu. Dlatego pozostał pod drzewem.

Oslabienie poczęło go ogarniać, więc przymknął oczy sądząc, że śmierć się zbliża. Z cicha szeptał imię ukochanej. Dopiero gdy usłyszał lekkie kroki zbliżające się ku niemu otworzył oczy i ujrzał obie siostry opowiadające mu o niebezpieczeństwie, jakie zagraża jego najdroższej.

Gdy łądował broń, poczuł jakby nowe siły wstąpiły w niego. Odjął rękę od ogrodzenia i spróbował wstać o własnych siłach. Udało się. Zwolna zaczął iść w kierunku wejścia.

– Resedilla, Resedilla!

Słowa te ożywiły go. Przyciskając silniej swoją ciężką strzelbę począł biec ku *vencie*.

Nie wiedział, że drzwi frontowe były zamknięte. Znalazłszy je zaryglowane nie namyślał się długo. Jednym uderzeniem ciężkiej kolby wywalił okno, wskoczył do środka powalając żołnierza pięścią. Lecz drugi stojący przy *vaquero* podniósł karabin gotowy do strzału.

– Stój! – zawołał mierząc w niego.

– Łotrze! – zakrzyknął.

Nim Francuz miał czas pociągnąć za cyngiel, leżał z rozwaloną czaszką na ziemi, z taką siłą trafiła go ciężka kolba Gerarda.

– Uwolnij mnie senior! – prosił *vaquero*.

– Później.

Nie miał czasu, musiał wykorzystać każdą chwilę, dopóki go siły nie opuszczą. Wyszedł na korytarz i pobiegł po schodach na górę. Przeszedł koło wywalonych drzwi i trupów Francuzów.

– To kurara – zamruczał. – Polegli od sztyletów. Boże daj siły! Dalej, dalej! Jeszcze na górę, do Resedilli!

Sierżant prowadzony przez Pirnero dostał się wkrótce z resztą swych żołnierzy na strych. Tam ujrzał hrabiego otoczonego trzema damami i wyglądającego przez okienko na pole walki. Właśnie hrabia powiedział:

– Francuzów wybiją do nogi, ani jeden z nich nie ujdzie!

– Oho! – zawołał sierżant. – Tak dobrze nie będzie!

Wszyscy obrócili się szybko i ujrzeni z przerażeniem Francuzów, a w środku nich związanego Pirnero.

– Ojcze! – krzyknęła Resedilla rzucając się do związanego.

– Stać! Wracaj! – zabrzmiał rozkaz sierżanta. – Żadnych scen tu nie potrzebujemy.

Hrabia przystąpił do niego i zapytał:

– Czego tu chcecie?

– A co panu do tego? Kim pan jest?

– Jestem hrabia Ferdynand de Rodriganda:

– Znakomicie! Właśnie pana szukamy.

– Mnie? Dlaczego? – pytał starzec zdziwiony.

– Tak pana! Jest pan moim więźniem!

– Myli się pan! Ja nie jestem wrogiem Francuzów.

– To się okaże! Wiązać go!

– Mnie wiązać? – zawołał don Ferdynand z oburzeniem. – Sierżant rozkazuje wiązać mnie, hrabiego? Kto panu dał taki rozkaz?

– To pana nic nie obchodzi.

– Widzi pan tę pięść. Powaliłaby pana na ziemię, gdybyś był oficerem, ale sierżanta nie dotknę. Ponieważ na nieszczęście nie mam broni przy sobie, więc muszę ulec przemocy, ale zrobię pana za to odpowiedzialnym.

Natychmiast rzuciło się dwóch ku niemu i związało mu ręce.

– A teraz te panie! – rozkazał sierżant.

– Co? – wołała Resedilla. – Przecież my nic nie zrobiłyśmy.

– Poddaj się – ostrzegł ją ojciec. – Obrona nic nie pomoże. Pozwoliła się związać, to samo i Emma. Jeden z żołnierzy przystąpił do Karii ze sznurem w ręku. Oczy jej zabłyśły złowrogo. Była prawdziwą siostrą Bawolego Czoła. Szybkim ruchem wyrwała mu bagnet i odskakując o krok zawołała:

– Odważcie się tylko!

– Do pioruna! Tutaj są naprawdę same jadowite baby! – zawołał sierżant. – Powalić ją.

Żołnierz chciał ją chwycić, więc pchnęła go bagnetem, w tej chwili jednak dostała od drugiego uderzenie kolbą w głowę i padła nieprzytomna.

– Opór przeciwko zwycięzcy? – wrzasnął sierżant. – Poczekajcie, zapłacicie za to! – potem zwrócił się do hrabiego pytając: – Jak słyszałem pan jest bogaty?

– Co za pytanie?

– Bo może puściłbym pana za drobnym okupem?

– Ile pan żąda?

– Ile ma pan przy sobie?

– Słyszałeś pan moje pytanie, więc proszę odpowiadać!

– Oho! To brzmi jak rozkaz! To prawo mam teraz ja. Gdzie leżą pana dobra? Gdzie mieszkaś?

– W stolicy.

– Więc tutaj jesteś pan obcy?

– Tak.

– Ale pieniądze na podróż ma pan ze sobą?

– Mam.

– Ile?

– Wystarczy na wykup, jeżeli syn tak wielkiego narodu naprawdę chce grać rolę bandyty.
– Proszę trochę ukrócić swój język. Teraz jest wojna i my jesteśmy zwycięzcami. Jeżeli pan sądzi, że pieniądze pańskie wystarczą na okup, musisz mieć ich wiele. Byłbym głupcem, gdybym wyznaczał jakąś sumę. Gdzie pan je masz?

– Czyli, że w rzeczywistości chce pan być rabusiem?

– Wszystko jedno. Gdzie są pańskie pieniądze?

– Nie czuję się w obowiązku wyjaśnień. Chce pan być złodziejem i kraść, to proszę sobie szukać.

– Rozkazuję panu mówić!

Przystąpił bliżej do hrabiego, ten jednak wzruszył ramionami i odrzekł tonem najwyższej pogardy:

– Pan? Rozkazuje mnie? Zwariował! Oszalał, jak mi Bóg miły!

– Nowa obraza! Już ja pana zmuszę do odpowiedzi. Położyć go i wyliczać mu tyle batów aż zmięknie.

Żołnierze porwali starca i obrócili na ziemi, jeden z nich jednak zawołał półgłosem z miną śmiejącego się:

– Sierzancie ja mam lepszy pomysł!

– Jaki?

– Może zamiast hrabiego, tym pannom wyliczymy kilka batów?

– Dlaczego?

– Po pierwsze to bardziej zajmujące, a po drugie hrabia będzie zmuszony, dać nam odpowiedź.

Sierżant zaśmiał się i odpowiedział:

– Dobry pomysł; niech tak będzie. Weźcie się do nich.

– Do której?

– Najlepiej do tej – wskazał na Resedillę.

– Boże! Czyż to jest możliwe? – zawołała rozdrażniona.

– Senior, proszę się opamiętać – prosił Pirnero.

– Dalej brać ją! – brzmiał rozkaz sierżanta.

Trzech jego ludzi porwało ją. Pomimo związanych rąk broniła się z całych sił przeciw temu grubiaństwu.

– Stójcie! – krzyknął hrabia. – Powiem gdzie są pieniądze. Sierżant zaśmiał się ironicznie mówiąc:

– Aha! Widzi pan. Ale pańskie pieniądze nie przepadną, a obiecałem moim żołnierzom zabawę, dlatego nie będę tego odwoływał. Dostaną tylko po dziesięć kijów, nie umrą od tego.

Szyderczy śmiech żołnierzy zabrzmiał na te słowa. Podeszli do Resedilli chcąc ją obalić na ziemię. Uczucie wstydu zdwoiło jej siły, poczęła się wrywać, krzycząc na cały głos. Broniła się z rozpaczą, ale na próżno.

– Diabelskie kreatury – wrzasnął hrabia.

Pomimo swego wieku i związanych rąk rzucił się na oprawców, lecz jedno uderzenie kolbą powaliło go na ziemię.

– Dalej, kończcie! – rozkazał sierżant.

Głupcy! Chcieli się zabawić, nie wiedząc, że zguba wisi nad ich głowami. Nie wyjrzeli nawet przez okna. Widok jaki się tam przedstawiał, odebrałby im chętkę do zwierzęcych żartów i skłoniłby ich do ucieczki.

Ostatni rozkaz sierżanta podjudził żołnierzy, udało im się wreszcie powalić na ziemię biedną dziewczynę. Przerażona wydała z siebie taki krzyk, że Pirnero począł jęczeć i wołać po pomoc.

– Nareszcie! – zawołał jeden z żołnierzy, który ukląkł na szarpiącej się, by ją lepiej przytrzymać.

– Tak nareszcie! – dał się słyszeć jakiś obcy głos od drzwi.

W tej samej chwili huknął strzał. Klęczący żołnierz, padł na wznak przeszyty kulą.

– Stój! Co to? – zawołał sierżant.

– Czarny Gerard!

Podczas tych słów drżący i wspierający się o ścianę Gerard strzelił do drugiego żołnierza trzymającego Resedillę.

Następnie rzucił na ziemię ciężką strzelbę i chwycił rewolwery. Dwa strzały jeden za drugim powaliły jeszcze dwóch.

Sierżant stał początkowo oglupiały. Odbyło się to wszystko tak prędko, że dopiero teraz pojął co się stało i począł wrzeszczeć z całych sił:

– Czarny Gerard! Dalej! Na niego!

Podniósł kolbę, chcąc zaatakować Gerarda, lecz że powała była niska strzelba zaczepiła się o poprzeczną belkę. Spojrzał w górę chcąc odzepić karabin, w tej chwili jednak potknął się o trupa żołnierza i padł na ziemię.

To uratowało Gerarda na chwilę. Jeszcze jednemu żołdakowi posłał kulkę inni jednak rzucili się na niego i powalili na ziemię.

Ostatkiem sił wydobył nóż zza pasa, którym począł kłuć na wszystkie strony, lecz zguba zbliżała się, bo właśnie sierżant podniósł się z ziemi i szykując się do strzału zawołał:

– Na bok ludzie, żebyśmy któregoś z was nie trafił! Odskoczyli. Już pociągał za cyngiel, gdy Resedilla przyskoczyła do niego i choć miała związane ręce potrafiła lufę tak, że strzał poszedł w górę.

– Do diabła! Trzymajcie tą czarownicę!

Porwał karabin jednego z żołnierzy, dwóch rzuciło się znowu na Resedillę, podczas gdy trzeci przytrzymał kolanem zbrogzonego krwią Gerarda.

– Gerard! Mój drogi Gerard! – wołała Resedilla daremnie chcąc się wyrwać żołnierzom.

– Bywaj zdrowa Resedillo! – odezwał się słabym głosem.

Otwór lufy sterczał tuż nad jego czołem. Bezsilny przymknął oczy. Kiedy Pepi i Zilli opuściły Gerarda biegały przez chwilę pełne trwogi nie mogąc nikogo spotkać.

Wreszcie ujrzały jakiegoś mężczyznę, który się wspinał do góry.

Strzelba wisiała mu na ramieniu, strój miał meksykański. Pepi spytała:

– Mam go zawołać?

– Naturalnie, to Meksykanin.

Poczęły wołać, nieznajomy usłyszał widocznie, bo skierował oczy w górę.

– Senior, proszę prędko do nas! – wołała Pepi.

– Dlaczego?

– Francuzi są w *vencie*!

Jakby mu ktoś przyprowadził skrzydła, tak szybko wspinał się w górę, w krótkim czasie dotarł do miejsca, gdzie stały dziewczęta.

Te widząc go i przypatrzawszy mu się bliżej poczęły się go lękać. Ogromne, szerokie ramiona, na nich osadzona głowa o pooranym czole, surowe rysy i ostre rysy.

– Kim jesteście, senior? – wyrwało się mimowolnie z ust Pepi.

– Bawole Czoło, wódz Misteków – odpowiedział poważnie.

– Jesteś przyjacielem Czarnego Gerarda?

– Tak.

– I seniora Pirnero?

– Tak.

– Tam koło drzewa leży Gerard we krwi, a we *vencie* są Francuzi. Oko Indianina zabłysnęło złowrogo.

– Ilu ich jest? – zapytał.

– Widziałyśmy dziewięciu. Są na poddaszu.

– Co tam robią?

– Tam jest hrabia.

– Hrabia Rodriganda?

– Tak, a także seniorita Resedilla i jakieś dwie damy.

– Jaka jest najkrótsza droga do *venty*?

– Tam na prawo, przez mały otwór. Ale frontowe drzwi są zamknięte.

– Ja nie znam drogi, niech mnie seniorita poprowadzi! Druga seniorita niech pójdzie wzdłuż palisady aż do bramy. Tam proszę zawołać seniora Sternaua i opowiedzieć mu wszystko.

– Mój Boże! Ja mam iść sama? Ja się boję– odrzekła Zilli.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Zwyciężyliśmy! – odrzekł Bawole Czoło.

– Ja pójde do bramy – zawołała Pepi. – A ty kochana Zilli poprowadź tego seniora.

Bawole Czoło chwycił Zilli za rękę i pobiegli. Kiedy doszli do miejsca gdzie leżał Gerarda dziewczę stanęło w kałuży krwi ze strachem na twarzy.

– Tutaj, we krwi leżał Czarny Gerard, a teraz zniknął.

– Powiedziałyście mu panie, że Francuzi są we *vencie*?

– Tak.

– A więc on tam jest. Dalej!

Kiedy dobiegli do sieni dał się słyszeć strzał, który tak szczęśliwie odbiła Resedilla, chroniąc ukochanego.

– O Boże, ich tam mordują! – zawołała Zilli.

– Proszę zostać na dole seniorita – krzyknął Bawole Czoło.

Porwał swoją dubeltówkę i przesadzając po trzy schody pobiegł na górę. Przybył właśnie w tej chwili, kiedy sierżant celował w głowę Gerarda.

– Psie!

Tymi słowy pchnął sierżanta w bok, tak że ten padł. Drugi cios kolbą dostał żołnierz leżący na Gerardzie. W oka mgnieniu ujrzał dwóch innych trzymających Resedillę, z szybkością godną podziwu wymierzył w nich. Padły dwa strzały jeden po drugim i dwa nowe trupy uderzyły głucho o podłogę.

Pierwszy jego krok był skierowany w stronę Karii, swej siostry. Ciągle leżała nieprzytomna. Czoło jej nabiegło krwią od uderzenia kolbą.

– To uczynili Francuzi? – pytał Misteka zimno.

– Tak – odrzekła Resedilla.

– Dlaczego?

– Bo się broniła. Wyrwała się żołnierzowi, który chciał ją złapać i przebiła go jego własnym bagnetem.

– Córka Misteków! – odrzekł z dumą. – Bawole Czoło ją pomści. Kto jest przywódcą tych psów?

– Ten sierżant – wskazała na leżącego w kącie.

– Czego on chciał od was?

– Chciał zrabować pieniądze hrabiemu, nas zaś chciał obić kijami. Seniorita Karia dostała podczas obrony kolbą w głowę. Seniorita Emma zemdląła, a mnie rzucili już na ziemię, by mnie katować.

Bawole Czoło zgrzytnął zębami mówiąc:

– Śmierć to za łagodna kara dla niego; ten pies odpokutuje to w straszny sposób.

Podszedł z wolna do sierżanta, który się już podniósł i kopnął go tak, że znowu upadł, klęknął na nim i wyciągnął nóż.

– Na nieba! Co chcecie ze mną zrobić? – wrzasnął sierżant ze strachem.

– Ty nie jesteś człowiek tylko gadem, słyszałem o twoich sprawkach – odrzekł wódz. – Ty znieważyłś córkę Misteków, a ja ci żywcem zdejmę skalp.

– Boże, nie czyni tego! – wrzeszczał Francuz.

– Nie wołaj Boga, bo sam jesteś diabłem.

– Zabijcie mnie raczej.

– Nie znałeś miłosierdzia i ja go znać nie będę. Pokażę ci jak się żywcem zdejmują skalp, ale nie prędko trzema cięciami i jednym pociągnięciem, tylko pomału, tak jak się maluje skalp nieprzyjaciela na skórze bawołu.

– Łaski, łaski!

– Tchórz z ciebie.

Lewą ręką ujął Francuza za włosy, prawą przyłożył mu nóż do czoła. Sierżant rzucił się, lecz kolano Indianina silnie przyciskało mu pierś drugie zaś przygniotło szyję, tak, że górna część jego ciała leżała jak przygwożdżona.

Właśnie przeciął mu Misteka skórę na czole. Francuz wrzeszczał przeraźliwie, ale i Resedilla stojąca na boku krzyknęła. Pirnero stał obok niej z włosami podniesionymi do góry ze strachu, drżąc na całym ciele, przypatrując się tej strasznej scenie, oczami szeroko rozwartymi z przerażenia.

– Nie czyni tego senior! – prosiła Resedilla pełna wstrętu.

Indianin jednak z zimną krwią odrzekł:

– Zasłużył na więcej, straci także uszy i nos. Bawole Czoło nie jest katem, ale córka Misteków musi być pomszczona.

Przy tych słowach pociągnął nóż wokoło włosów Francuza.

Sierżant zawył z bólu, Resedilla zakryła oczy zsuwając się na ziemię. Zemdląca z przerażenia. Wszystkie trzy damy leżały bez przytomności. Francuzi wszyscy z wyjątkiem dwóch nie żyli, Gerard leżał również bez znaku życia na podłodze, prawie wszędzie krwią pokrytej. W środku trupów i krwi stał Pirnero utkwivszy swe przerażone oczy w Bawolim Czoło. Nie mógł oderwać od niego swego wzroku.

– Nie krzycz psie! – odezwał się wódz. – To cięcie nie sprawia bólu. Ten dopiero nadejdzie jak ci zacznę ściągać skórę z czaszki razem z uszami.

Począł obracać głowę Francuza na prawo podcinając mu prawe ucho potem na lewo czyniąc to samo z lewym, jednak tak, że pozostały wiszące przy skórze.

Francuz ryczał jak bizon.

– Milcz tchórz! – wołał Bawole czoło. – Teraz dopiero zaczniesz śpiewać, bo teraz zacznę ci ściągać skórę. Uważaj!

Złapał silnie za włosy i począł ciągnąć, ale pomału, tak jak mu przyrzekł.

Sierżant nie mógł wprawdzie poruszać ani głową, ani rękami, jednak dolna część ciała była wolna. Począł więc kopać, rzucając je do góry, walić nimi w podłogę, przy tym tak wrzeszczał, że żadne zwierzę nie potrafi takiego głosu z siebie wydać.

Wódz pozostał zimnym. Kiedy mu ściągnął całą skórę odezwał się:

– Oto skóra tchórza, którzy krzyczą gdy go skalpują. Bawole Czoło nie będzie jej nosił. Podaruję ci ją na pamiątkę tej chwili. Do tego dodam jeszcze twój nos.

To mówiąc porwał go za nos i szybkim cięciem odciął od twarzy. Francuz wydobył z siebie jeszcze jeden straszny jęk, w którym była zawarta cała męka ciała i duszy.

Bawole Czoło wydobył rzemień, przeciął go w połowie, po czym zawiązał mu ręce i nogi. Zawinąwszy nos w skalp rzucił go razem ze związanym w kącie.

Pirnero wsparł się o ścianę i stał biały jak kreda z zamkniętymi oczami. Bawole Czoło przystąpił do niego i szarpnął go mówiąc:

– Mój biały brat może już otworzyć oczy, bo skończyłem. Teraz przetnę twoje więzy i uwolnię innych.

Dobył noża i przeciął sznury, którymi Francuzi skrepowali swoje ofiary. Nagle zauważył, że żołnierz który trzymał Gerarda i który dostał tylko kolbą przyszedł do siebie i otworzył oczy.

– Ten nie śmie zobaczyć słońca – zawołał.

Schylił się nad nim i zatopił mu nóż w sercu.

W tej chwili odezwały się spieszne kroki na schodach, Steranu razem z Piorunowym Grotem i Mariano weszli z bronią w ręku. Na pierwszy rzut oka poznał Sternau co się stało.

– Bawole Czoło już się policzył! – zawołał.

– Czarny Gerard był tu przede mną! – odpowiedział Indianin.

Piorunowy Grot zobaczył Emmę na ziemi i podskoczył ku niej wołając:

– Na Boga, czy ona żyje?

Sternau uklęknął przy niej zbadawszy ją odrzekł uspakajająco:

– Zemdlała tylko.

– A córka Misteków? – zapytał Bawole Czoło. Sternau począł badać Karię wreszcie rzekł:

– Musimy poczekać, aż przyjdzie do siebie.

Na to wódz zawołał groźnie:

– Jeżeli umrze, Bawole Czoło położy na jej grobie tysiąc skalpów Francuzów.

Sternau usłyszał jęk sierżanta w kącie, ujrawszy go zapytał:

– Kto mu zdjął skalp?

Na to Bawole Czoło rzekł twardo:

– To był ich przywódca. Zawinił. On uderzył córkę Misteków, dlatego ściągnąłem mu skórę razem z uszami i nos mu oderznąłem. Sternau odwrócił się z odrazą. Widok tego człowieka był straszny.

– Senior, popatrz na mą córkę – prosił Pirnero.

Sternau spełnił prośbę i zawyrokował:

– Także tylko omdlenie.

Potem przystąpił do hrabiego i począł opatrywać mu głowę nabrzmiałą wskutek silnego uderzenia kolbą. Twarz jego posepniała.

Mariano widząc to zapytał prędko z przerażoną miną:

– Zabity?

– Nie, ale ranna jest niebezpieczna.

– Mój Boże, to straszne. Serce mi się ściska.

– Niebezpieczeństwo polega na tym, że hrabia już jest stary i dosyć się wycierpiał. Potrzeba będzie długo czasu nim przyjdzie do siebie. A tu kto? To Czarny Gerard!

Ukląkł nad nim i rozpiąwszy mu koszulę począł go opatrywać i osłuchiwać:

– Na Boga! Tak posieczonego i tak postrzelonego nie widziałem jak długo żyję. Najpierw musi być obwiązany, aby dalszy wpływ krwi powstrzymać.

– Żyje jeszcze? – spytał Pirnero.

– Jeszcze żyje. Później dopiero będę mógł stwierdzić, czy rany są śmiertelne, czy nie. Przede wszystkim rozglądajcie się za ludźmi, byśmy rannych przetransponowali do łóżek. Senior Pirne-

ro, dom pana będzie teraz lazaretem. Gerard musi iść pierwszy do łóżka. Dalej chłopcy przeniesie go, bo każda chwila zwłoki może być niebezpieczna.

Ponieważ walka była skończona, więc niedługo znalazło się dosyć rąk, by leżących bez zmysłów przetransportować do łóżka.

Sternau miał wiele pracy. Dwaj wiedeńscy doktorzy byli jeszcze na polu walki opatrując rannych Apaczów, więc uwijał się sam.

Zabitych Francuzów pościągano ze strychu i powrzucono do rzeki. Ten sam los podzielili polegli na placu. Po zdjęciu skalpów i odebraniu łupów powrzucono ich również do rzeki.

Lecz powróćmy jeszcze na pole bitwy, zobaczymy tam sceny, których przemilczeć byłoby szkoda.

* * *

Kiedy ostatni Francuz padł i nie było nic więcej do roboty, Niedźwiedzie Oko zawrócił swego konia ku rzece, do zacisznego miejsca, osłoniętego kilkoma drzewami zasłaniającymi brzeg.

Kilka minut później po wyszukaniu zabitych przez siebie i oznaczeniu trupów udał się Niedźwiedzie Serce także niby przypadkiem ku tym samym zaroślom.

Niedźwiedzie Oko puścił konia na popas i patrzył zadumany w wodę. Nie obrócił się nawet, gdy usłyszał za sobą kroki Niedźwiedziego Serca.

Sławny wódz nie śmie wobec drugich okazywać uczucia, jakie żywi ku swoim krewnym. Dlatego też sławni ci mężowie nie mogli wobec drugich dać poznać swej radości, jaką nappełniły się ich serca.

Niedźwiedzie Oko jako młodszy brat nie wiedział jak się wobec niego zachowa starszy. U Apaczów starszy miał zawsze pierwszeństwo. Jakkolwiek Niedźwiedzie Oko został wodzem, to stosując się do zwyczaju swego szczepu powinien oddać teraz dowództwo w ręce starszego brata.

Ciekawy był jak Niedźwiedzie Serce zachowa się, czy jako wódz, czy jako brat. Było to bardzo ważne według prawa Indian.

Kiedy tak stał pogrążony w myślach i pewien obawy w sercu poczuł jak go z tyłu obejmują dwie ręce.

– *Shi tische*, mój bracie! – rzekł Niedźwiedzie Serce z uczuciem.

– *Shi tische*, mój bracie! – odrzekł Niedźwiedzie Oko obracając się i obejmując go również.

To pozdrowienie ze strony starszego brata dało poznać Niedźwiedziemu Oku, że ten nie zamierza odebrać mu godności wodza, dlatego serce przeppełniło mu się miłością! wdzięcznością.

Złapawszy swój topór w lewą rękę i wyciągając prawicę, wśród łez, które mu ściekały po twarzy spytał:

– Mam sobie odciąć prawą rękę, mój bracie?

– Dlaczego?

– Z radości, że cię widzę.

Niedźwiedzie Serce wziął mu tomahawk i zatknął sobie za pas, a wyjąwszy swój podał mu mówiąc:

– Zamieńmy nasze wojenne topory. Mój topór jest twój, a twój jest mój. Tak i nasze ręce. Musisz swoją zatrzymać, bo ona jest także moją. Musisz jeszcze zabić tysiąc wrogów Apaczów.

Usiadł na brzegu a przy nim jego brat. W końcu Niedźwiedzie Serce objął ramieniem młodszego brata mówiąc:

– Masz na sobie barwy wojenne.

– Ty także – odrzekł Niedźwiedzie Oko odgadując zamiar brata.

– Farba wojny zakrywa twarz wojownika – ciągnął dalej Niedźwiedzie Serce.

- Nie można się zobaczyć! – wtórował mu Niedźwiedzie Oko.
- Tu płynie woda pod naszymi stopami.
- Woda zmywa farbę.
- Chcesz mi pokazać swoją twarz? Obmyję ją.
- Ja także.

Wskoczyli do wody zmywając farby: czarne, czerwone i niebieskie. Powróciwszy na brzeg poczęli się oglądać. Podobieństwo było uderzające.

- Twoja twarz jest piękna! – odezwał się Niedźwiedzie Serce.
- A twoja, to twarz wielkiego wodza.
- Jestem twoim bratem.
- A ja twoim.

Objęli się. Byli tak weseli i tak szczęśliwi jak dwaj młodzi chłopcy, chociaż byli już sławnymi wojownikami.

Siedząc tak koło siebie zapomnieli o całym świecie.

- Byłeś szesnaście wiosen daleko! – rzekł Niedźwiedzie Oko.
- Ty byłeś chłopcem, jak odszedłem.
- A ty wielkim wodzem. Dlaczego nie wróciłeś?
- Opowiem ci o tym później. Jak odchodziłem żył mój ojciec.
- Już umarł.
- Jak?

– W walce, zabiwszy najpierw jedenastu Komanczów.

– Poszedł więc na wieczne łowy. Tam mu będą usługiwali zabici przez niego Komancze, będą jego niewolnikami. Byłeś przy tym jak jego dusza opuszczała ciało?

- Jego głowa spoczęła na mym łonie.
- Jakie było jego ostatnie słowo?
- Ostatnim jego słowem byłeś ty!

Oko Niedźwiedziego Serca napełniło się łzami.

– Zrobiłeś mu nagrobek?

– Tak. To największy nagrobek w całej krainie Apaczów. Siedzi na swoim wojennym koniu poobwieszany skalpami i totemami, a w rękę trzyma broń.

- Odwiedzę jego grób. Dzieci Apaczów straciły w nim dobrego ojca i wielkiego wodza.
- Prosil, abym ja nim został.
- I zostałeś.

– Nie zaraz, ty bardziej na to zasługiwałeś. Dzieci Apaczów były przez pięć wiosen i zim bez wodza. Ponieważ jednak nie wróciłeś, nie mogłem się dłużej opierać ich prośbom. Ofiarowałem co tydzień twojej duszy życie jednego białego.

– Dlaczego białego?

– Poszedłem za twym śladem, dopóki go nie straciłem, dowiedziałem się, że twoimi ostatnimi przyjaciółmi były blade twarze.

- Dobrze się dowiedziałeś, opowiem ci to.
- Od dzisiaj ty jesteś wodzem.
- Nie.
- Ty jesteś starszy.
- Ale ty jesteś równie dzielny jak ja.
- Tak mówisz bracie.

– Nie widziałeś dzisiaj niebezpieczeństwa, kiedy się zapędziłem za dwoma Francuzami, jakie zagrażało mym braciom?

– Byłeś dzielny, a to porywa wojownika. W przyszłości przypomni ci się moja dzisiejsza nauka.

– Ale ty nie możesz zostać zwykłym wojownikiem.

– Ja mam jeszcze wiele do zrobienia. Muszę moich przyjaciół odprowadzić i z nimi walczyć. Jak powrócę znajdzie się niezawodnie jakiś szczep, który mnie poprosi, bym został ich wodzem.

– Mój brat jest nie tylko mądry, ale i mężny. Serce jego to serce dobrego człowieka. Nie chcesz mnie zasmucać, więc moje życie od dzisiaj będzie należało do ciebie, aż do mego ostatniego tchnienia.

Uścisnęli się znowu serdecznie i szczerze.

Po jakimś czasie spytał znowu Niedźwiedzie Serce:

– Jak odszedłem żyła jeszcze moja matka. Była to najlepsza matka w całej krainie i na wszystkich błoniach czerwonoskórych.

– Mówisz prawdę. Ja już dużo matek widziałem, ale żadnej jeszcze takiej jak ona.

– Więc i ona poszła do wielkiego ducha?

– Nie.

Niedźwiedzie Serce, ów wielki wódz Apaczów klasnął w ręce jak ucieszony dzieciak pytając:

– Żyje jeszcze?

– Żyje.

– Ta wiadomość jest więcej warta niż wszystko co mógłbyś mi dać.

– Więcej od godności wodza?

– O więcej, o wiele więcej.

Oczy znowu mu zaszyły łzami. Klęknął i wznosił ręce do góry mówiąc:

– O wielki Manithou! Łaskawy wielki duchu! Dziękuję, że zachowałeś tę, która mi dała życie i serce. Kiedy odchodziłem od was liczyła pięć razy po dziesięć zim.

– Teraz liczy sześć razy po dziesięć i sześć – odpowiedział Niedźwiedzie Oko.

– Jaka jest siła jej ciała?

– Ciało jest silne i duch jasny, ale oczy ciemne.

– Niedowidzi dobrze?

– Nie może widzieć światła słońca.

– O Manithou. Ona jest ślepa? – spytał Niedźwiedzie Serce z bólem.

– Tak.

– Od jakiego czasu?

– Od dwóch zim i jednego lata.

– Kto jest winien, że jej światło zostało zabrane?

– Zły duch dmuchnął na nią i rozciągnął skórę na jej oczy.

– Co powiada na to wróżbita?

– Dawał jej wiele środków. Gotował słodkie i gorzkie napoje, nakładał zioła i korzenie, ale zły duch nie dał się przekupić.

– Nie składaliście ofiar?

– O, nawet bardzo dużo, ale nie pomogły.

– Ja znam jeden środek, który jej może pomóc.

– Jaki, mój bracie?

– Mam białego przyjaciela, a ten jest wielkim człowiekiem medycyny i wróżbitą.

– Biała twarz? Zły duch nie ucieka przed białą twarzą.

– *Uff!* Ta biała twarz jest więcej warta niż dziesięciu czerwonych wodzów.

Niedźwiedzie Oko patrzył na niego ze zdziwieniem. Takie słowa w ustach wodza Apaczów, dlatego zapytał:

- Mój brat chce ze mną żartować?
- Nie. Ta biała twarz przywróciła już wielu ślepych światło dnia.
- Jak się nazywa ten człowiek?
- Sternau.
- To obce, nieznanne nazwisko. Ten mąż będzie jak źdźbło trawy w sawannie, a tych jest miliony.
- Znasz ty imię *Matava-se*!
- Księcia Skał? Kto by go nie znał. To największa biała twarz w górach i na prerii.
- Ten Książę Skał wśród swojego ludu nazywa się Sternau.
- *Uff!* Książę Skał jest twoim przyjacielem? – pytał Niedźwiedzie Oko z radosnym zdziwieniem.
- Tak.
- Gdzie on jest?
- Tutaj.
- Tutaj w forcie Guadalupe?
- Tak.
- Co tutaj robi?
- Dowodził obroną fortu.
- Zobaczę go?
- Tak.
- Kiedy przybył do fortu?
- Dzisiaj o czwartej części słońca.
- Ma wielu wojowników ze sobą?
- Nie, ale ci co są przy nim, wszyscy są sławni.
- Jak się nazywają?
- Lekki uśmiech przemknął po twarzy Indianina:
- Nazywają się *Shosh-in-liett*.
- *Shosh-in-liett*? Niedźwiedzie Serce? Ty sam z nim przyszedłeś?
- Tak. Z nim byłem razem przez tych szesnaście zim.
- Gdzie?
- Na jednej wyspie pośrodku wielkiej wody. Opowiem ci to jeszcze. Następnie jest przy nim Piorunowy Grot i Bawole Czoło.
- To bardzo sławni wojownicy.
- I jeszcze inni są przy nim. Wszystkich zobaczysz. Otóż on jest wodzem wszelkich chorób. Ma mały nóż, którym wycina w ślepych oku dziurę, tak, że światło słońca może znowu do niego wejść.
- Niedźwiedzie Oko potrząsnął głową z niedowierzaniem mówiąc:
- Brat powinien bratu mówić prawdę.
- Ja ją też mówię.
- Widziałeś to sam?
- Nie, ale słyszałem o tym.
- Okłamali cię.
- Ten człowiek, który mi to powiedział, widział to sam lub słyszał od drugiego, który to widział.
- Ja jednak nie wierzę.
- Będziesz wierzył, jak zobaczysz.
- Jakże mogę zobaczyć?

– Mówię ci, że zobaczysz.

– Kiedy?

– Wkrótce. Poproszę Księcia Skał, by pojechał do wigwamu Apaczów i aby mojej matce przywrócił wzrok.

– Zrobi to?

– Zrobi.

– To chodźmy zaraz do niego.

– Dobrze, chodź ze mną. Matka ucieszy się powrotem Niedźwiedziego Serca, bo ten przyprawia do niej człowieka, który ją uzdrowi.

Twarz jego zabłysła na myśl, że wkrótce ujrzy swą matkę. Już chciał spieszyć zapominając o wszystkim.

– Czekaj! – zawołał Niedźwiedzie Oko. – My się obmyliśmy.

– Uff! – odrzekł Niedźwiedzie Serce.

Poszedł do siodła i wyciągnął z niego małe naczynia służące do przechowywania farb, które ma każdy Indianin podczas wojny ze sobą. Niedźwiedzie Oko uczynił to samo. Wyjęli pędzle i poczęli się wzajemnie malować. Ukończywszy, spoglądali jeden na drugiego. Widać było z ich zadowolonych min, że dzieło się udało.

Dosiedli koni, skierowali je najpierw do prezydenta Juareza, który stał w centrum pola wali i oglądał trupy. Indianie byli zajęci znoszeniem ciał swoich zabitych. Wieczorem mieli opłakiwać poległych. Trupy Francuzów zostały już powrzucone do rzeki.

– Dobrze żniwo zebrał dzisiaj tomahawk Apaczów.

– Uff! – odezwał się Niedźwiedzie Oko.

– Moi czerwoni bracia są dzielnymi wojownikami. Do kogo należą te dwa stosy trupów tam pod skałą?

– Do Niedźwiedziego Serca i Niedźwiedziego Oka. Oni ich zgładzili i pozaczyli swoimi znakami. Apacze biorą tylko tych nieprzyjaciół, których własną ręką zabili.

Prezydent popatrzył na nich ciekawych i odrzekł:

– Ten wojownik jest *Shosh-in-liett*, ów sławny wódz Apaczów?

– Tak – odpowiedział Niedźwiedzie Oko.

– Słyszałem, że on miał zginąć?

– Dobrze słyszałeś, dzisiaj jednak powrócił.

Prezydent zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

– Teraz już wiem. Przypomniałem sobie. Zna mój brat hacjendę del Erina?

– On ją zna – odrzekł zapytany.

– Kiedym jeszcze byłem sędzią właściciel jej przybył do mnie i opowiadał mi o zniknięciu wielu osób, a wśród nich Niedźwiedziego Serca – przerwał temat i po chwili zapytał znowu: – Apacze zdobyli dzisiaj wiele skalpów i broni?

Przeszedł tak nagle do innego tematu, bo wiedział, że Indianie, a zwłaszcza wodzowie niechętnie dają się wypytywać.

Niedźwiedzie Oko odparł z dumą:

– Niedźwiedzie Oko nie wie tego, bo całą zdobycz podarował swoim wojownikom.

– Będzie z trzysta strzelb?

Niedźwiedzie Oko skinął głową potakując.

– I tyle koni?

– Tak.

– A amunicji?

– Też.

- Chce mi to mój brat wszystko sprzedać?
- Wódz potrząsnął przecząco głową mówiąc:
- Wojownicy Apaczów sami potrzebują strzelb, ołowiu i koni.
- Mówisz prawdę, ale konie chciałbym od was kupić.
- One należą do moich wojowników, więc ich zapytaj.
- Ja muszę się udać do Chihuahua. Będzie mój brat Niedźwiedzie Oko towarzyszył mi?
- Dał ci przecież swoje słowo.
- Ha, to wygońmy i stamtąd Francuzów. Ale najprzód musimy wypocząć. Jeżeli się nie mylę to w forcie jest jakaś *venta*?
- Tak.
- Jak się nazywa gospodarz?
- Pirnero.
- Będę u niego mieszkał. Chcą mi moi bracia towarzyszyć? Zamiast odpowiedzi skierowali swoje konie, tak, że się znaleźli po obu jego bokach, po czym wyruszyli w kierunku wzgórza, na którego oczu, Apacze rozłożyli swój obóz. Właśnie rozdzielali między siebie zdobycz.
- Dojechawszy do *venty* ujrzeni białych myśliwych, którzy rozmawiali o walce. Tu i ówdzie kręcili się Indianie chcący sprzedać swoją zdobycz. Cała *venta* roiła się od przybyszów.
- Pirnero miał bardzo wiele pracy. Kilku *vaqueros* pomagało mu jak mogło. Na szczęście Resedilli szybko przeszło, więc i ona mogła zająć się kuchnią.
- Właśnie w chwili, gdy Juarez zsiadł z konia wyszedł Pirnero ze sklepu chcąc się udać do szynku. Juarez zobaczywszy go zawołał:
- Ty jesteś Pirnero, senior?
- Tak – odrzekł zapytany.
- Znacie mnie?
- Nie.
- Nazywam się Juarez.
- Pirnero rozdziawił gębę ze zdziwienia, pytając:
- Senior Juarez, prezydent?
- Tak.
- Co za zaszczyt dla mego domu. Proszę do środka, senior!
- Juarez zaśmiał się mówiąc:
- Zaszczyt ten mało mnie obchodzi, wolałbym raczej dostać jakiś pokój, macie coś wolnego?
- Nawet salon.
- Dostanę coś do jedzenia i będę się mógł przespać?
- Naturalnie, z wszelkimi wygodami.
- Zaprowadźcie mnie więc i zajmijcie się końmi. Kiedy wszedł na piętro zauważył na pierwszy rzut oka rozwalone drzwi pokoju. Zaglądnął do środka i ujrzał obie dziewczyny: Pepi i Zilli. Zdumienie wymalowało się na jego twarzy. Równe zdziwienie, a nawet zakłopotanie można było spostrzec na twarzach obu dam.
- Czy mnie oczy nie mylą?
- Senior Juarez – odezwała się Pepi.
- Zna mnie seniorita? Więc nie mylę się, musieliśmy się już gdzieś spotkać.
- Tak jest, senior.
- Gdzie?
- W klasztorze.
- Della Barbara w Santa Jaga.
- Tak.

- Byłyście panie tam wychowywane?
 - Tak.
 - Ale skąd panie aż tutaj?
 - Przybyliśmy z Chihuahua.
 - Ale dlaczego panie przybyły aż tutaj, do fortu Guadalupe?
 - Przyłączyliśmy się do wojsk francuskich, które tutaj maszerowały.
 - Do tej kompanii co została wycięta?
 - Tak.
 - Jak panie uszły śmierci?
 - Czarny Gerard nas wyratował.
 - Czarny Gerard! Znacie panie tego sławnego męża?
 - I to bardzo dobrze.
 - Ale dlaczego się panie przyłączyły do francuskiej kompanii?
 - Senior – rzekła Pepi z zakłopotaniem i prośbą.
 - Tajemnica?
 - Tak jakby – odpowiedziała figlarnie.
 - Ale przecież z polityką nie mają seniority nic wspólnego?
 - Ani trochę.
 - A zatem sprawa osobista?
 - Tak.
 - To nie będę dalej wypytywał. Jak długo chcą się panie tutaj zatrzymać?
 - Nie wiemy jeszcze.
 - Macie tu jakiś znajomych lub przyjaciół?
 - Tak.
 - Ja zostanę aż do jutra, więc jeżeli mogę w czymś służyć to bardzo proszę nie krępować się.
- Wyszedł. Gospodarz czekał na niego i poprowadził natychmiast do jednego z większych pokoi, który nazwał salonem. Był to ten sam, gdzie złożyli hrabiego.
- W chwili gdy weszli hrabia leżał ciągle jeszcze nieprzytomny. Koło łóżka siedział Mariano, Sternau stał przy chorym badając puls.
- Ten pokój przeznaczyłem dla seniora – rzeki Pirnero. Juarez spojrzał na niego zdziwiony mówiąc:
 - Przecież już jest zajęty?
 - To nic nie szkodzi. Choremu wyznaczę inny.
 - Kto to taki?
- Sternau podszedł bliżej i ukłoniwszy się rzekł:
- Nazywam się Sternau Jestem lekarzem. Czy wolno mi zapytać dla kogo mamy zwolnić miejsce?
 - Nazywam się Juarez.
- Oko Sternaua błysnęło radośnie.
- Cieszę się bardzo, że mogłem poznać człowieka, który dołę swego kraju tak dzielnie i wytrwale dźwiga na swych barkach. Moim pacjentem jest hrabia Ferdynand de Rodriganda.
- Prezydent cofnął się o krok. Cała postawa i twarz zdradzały zdumienie.
- Ferdynand de Rodriganda? – wyrzekł pomału.
 - Tak, senior.
 - Z Meksyku? – Tak.
 - Ten sam, którego własnością była chociażby hacjenda del Erina?
 - Ten sam.

- Senior, pan się musi ogromnie mylić.
 - Nie, to prawda.
 - Ale hrabia umarł. Już dawno został pogrzebany.
 - Pogrzebali go wprawdzie, ale nie umarł i ciągle jeszcze żyje.
 - Nie rozumiem.
 - Jeszcze dzisiaj wszystko wytłumaczę, jeżeli oczywiście będzie mi pan mógł poświęcić chociaż godzinę. Jest to rzecz o wielkim znaczeniu.
 - Zaciekawia mnie pan coraz więcej. Pan Sternau, nieprawdaż?
 - Tak jest.
 - Musiałem już gdzieś słyszeć to imię – rzekł zamyślając się. – Pan jest lekarzem?
 - Tak.
 - Już wiem. Zna pan niejakiego Pedro Arbelleza?
 - Hacjendero z del Erina?
 - Tak, o nim właśnie myślałem.
 - Bardzo dobrze. Byłem u niego nawet.
 - To on właśnie opowiadał mi nieprawdopodobną historię. Od niego otrzymałem stare indiańskie kosztowności, które miałem wysłać do Niemiec.
 - Może do Kreuznach w Moguncji?
 - Tak. Podobnie nazywała się ta miejscowość. Adresat był chłopcem, a jego ojciec sternikiem.
 - Helmer?
 - Tak. Ten chłopak mieszkał u jakiegoś kapitana, który zarazem był nadleśniczym.
 - To ten sam. Poczcwiwy Arbellez wysłał jednak te rzeczy?
 - Właściwie to ja wysłałem, ale przy tej okazji wspomniał mi pańskie nazwisko. Nie przypominam sobie dokładnie; chodziło o wyleczenie jakiegoś mężczyzny, który miał zostać jego zięciem, a który jak mi się zdaje cierpiał na obłąd.
 - Tak, znakomicie to senior pamięta.
 - Opowiadał mi jeszcze więcej i jeżeli rzeczywiście jest pan tak sławnym lekarzem, to dziwi mnie, że właśnie pan utrzymuje, iż hrabia żyje.
 - Pogrzebali go za życia.
 - Niemożliwe!
 - Ale prawdziwe! Odemknięto go i wyjęto z grobowca kiedy obudził się z letargu, po czym sprzedano jak niewolnika. Dopiero niedawno udało mu się odzyskać wolność.
 - Juarez kiwnął głową ciągle jeszcze niedowierzając.
 - Czy senior wie, że ja znam hrabiego bardzo dobrze?
 - Tym lepiej! Chce go pan zobaczyć?
 - Naturalnie.
 - Proszę, tam leży.
- Prezydent zbliżył się do łóżka. Oglądał nieprzytomnego uważnie, gdy odszedł, Sternau zapytał:
- Co pan teraz na to powie, panie prezydencie?
 - To on, jak mi Bóg miły, to on! To jego twarz, nie można się pomylić. Postarzał się wprawdzie, ale na pierwszy rzut oka można go poznać, a wie pan po czym?
 - Zapewne po szramie na prawym policzku.
 - Tak, dostał ją szpadą. Ale wprost nie mogę w to uwierzyć. Toż to zbrodnia wręcz niewyobrażalna.
 - Nie tylko jedna, cały szereg zbrodni!
 - Dlatego chciał pan ze mną mówić?

- Tak.
- Będę dzisiaj wieczorem, do pana dyspozycji, proszę pozostać w tym pokoju, ja wezmę pierwszy lepszy. Ale co się stało z hrabią? Dlaczego leży nieprzytomny?
- Dostał w głowę kolbą.
- Więc ten starzec walczył razem z nami?
- Nie. Czy pan nie słyszał o tym, że jedenastu Francuzom udało się wdrzeć do fortu i napaść na *ventę*?
- Nie, ani słowa – odrzekł Juarez zdziwiony.
- Wkradli się niepostrzeżenie od strony rzeki. Postawiłem tam wprawdzie dwóch wartowników...
- Pan postawił strażę? Pan? – przerwał prezydent.
- Tak.
- Czy pan może dowodziłeś w forcie?
- Tak jest.
- Dlaczego nie Gerard, któremu tę misję zleciłem?
- On oddał dowództwo w moje ręce.
- To dziwne! Przecież to człowiek trzeźwo myślący i zawsze wiedzący co robi. Proszę mi nie brać tego za złe senior, ale lekarz i dowódca to przecież trochę... Hm, Co go do tego skłoniło? Sternau uśmiechnął się i poruszając ramionami odrzekł:
- Może się nie uważał za tak sławnego myśliwego, jak ja.
- Jak pan? Pan jesteś traperem?
- Tak.
- Lekarzem, traperem? Coraz bardziej mnie to zadziwia.
- Słyszał senior już może o *Matava-se*?
- Naturalnie, Księżę Skał, to najslawniejszy traper.
- Hm, tak mnie przedtem nazywano.
- Pana? – zapytał Juarez zaskoczony.
- Wydaje się to panu nieprawdopodobne? J
- uarez popatrzył bystrym okiem na barczystą postać Sternaua i odpowiedział:
- Co prawda, postawę ma pan solidną, mogę sobie wyobrazić jakby strój trapera do niej pasował. Dlatego więc Gerard oddał przywództwo panu. Słusznie postąpił. Coraz bardziej mnie pan zadziwia. Proszę dalej! Postawił pan więc dwie wartownie?
- Jeden ze strażników dał się podejść i został przez Francuzów zabity. Przez dziurę w ogrodzeniu przedostali się do fortu i napadli na *ventę*. Skrępowali gospodarza i jednego *vaquero*. Na górze napadli na dwie młode damy wywaliwszy najpierw drzwi do ich pokoju.
- To dlatego drzwi są wyłamane. Zapewne także napastowali damy?
- Tak, w sposób dość nieprzyjemny, tak, że musiały się bronić. Na szczęście miały przy sobie zatrute sztylety i nimi zabiły dwóch Francuzów.
- Te dwie małe seniority? – pytał Juarez.
- Tak, to dwie małe bohaterki. Francuzi dali im spokój i poszli na górę, na strych, stamtąd hrabia wyglądał przez okienko na pole bitwy. Przy nim była córka gospodarza, jedna Indianka i seniorita Emma Arbellez.
- Emma Arbellez? – zawołał prezydent. – Która Emma Arbellez?
- Córka Pedro Arbelleza, z hacjendy del Erina.
- Ależ ona... na Boga! Pan dzisiaj prawisz same cuda. Ciekaw jestem co jeszcze nastąpi?
- Francuzi związali hrabiego i damy, chcieli okupu. Kobiety mieli wychłostać, jedna z nich zemdłała, drugą powalili uderzeniem kolby, a trzecią obalili na ziemię i chcieli obić kijami.

- Straszne, ohydne! – wołał Juarez zgrzytając zębami. – Nie było ratunku?
- Przyszła podwójna pomoc i to właśnie w najkrytyczniejszym momencie. Młodym Meksykancom udało się uciec; pobiegły szukać pomocy. Znalazły Gerarda w kałuży krwi, prawie umierającego.
- Ach, dlatego go do tej pory nie widziałem! Gdzie on jest? Żyje? Proszę o szczerą odpowiedź. Ja mu wiele zawdzięczam, on jest moją podporą.
- Jest ciężko ranny, oprócz tego stracił wiele krwi. Życie jego wisi na włosku, jednak należy mieć nadzieję.
- Bogu dzięki! Proszę opowiadać dalej, senior.
- Obie seniority znalazły go leżącego we krwi, powiedziały mu, że Francuzi napadli na *ventę*, pospieszyły dalej i spotkały Bawole Czoło.
- Bawole Czoło, tego sławnego Misteką?
- Tak.
- Znowu cud. Dzisiaj wieczorem musi mi pan dokładnie wszystko wyjaśnić i opowiedzieć jak to się stało.
- Powiedziały Bawolemu Czołu co się stało. Pospieszył natychmiast do *venty*. Przedtem jednak dotarł tam Gerard. Nadszedł, kiedy żołnierze obalili córkę gospodarz chcąc ją okładać kijami. Jeżeli się nie mylę, zabił czterech, czy pięciu z nich, lecz następnie wskutek utraty krwi osłabł zupełnie i sam znajdował się w strasznym niebezpieczeństwie. Bawole Czoło, który się zjawił w najkrytyczniejszym momencie powybił resztę. Hrabia też dostał uderzenie kolbą, dlatego leży nieprzytomny. Obecnie nie mogę go opuszczać, chcę być przy jego przebudzeniu.
- Było ich tylko jedenastu?
- Tak.
- Wszyscy wybici?
- Wszyscy z wyjątkiem ich przywódcy, sierżanta.
- Ten żyje jeszcze? Zaraz go każę rozstrzelać!
- Senior, on już jest ukarany. Leży na strychu ze zdartym skalpem.
- Musi umrzeć?
- Nie. Bawole Czoło zdarł z niego skalp za życia, oprócz tego odciął mu nos i uszy.
- Dlaczego?
- Bo siostrę jego uderzył kolbą w głowę.
- Co za okrucieństwo! Ale też i co za kara! Czy mogę zobaczyć Gerarda?
- Właściwie nie powinienem nikogo do niego wpuszczać.
- Będę ostrożnym.
- Proszę iść za mną. Nie sądzę, żeby hrabia szybko się obudził. Gospodarz musiał zaczekać. Sternau wyszedł z prezydentem. Otworzył po cichu drzwi swego pokoju, w którym spał Gerard. Koło niego stała jakaś kobieta. Kiedy weszli obróciła się ku nim.
- Emma Arbellez! – wyszeptał zdumiony prezydent.
- Senior Juarez! – odpowiedziała.
- Sternau dał znak, by byli ostrożni po czym zapytał:
- Nic się nie zmieniło?
- Nie – odrzekła Emma. – Nie otworzył jeszcze oczu.
- Mówił coś może?
- Zawahała się z odpowiedzią.
- Proszę mi powiedzieć prawdę!
- Jedno słowo, które wymówił szeptem, chyba zrozumiałam.
- Co to za słowo?

– Ja nie wiem, czy wolno mi być niedyskretną?
– Wobec lekarza nie ma tajemnic. Zresztą domyślam się o co chodzi.
– To by rzeczywiście było cudem – szepnęła z uśmiechem.
– Oho! – rzekł Juarez równie po cichu. – Senior Sternau już mi dzisiaj tyle cudów naopowiadał, że rzeczywiście bierze mnie chętką dowiedzieć się, czy i teraz ma rację.
– O tak – rzekła Emma. – Tego żaden człowiek nie odgadnie.
– Żaden, możliwe, ale ja tak – odparł Sternau.
– Proszę więc zgadnąć to słowo?
– Resedilla.
Emma popatrzyła na niego z najwyższym zdumieniem.
– Czy pan jest wszechwiedzący?
– Nie, tylko uważny.
– Kto to jest Resedilla? – zapytał Juarez.
– Córka gospodarza.
– On ją kocha?
– Szczerze i serdecznie – brzmiała odpowiedź Sternaua. – Senior, proszę popatrzeć na niego! Podeszli do łóżka. Gerard, ów silny mężczyzna leżał jak trup, jak woskowa figura. Wydawało się, że nie tliła się w nim nawet iskierka życia.
Juarez stał obok bez słowa, podał dłoń Sternauowi i wyszeptał:
– Jeżeli pan go rzeczywiście przywróci do życia, to jesteś pan wielkim lekarzem i proszę liczyć na moją wdzięczność. Teraz odchodzę by nie przeszkadzać.
Na korytarzu czekał na niego Pirnero, by mu wskazać inny pokój. Juarez zgodził się na pierwszy lepszy.
Kiedy gospodarz chciał odejść, zatrzymał go Juarez pytając:
– Pirnero ma pan rodzinę?
– Jedną córkę.
– A żonę?
– Nie.
– Ile macie lat?
– Hm! Tego dokładnie nie wiem; zapisałem wprawdzie w starych kalendarzach, ale i te mi się gdzieś zapodziały. Coś ponad czterdzieści czy pięćdziesiąt, a może sześćdziesiąt lat!
– Co się stanie z waszą gospodą, jak umrzecie?
– Dostanie ją Resedilla.
– I ona sama mają prowadzić?
To była woda na jego młyn więc szybko odrzekł:
– To jest właśnie moją troską.
– Co?
– No ta historia co do zięcia!
– Ach, to już jest jakaś historia?
– Niestety nie! Chciałbym żeby była, ale dziewczyna nie chce!
– Wyjść za męża?
– Zgadł pan! – odrzekł kiwając głową.
– To należy ją zmusić.
– Zmusić? Niemożliwe! Ona co zechce to robi. Kubek w kubek podobna do ojca, to nasza rodzinna cecha. Naturalnie po ojcu, musi senior wiedzieć.
Prezydent popatrzył na niego figlarnie i śmiejąc się odrzekł:

– Tylko żadnych głupstw, stary! Wasza córka z pewnością jest mądrzejsza od was. Powiedźcie mi, nie zauważyliście, czy nie zrobiła jakiejś znajomości?

– Nie.

– Nie macie więc o niczym pojęcia?

– Nie. Chyba, że w ostatnim czasie, ale ten mi się nie podoba, bo pluje za wiele. Pluje jak diabeł.

– Kto?

– Sępi Dziób.

– Sępi Dziób, ów sławny traper? Znacie go?

– Tak.

– Skąd?

– Jest tutaj.

– Tutaj? U was? Teraz?

– Tak. Cały dzień jest u mnie, walczył nawet z Francuzami.

– Muszę go zobaczyć. To podobny wyjątkowy oryginał.

– O tak. Święta prawda. Pluje mi ciągle na okno i na obrazy. Ujrzycie go niedługo, senior, bo właśnie chciał się do was dostać.

– Do mnie?

– Tak powiedział.

– Ciekawe co chce? Jego więc kocha wasza córka?

– Hm, nie umiem tego powiedzieć. Mnie on się nie podoba. Czy jej się podoba jego plucie, tego nie wiem. Możliwe, bo kobiety mają dziwne gusta. Muszę ją zniecka wziąć na spowiedź.

– Proszę tego zaniechać. Chcielibyście dostać zięcia?

– Zięcia? Boże? Toż to byłoby szczęście! Zięć to moje marzenie, senior. W Pirnie poważna głowa rodziny, nie może się bez zięcia, pokazać na ulicy.

– Gdzie ta Pirna jest? – spytał Juarez.

– Pirna? W Saksonii, tam gdzie cztery okręgi się schodzą.

– Widać, że tam żyją mądrzy ludzie, zwłaszcza, co się tyczy zięciów. Ale ja chcę z wami pomówić poważnie!

– Proszę mówić, senior. Dobry dyplomata ze mnie, potrafię rozróżnić żart od poważniejszej sprawy.

– Dobrze, gdybyście mieli zięcia...

– Wówczas? – pytał Pirnero zaciekawiony.

– Wówczas zmieniłoby się wiele. Mógłbym wtedy, senior...

– Co senior? Proszę powiedzieć otwarcie! Jako dobry polityk umiem milczeć i potrafię zachować tajemnicę.

– To mogę dopiero wtedy wam wyjawić, jak będziecie mieli zięcia.

– Do diabła. Żebym go tylko już miał!

– Wyszukajcie sobie zaraz jakiegoś.

Widać było, że prezydent żartuje. Ale Pirnero zapalił się tą myślą, więc mówił dalej:

– Gdybym się tylko mógł dowiedzieć, co senior zamierza zrobić z mym zięciem?

Juarez udał powagę, przybrał tajemniczą minę i odrzekł:

– Wiecie, że biję Francuzów.

– Doskonale.

– Potem będzie musiał również ustąpić ten malowany król.

– Całkiem pewnie!

– Wówczas będę miał cały kraj pod sobą. W tym wypadku zależy mi na tym, by mieć właśnie w tej okolicy dobrego dyplomate, który ma zięcia, a na którego... Hm, nie mogę nic więcej zdradzić!

– Dlaczego nie?

– Mogę tylko tyle powiedzieć, że chcę waszego dobra.

– Naprawdę? Żebym tylko wiedział, skąd u diabła mam wziąć zięcia? Fatalna historia, naprawdę fatalna. Musi to być zaraz, senior?

– Możecie się domyślić, że wiele czasu nie ma.

– Hm! A nie mógłby mi senior, jednego albo dwóch wymienić, którzy... hm!

– To trudna sprawa.

– Ja bym już wybrał!

– No, Sępi Dziób... ten pluje za wiele, nieprawdaż?

– Straszliwie! Nie do wytrzymania! Tego nie chcę.

– A kto jeszcze tutaj zachodzi?

– Hm! Chyba Czarny Gerard!

– Także pluje?

– Nie, ani troszkę.

– Ma może jakąś wadę albo słabą stronę?

– O nie. To dzielny chłopak, ale tu to znowu ja popełniłem błąd!

– W jaki sposób?

– Żle z nim postąpiłem. Mieszkał u mnie lecz nie wiedziałem, kim on jest. Ponadto nazywałem go żebrakiem, kłóciłem się z nim, że tylko jeden julep pije i wyśmiewałem go. Pomimo tego ochraniał mnie i owego francuskiego kapitana, który jako szpieg zakradł się do nas, wyrzucił z domu.

– To dowodzi, że nie tęgi polityk z was.

– O, co do polityki i dyplomacji jestem dość silny i dużo potrafię, ale te głupie historie sercowe mogą zaćmić w głowie nawet pochodzącego z Pirny. Wolałbym raczej wziąć w ręce zarząd całego cesarstwa albo republiki, niż wydanie za mąż jednej dziewczyny. Na cesarstwo zawsze znajdzie się kandydat, ale na córkę... Zanim się człek spostrzeże, przeminą latka, panna osiadzie na koszu, a wówczas *adieu* zięciu! Ciekawym po co ja przywędrowałem aż tutaj, do Meksyku, kiedy nawet dziadkiem nie mogę zostać!

Juarez zazwyczaj poważny i milczący, lubił od czasu do czasu nieco pożartować, a że rozmowa ta go bawiła, więc pytał dalej:

– Nie spodziewacie się więc, by Czarny Gerard was wybawił z tego kłopotu?

– Pewnie nie. Z kretesem popsułem sprawę. Chyba żeby senior był łaskaw dobre słowo za mną przemówić!

– Hm! To delikatna sprawa. Co dacie waszej córce w posagu?

– Dostanie wszystko, wszystko!

– Czy on ją chociaż lubi?

– Tak kiedyś pomyślałem, bo stał raz z nią na podwórzu i trzymał za rękę. Sądzę, że ze sobą rozmawiali.

– To jeszcze niczego nie dowodzi!

– Tak! Lecz mimo to, napadłem na nich i naburczałem, co wlażło. Od tego czasu jakby ręką uciął, ani nie spoglądają na siebie.

– Naprawdę to zauważyliście?

– Tak. Odwracają oczy od siebie. Dzisiaj uratował nas wszystkich, chociaż sam walczył ze śmiercią. Dlatego dałem mu mój najlepszy pokój. Myśli pan, że dziewczyna choć raz zeszła do niego, by na niego popatrzeć?

– To rzeczywiście zły znak, no, zobaczę co się jeszcze da zrobić.

– O, proszę senior, nawet bardzo, zajmij się tą sprawą. Ja bardzo chętnie służę swoją osobą, gdy zajdzie potrzeba. Jeżeli tylko senior będzie potrzebował dobrego dyplomaty, na którym można by było polegać, to proszę tylko przysłać po mnie. Już ja wszelkie zawikłania, choćby najtrudniejsze rozpletam.

– Dobrze, ale powiedzcie mi senior Pirnero, dlaczego daliście się dzisiaj tak podejść tym Francuzom? Nie pomyśleliście o obronie?

– Obrona? Naturalnie! Najpierw chciałem iść do sklepu, bo tam mam parę nowych karabinów do sprzedania, pomyślałem sobie jednak, że szkoda nowe strzelby zanieczyszczać dla tych kilku Francuzów. Potem chciałem się udać do mojej sypialni i przynieść moją flintę, jednak przypomniałem sobie, że przy zamku brakuje kurka. Chciałem wynieść nóż z kuchni, ale są one na końcu zaokrąglone, więc zupełnie nieprzydatne. Lancę mam także, ostrą i spiczastą, jak żądło, ale na nieszczęście użyłem jej jako sznura na bieliznę, nim bym więc pozbiarał z niej wszystkie pończochy i kalesony, dawno by Francuzi uciekli, bo ochotę zdradzali do tego niezłą, strachliwi byli, powiadam panu, aż im się szczęki trzęsły.

– To z pana bohater! – odrzekł Juarez, śmiejąc się.

– Ale nie powiedziałem panu jeszcze, dlaczego zaniechałem obrony.

– Cały zamieniam się w słuch.

– Jako dobry dyplomata pomyślałem sobie, że pomoc tak, czy owak nadejdzie. Po co więc mam się bić z tymi durniami. Zostawiłem to innym. Dobremu dyplomacie ani do głowy nie wpadnie, by się dał zabić na placu bitwy. On tylko wojnę przygotowuje, a inni za niego walczą. Oto iście dyplomatyczne postępowanie.

Juarez sposepniał.

– Macie słuszność, Pirnero. Kuzynek wujaszka z Paryża przygotował nam wojnę. Dobry dyplomata, a nasz naród ma pozwolić powybijać się. Ja zaprowadziłem spokój w Meksyku i byłbym go utrzymał. Słuchano mnie, bo mnie lubili, szanowali i bali się. Lecz naraz wtargnęli ci mściciele pokoju ze swoim wojskiem. Każdy lud ma prawo do własnych rządów. Ja jednak musiałem uciekać aż do najdalszego zakątka, do Paso del Norte. Inny na moim miejscu dałby spokój, ale ja nie. Mam prawo zmierzyć się z uzurpatorem. Poniosę mój sztandar i pójdę z nim, aż do stolicy. Tam go zawieszę na znak, że każdy naród sam pisze swoją historię.

Dlaczego ów sławny, waleczny mąż tracił tyle ważnych słów w rozmowie z Pirnero, którego śmiało można nazwać ignorantem?

Juarez nosił ciężkie brzemię na swych barkach, brzemię wielkiego nieszczęścia. Chciał tylko dobra swego ludu. Nie można się więc dziwić, że podczas wygnania nagromadziło się w jego głowie tyle myśli, a w jego sercu tyle gorzkości.

Podał gospodarzowi rękę i obracając wszystko w żart, rzekł:

– Jak widzicie Pirnero, nie każdy dyplomata jest szczęśliwy, ale nie odstrasżajcie się, zostańcie nadal politykiem. Jeżeli się szczerze i szlachetnie działa, prędzej czy później nadejdzie zwycięstwo.

Na to zawołał gospodarz z entuzjazmem:

– O, my zwyciężymy. Pan w Meksyku, a ja w wydaniu córki! Bo pan zajmie się moją, a ja pańską sprawą. Na mnie może pan liczyć!

Juarez roześmiał się i odrzekł:

– Dobry kontrakt! A teraz idźcie i przyślijcie mi jakiś posiłek. Jeżeli moi urzędnicy będą o mnie pytali, wskażcie im mój pokój.

Gospodarz popędził na dół, jakby mu skrzydła wyrosły. Resedilla musiała się zająć kuchnią, by przygotować jedzenie dla prezydenta, a Pirnero sam zaczął obsługiwać gości. Dopiero wieczorem byli wolni. Wszyscy wyszli obejrzeć ceremonię żałobną Apaczów.

Pirnero usadowił się na swym krześle przy oknie, popijając julep, Resedilla sprzątała w izbie. Właśnie stała koło niego, gdy się odezwał:

– Resedilla!

– Co ojciec? – spytała.

– Wiesz, kto to jest gubernator?

– Wiem.

– No co?

– Najwyższy przełożony prowincji.

– To dobrze trafiłaś, moja córko! Ale wiesz także, że taki gubernator musi być znakomitym politykiem i wytrawnym dyplomata?

– To całkiem naturalne!

– I że tylko takim mężom, którzy uchodzą za najlepszych dyplomatów, powierzane są wysokie urzędy?

– Słusznie.

– No, więc popatrz teraz na mnie!

Przybrał poważną, uroczystą minę. Popatrzyła na niego z ciekawością.

– No i? – pytał.

– Co?

– Jak wyglądam, jak ci się zdaje?

Doskonale znała jego słabą stronę, więc domyślając się, o co chodzi, odpowiedziała:

– Jak wielki dyplomata, mój ojciec.

– Naprawdę? Tak myślisz? No widzisz, kochana Resedilla, jaka z ciebie dobra dyplomatką. Ten wytrawny zmysł odziedziczyłaś po mnie. Ale słuchaj dalej. Co powiadasz o prowincji Chihuahua?

– Hm! – mruknęła, nie wiedząc dokładnie, do czego ojciec zmierza.

– Albo co do Cohahuila? Obie te prowincje odpowiadają mi, bo na północy mam swe posiadłości. Jedna z nich jest pewna.

– Pewna? Jako co?

– Jako co? Jako mnie podległa prowincja. Umiesz jeszcze po francusku?

– Tak.

– To dobrze, musisz mi od dzisiaj codziennie udzielać parę godzin lekcji francuskiego.

Domyśliła się już, co za głupstwo teraz padnie.

– Francuskiego? A to po co?

– Nie słyszałaś, że wielcy mężowie i dyplomaci rozmawiają ze sobą tylko po francusku?

– To prawda!

– No, a gubernator, jako pierwsza osoba, może się śmiało do nich zaliczyć.

– Czy chcesz powiedzieć, że ty zostaniesz gubernatorem?

– Tak – odrzekł z dumą i godnością. – Tego jej było trochę za dużo.

Popatrzyła na niego z bezgranicznym zdziwieniem, lecz wzrok ten ojciec wytłumaczył sobie jako podziw i zachwyt, więc rzekł:

– Tak, tak moja kochana. Jestem z Pirna. Czy nie myślisz, że po mojej śmierci wystawią mi w moim rodzinnym mieście pomnik. Nad piedestałem będzie się unosił potężny orzeł z kamienia, a

pod spodem napis: Ten ptak to Elias Pirnero. Wiesz, u tak wielkich ludzi nie potrzeba dużo gadaniny, bo wszyscy ich znają.

– Kto ci powiedział, że masz zostać namiestnikiem?

– Prezydent Juarez.

– Kiedy?

– Niedawno.

Domyślała się jakiegoś ogromnego nieporozumienia, więc zapytała:

– Powiedział ci to całkiem wyraźnie?

– Co za pomysł! Nie wiesz, że taki dyplomata zawsze mówi opłótkami.

– Jak ci to powiedział?

– Mówił tylko: hm, jeżeli, tak, gdyby...

– I z tego zrozumiałaś, że cię mianuje gubernatorem?

– Naturalnie. Jeden dyplomata wlot rozumie drugiego.

– Wątpię bardzo, wątpię.

– Rób, jak ci się podoba, ale ja sobie wypraszam. Warunek swój określił mi całkiem dokładnie.

– Co to za warunek?

– Bardzo mi miły: mam się jak najprędzej rozglądnać za zięciem.

Ledwo zapanowała nad wybuchem śmiechu, ale na szczęście powstrzymała się, pytając:

– Więc gubernator musi koniecznie mieć zięcia?

– Tak jest.

– A to dlaczego?

– Głupie pytanie. Naturalnie jako swego zastępcę. Jeżeli mu wypadnie jechać do Paryża, Petersburga albo do Rzymu, by odebrać order, czy inne odznaczenie, musi przecież zostawić w kraju swego zastępcę, a najlepszym zastępcą zawsze jest zięć.

Nie mogła się dłużej powstrzymać, wybuchnęła śmiechem, mówiąc:

– A ja myślałam, że on ma belki przybijać na dachu!

– W takiej wielkiej prowincji niejedna belka może się połuźnić, rozumiesz? Zresztą cała ta sprawa jest prosta, bo mi sam prezydent dał do zrozumienia, ba, nawet dokładnie powiedział, kogo sobie życzy za zięcia, naturalnie za mojego zięcia.

Rumieniec wystąpił na jej twarzy. Wiedziała, że rzecz ta inaczej musi wyglądać, niż jej to ojciec przedstawił. Ciekawa była, kogo prezydent wymienił, lecz nie chciała otwarcie zapytać o nazwisko tego protegowanego.

Zniecierpliwił się, że tak długo zwleka z odpowiedzią, więc zapytał:

– No co, nie chcesz wiedzieć o kogo chodzi?

– Co mi to pomoże?

– Co ci pomoże? Ha, popatrz tylko! Może go nie zechcesz?

– Hm!

– Co hm? Już dość długo byłem cierpliwy, ale teraz koniec! Wyczerpałaś moją pobłażliwość. W Pirna wszystkie dziewczęta wychodzą za mąż, jeżeli się ojcu chcą przypodobać. Jako gubernator zaprowadzę także i tutaj ten piękny zwyczaj. Od dzisiaj masz swego narzeczonego. Jeżeli się zechcesz opierać, to zaadoptuję sobie inną córkę, a ty zostaniesz pasierbicą. Ta druga będzie miała dzieci, zostaną dziadkiem, a ty ich daleką ciotką. To będzie najlepsza kara.

Potrząsnęła głową, jakby to absolutnie było niemożliwe i jakby było pewna, że to tylko czcze strachy. Przybierając figlarną minę, zapytała:

– Czy ja go zechcę, to nie tak ważne. O wiele ważniejsze, czy on mnie zechce?

Stary pogładził się po włosach, chrząknął i odparł:

– To prawda, to bardzo ważne. A co ty na to powiesz?

– O mnie się jeszcze nikt nie starał!

– Naprawdę? – spytał badawczo.

– Ani jeden.

– A pytałaś ich?

– Nie. Ale jeżeli by mnie któryś chciał, powiedziałby mi to przecież.

– Głupstwo! Żadnego bliżej do siebie nie dopuściłaś. Hm! Ta przeklęta historia nie jest przecież bez „ale”. Nowa troska mnie dopadła.

– Wolno mi spytać ojczy, jaka?

– Naturalnie. Musisz ją nawet poznać. Powiedz mi Resedillo, czy ci może wlaź do głowy ten Sępi Dziób, cóż, he?

– Sępi Dziób? – zapytała przerażona.

– No tak, ten co cały świat uważa za swoją spluwaczkę.

– Skąd ci przychodzi taka myśl do głowy?

– Hm! Wiesz przecież, że jestem dyplomata.

Roześmiała się swobodnie i wesoło odpowiedziała:

– Tę troskę możesz odrzucić. Ten człowiek nie przypadł mi do gustu i to w całym znaczeniu tego słowa.

Ogromny ciężar spadł mu z serca, więc żywiej zaczął mówić:

– Człowiek, który pluje na me obrazy, nie ma ani za grosz talentu na zięcia dyplomaty.

Przeciwnie, ten, o którym myślę i którego chce także Juarez, to mężczyzna, że lepszego i ze świecą nie znajdziesz. Zgadnij, kto to taki?

– Powiedz raczej sam, kogo masz na myśli.

– Żebym się tylko tak nie zblamował przed nim. Ani na chwilę nie wpadło mi do głowy, kim jest, więc postępowałem z nim, jak z jakimś przybłądą. Pomyśl tylko, jak mogłem wpaść na ten pomysł i zarzucać mu, że cudze sarny po lesie wlecze dla innych?

Już wiedziała o kim mówi. Zarumieniła się i odwróciła nieco, chcąc ukryć zmieszanie.

– No, nie zgadujesz? – pytał. – Mam na myśli Czarnego Gerarda!

Poczęła brząkać szklankami, nie odzywając się.

– No! – zawołał. – Może i tego nie chcesz?

Zapanowała nad sobą, odpowiadając:

– Już ci powiedziałam, co w tym przypadku jest najważniejsze. – Czy ciebie zechce? Tak, to prawda! Ale mnie się zdawało, że ty go nie możesz znieść i że nie chcesz o nim nic wiedzieć. W ostatnim czasie nawet nie spojrzałaś na niego i dzisiaj, choć ostatkiem sił nas uratował, nie poszłaś zobaczyć, jak mu się wiedzie.

Stała koło drugiego stołu, odwrócona tyłem i milcząca.

– No, broń się! – zawołał.

Dziwny, doniosły jęk rozległ się po pokoju, jęk, jakby ktoś gwałtem wszystko zdusił w sobie, lecz nie mogąc dłużej trzymać, wybuchnął. Głośne łkanie było dalszym ciągiem. Zakrywszy oczy rękami i szlochając głośno, wybiegła z pokoju.

Pirnero patrzył za nią przerażony.

– Co to było? – mruzczał. – To płacz i jęk, o jakim w Pirna ani nie śnią. Widać nie chce o nim słyszeć, to pewne. Biedne dziecko! Mam ją naprawdę przykuć do niego, pomimo, że jej serce czuje odrazę? O nie, niech raczej całe gubernatorstwo diabli porwą! Dziecko jest najważniejsze, bliższe i miłsze, niż cała prowincja i jakieś tam orderzy z Rzymu lub Konstantynopola. Niech się w piekło zapadnie cała polityka. Urodziłem się takim geniuszem, a cóż wymyślał – ot, nieszczę-

ście. Muszę jej powiedzieć i zapewnić, że co do mnie, nie potrzebuje nawet popatrzeć na tego Gerarda!

Wstał, by odszukać córkę, ale wszedł wprost na Sępiego Dzioba. Odzież jego była poplamiona krwią, najlepszy znak, że nie próżnował podczas walki i dzielnie się potykał z wrogiem. Pirnero stanął mimo woli, obserwując go uważnie od stóp do głów.

– O Jezu, jak wy wyglądacie, senior! – zawołał.

Amerikanin rzucił na niego niezbyt przychylnie spojrzenie i odparł:

– Myślę, że muszę wyglądać inaczej, niż ten, co siedział za piecem, podczas gdy nam koło uszu świstały kulki. Zrozumieliście mnie, senior?

Pirnero wyprostował się i z dumą rzekł:

– Może mnie macie na myśli? Chcecie może powiedzieć, że ja nie walczyłem?

– Nie było tego widać.

– Mylicie się gruntownie. Najkrwawsza walka odbyła się tu, w mym domu. Kule świstały w powietrzu, jak muchy nad piecem.

– Biliście się także?

– Ja? Wódz? – pytał Pirnero.

– Do diabła, pan dowodziłeś?

– Naturalnie, to oczywiste.

– O, to zmienia postać rzeczy. Proszę o wybaczenie, nic o tym nie wiedziałem. Dajcie mi kieliszek julepu, bym wasz talent wojenny jako wodza należycie mógł oblać.

– Julep dostaniecie, ale co do podziwu, jaki chcecie mi okazać, to powiadam, że się o to wcale nie staram, ani mi na tym nie zależy. Zbyt dobrze jestem znany, jako dobry polityk i strateg. Możecie to sobie na przyszłość zapamiętać.

Począł kroczyć z dumnie podniesioną głową do baru, by nalać kieliszek wódki, a stawiając go przed gościem, zapytał:

– Dziwi mnie, dlaczego jeszcze tu przychodzicie?

Zapytany popatrzył na niego i odrzekł:

– Myślę, że dla julepu.

– Ale dlaczego właśnie teraz?

Amerikanin zaokrąglił wargi i zwróciwszy się do niego, splunął mu tuż koło nosa, tak, że Pirnero cofnął się o krok, a następnie rzekł:

– A dlaczego nie teraz?

– Myślę, że wszyscy poszli do obozu Indian!

– Indian widziałem już dosyć podczas mego życia.

– Ale dzisiejszych ceremonii, zapewne nie?

– Ceremonie, ceremoniami, a Indianin Indianinem. Dlaczego sami nie poszliście się temu przypatrzeć?

– Dobry wódz nie ma prawa opuszczać centrum walki?

– Hm– mruknął Amerikanin rozbawiony.– Kto jest tym wodzem: wy czy Juarez?

– Obaj. Prezydent Juarez również spełnia swój obowiązek i ani mu w głowie wychodzić z domu do Indian.

– Jest tutaj?

– Naturalnie.

– Gdzie?

– Na górze w swoim pokoju.

– Muszę z nim mówić. Proszę mi pokazać, gdzie mam go szukać.

– Zaprowadzę was. Proszę iść za mną, senior Sępi Dziób.

Rzeczywiście zdobył się na grzeczność i poprowadził strzelca na górę.

Kiedy doszli do pokoju, Pirnero zapukał do drzwi i spokojnie czekał na odpowiedź. Ponieważ nie było odzewu, z wolna otworzył drzwi i wsunął się do środka. Pokój był pusty.

– Czyżby prezydent poszedł do Indian? – powiedział zaskoczony – W takim razie tylko ja jeden, wytrzymałem na stanowisku. Ale tam naprzeciw słyszę głosy. Jeżeli się nie mylę to i jego głos można rozróżnić.

– Kto jest naprzeciw?

– Tam leży hrabia Rodriganda, którego o mało nie zabili. Spróbuję zapukać.

– Odważycie się przeszkadzać?

– Oczywiście. Jestem na tak dobrej stopie z Juarezem.

Podszedł do drzwi pokoju, z którego słychać było rozmowę i zapukał. Otworzył Mariano.

Juarez wychodząc ze swego pokoju spotkał się ponownie ze Sternauem. Kilka uwag, które wymienili zrodziły w prezydencie chęci powtórnego zobaczenia hrabiego.

Koło łóżka siedział Mariano, który nie odstępował hrabiego. Pacjent ciągle leżał nieprzytomny. Przysiedli się więc do Mariano rozpoczynając półgłosem rozmowę o stosunkach rodziny Rodriganda.

Sternau i Mariano opowiadali na przemian wszystkie zdarzenia. Juarez słuchał z niezmiernym zdziwieniem i uwagą. Chory poruszył się nieco, rysy jego twarzy zaczęły się nieco rozjaśniać, wargi poruszały się i słaby, ale słyszalny głos, wymówił tylko jedno słowo:

– Amilla.

Znowu zapadł w poprzednią sztywność i omdlenie. Sternau chwycił go za rękę i począł liczyć puls, po czym rzekł uspokajająco:

– Puls wprowadzie słaby, ale dość regularny. Mam nadzieję, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo.

– Słyszałeś to imię, które wyszeptał? – spytał go Mariano.

– Słyszałem, Amilla, nieprawdaż?

– Tak Amilla. Ale co to za imię?

– Nigdy go nie słyszałem.

– Ja także nie, ani od niego, ani od innych.

– Może tylko śni?

– We śnie wypowiada się imiona tylko tych osób, które się zna, które istnieją lub istniały.

Zresztą nie sądzę żeby to był sen. Hrabia był zupełnie nieprzytomny. W tym stanie człowiek nie śni, powracająca świadomość zwykła odnawiać te obrazy, które bezpośrednio przed omdleniem zatruwały ducha. Imię Amilla, a więc ta, która nosi to imię nie jest wytworem fantazji, tylko rzeczywistością.

– Może znowu jakaś tajemnica?

– Przynajmniej coś czego my nie znamy, jakaś osoba, którą zna hrabia, a o której my nic nie wiemy.

– Teraz znowu jest nieprzytomny?

– Nie powiedziałbym tego. Patrz tylko uważnie na jego rysy, te drgania i tę minę. To dowód, że nieświadomość zniknęła.

Słowa te sprawdziły się, gdyż hrabia po chwili wyszeptał:

– Frederiko! Frederiko!

Wszyscy natężyli słuch, lecz nie usłyszeli nic więcej.

Mariano zapytał:

– Frederiko? Kto to może być?

– Nie mam pojęcia. Tego imienia nie wspominał nigdy przy nas. Dziwne, musimy zaczekać.

Po chwili twarz hrabiego sposepniała, poruszył się i wyszeptał:

– Przebaczam, twoja matka była winną.

Obrócił się na bok. Dało się słyszeć równy, miarowy oddech. Sternau powiedział półgłosem:

– Teraz śpi; nie będzie mówił przez sen.

– Jaki jest jego stan? – spytał Mariano.

– Dotychczas jestem zadowolony. Cios w głowę nie naruszył mózgu, a więc poważnych komplikacji nie należy się obawiać. Nadejdzie jeszcze pewnie mała gorączka i chwilowe umysłowe osłabienie, ale przy troskliwej opiece i to wkrótce zniknie. Teraz popadł w głęboki sen, a to go wzmocni. Nie słyszy nas, więc możemy swobodnie rozmawiać.

Juarez dowiedział się wszystkich szczegółów z historii rodziny Rodrigandów.

– Doprawdy nie chce się wierzyć, nigdy bym nie przypuścił żeby coś podobnego mogło mieć miejsce. Trudno uwierzyć, aby istniały takie potwory ludzkie, jak bracia Kortejo i Landola. Senior Mariano jesteś przekonany, że hrabia Ferdynand jest waszym stryjem?

– Nie mogę w to wątpić – odrzekł zapytany.

– Czy don Ferdynand jest tego samego zdania?

– Najzupełniej.

– Teraz więc potrzeba wyjaśnić tylko niektóre ciemne punkty.

Proszę na mnie liczyć. Zrobię co w moich siłach.

– Bardzo nam na tym zależy, byśmy mogli liczyć na pana pomoc – odrzekł Sternau.

Juarez odparł skromnie:

– Teraz moja pomoc równa jest zeru, ale spodziewam się, że niedługo się to zmieni. Panowanie Francuzów nie może trwać wiecznie. Wraz z nimi musi upaść ten sztucznie zbudowany tron. Wówczas znowu będę prezydentem i jednym z pierwszych moich rozkazów będzie otworenie grobowca Rodriganda. Spodziewam się, że ów Pablo Kortejo wpadnie w moje ręce, ja też muszę z nim wyrównać mój rachunek.

– Sądzę, że nie będzie go trudno zaaresztować – rzekł Sternau.

– Tak całkiem bez problemów to się nie stanie – odparł Juarez.

– Będziemy go musieli długo szukać.

– Ukrył się?

– Wiem tylko, że go nie ma w rezydencji.

– Wolno zapytać, czemu umknął?

– Nie wie pan tego, senior Sternau?

– Słyszałem pewną historię, w którą jednak nie chciałem uwierzyć. O Kortejo było głośno w związku z wydarzeniami politycznymi.

– Słyszał pan prawdę!

– Zdziwiasz mnie pan.

– Tak, ów Kortejo wystąpił jako nowy prezydent.

– Rzeczywiście? Ależ to jest istna komedia.

– To prawda. Czy znasz pan jego córkę?

– Senioritę, Józefę Kortejo? Znam.

– Piękność pierwszej wody naturalnie!

Sternau roześmiał się i rzekł:

– Chciałbym poznać tego mężczyznę, który potrafiłby ulec tym wdziękom.

– Proszę popatrzeć na tę fotografię.

Juarez wyciągnął portret z kieszeni.

– Ach, pan to ma! – rzekł zdziwiony Sternau.

– Tak, to ta sama niebezpieczna postać – rzekł Mariano. – Jak mi się zdaje jej wdzięki spotęgowały się z czasem.

– Dziwicie się panowie, skąd to mam? – spytał Juarez.

– Z pewnością na skutek jakiegoś romansiku – śmiał się Sternau.

Juarez rozbawiony potrząsnął głową i zauważył:

– W takim razie seniorita Józefa musi mieć tysiące takich romansików, bo rozsyła swe wizerunki po całym kraju.

– W jakim celu?

– Aby werbować stronników. Dama ta wierzy, że już teraz jest już córką prezydenta, jeżeli nie króla Meksyku.

– To strasznie głupie! Kortejo rzeczywiście znalazł jakiś zwolenników?

– Więcej niż by pan przypuszczał. Pantera Południa także agituje za nim.

– Musi mieć jakiś specjalny powód.

– Naturalnie, ale nie wiem jaki. Oprócz tego zlatują się do niego liczne podejrzone indywidua, które przy jego boku czują się bezpiecznie.

– Zapewne opłaca je pieniędzmi płynącymi z dóbr hrabiego Rodriganda.

– To pewne. Ten człowiek nigdy nie naprawi szkód, jakie wyrządził. Ale ja panu daję święte słowo, że jeżeli wpadnie w moje ręce, odbierze dotkliwą karę.

– Nie ma pan pojęcia, gdzie on się obecnie znajduje?

– Z rezydencji udał się do południowych dystryktów, a tam jak panu wiadomo, Pantera Południa dzierży nieograniczoną władzę. Czy się tam jeszcze znajduje, nie wiem, tylko tyle jest pewne, że w północnych i środkowych prowincjach przepadł razem ze swoją agitacją i biada mu jeżeli się w nich znowu pokaże. Wpadnie w ręce Francuzów albo moje, a ani oni ani ja go nie wypuszczę.

W tej chwili Pirnero zapukawszy, otworzył drzwi.

– Ten senior Sępi Dziób, chce mówić z prezydentem – odrzekł gospodarz cofając się.

Juarez podszedł do drzwi i zapytał strzelca:

– Sępi Dziób, ów znakomity przewodnik? Czy przychodzi pan w jakiejś sekretnej sprawie?

– O nie – odrzekł. – Ci panowie wiedzą już co mam panu powiedzieć, sir.

– Proszę bliżej. Nie sądzę byśmy zbudzili chorego.

– Śpi twardo – dodał Sternau. – Proszę się nie troszczyć, nie zbudzi się tak prędko.

Amerikanin wszedł do środka, Juarez przypatrzył mu się uważniej i wskazując na krzesło rzekł:

– Proszę usiąść, senior. Jeżeli się nie mylę jest pan posłem?

Traper oglądając bacznie prezydenta, po czym siadając zwięził usta chcąc wypluć resztkę tytoniu, ale w tej chwili zrozumiał, że to jest trochę niestosowne wobec prezydenta Meksyku, więc zatrzymał wszystko w ustach i odrzekł:

– Dobrze pan wykalkulował, sir. Mam rzeczywiście zlecenie do pana.

– Od kogo? – spytał Juarez.

– Od jednego Anglika.

– Od Anglika? – spytał Juarez ze zdziwieniem.

– Rzeczywiście oczekuję ważnej wiadomości, od jednego z Anglików.

– To ta sama osoba. Nazywa się Henry Lindsay, hrabia z Nothingwell.

Na twarzy Juareza odmalowało się zdumienie, spojrzał na przybysza i powiedział:

– Lord Lindsay? W takim razie pomyliłem się. To nie jest ta wiadomość, na którą czekałem.

– A to dlaczego, sir?

– Nie tak dawno udało mi się oddać pewną przysługę lordowi. Skoro przysłała do mnie poślanca, zapewne będzie to sprawa prywatna, a nie ta, na którą czekam.

– Może się pan myli. Czy wolno mi zapytać, jakiego rodzaju ma być ta wiadomość?

– To sprawa dyplomatyczna.

– Szczęście, że stary Pirnero tego nie słyszy, bo niezawodnie począłby przez pół godziny gadać o dyplomatycznym pochodzeniu i dziedziczeniu tych zdolności z ojca na córkę. Mam panu powiedzieć, od sir Henry'ego, że przesyła również swoją prywatną wdzięczność i że jest gotowy na wszystkie usługi dla pana. Chce jak najszybciej pana odwiedzić.

– Mnie odwiedzić, to rzeczywiście niespodzianka. Gdzie on się teraz znajduje?

– W El Refugio, przy ujściu rzeki Rio Grandę del Norte!

Prezydent wstał z krzesła i rzekł:

– W El Refugio? Stamtąd miałem właśnie dostać ową gorąco oczekiwaną wiadomość.

– Słusznie! Ja ją panu przynoszę.

– Pan, od sir Henry'ego?

– Tak.

– To może on...

– Jest owym tajemniczym wysłannikiem Anglii, którego pan oczekuje.

– Kto by się tego spodziewał! Sir Henry, poseł starej Anglii! Ale mówcie co przynosicie?

Szczęście czy nieszczęście?

Na twarzy prezydenta zazwyczaj tak spokojnej, odmalowała się niepewność i oczekiwanie.

– Szczęście – odpowiedział Amerykanin.

– Bogu dzięki! – zawołał Juarez odetchnawszy głęboko, jakby mu kamień z serca spadł – pod-
słuchałem rozmowę, z której dowiedziałem się, że lord agitował w Anglii. Udał się także do Pa-
ryża, Berlina, Wiednia działając i tam w sprawie pańskiej. Doprowadził do tego, że Anglia połą-
czyła się ze Stanami Zjednoczonymi przeciwko Francji. Jest prawie pewny zwycięstwa pańskiej
sprawy. Powiada, że to tylko kwestia czasu, kiedy Francja będzie zmuszona wycofać swe siły z
Meksyku.

Twarz Juareza rozjaśniła się, zaciskając ręce zawołał:

– Gdyby tylko tak było!

– Proszę nie wątpić – odrzekł traper stanowczo. – Sir, Henry polecił mi, bym pana w jego
imieniu zapewnił, że Anglia jest gotowa, w razie potrzeby połączyć swe siły z armią Stanów
Zjednoczonych, by nawet orężem, jeżeli nic innego nie odniesie skutku, Francuzów zmusić do
odejścia. Senior Juarez ma potem na nowo objąć prezydenturę i rządu w całym kraju.

Prezydent podał mu rękę z jasnym od radości obliczem mówiąc:

– Niech mi będzie wolno uścisnąć wam dłoń za tą wesołą nowinę. Wiadomość ta jest miłsza
niż miliony, choć i tych bardzo potrzebuję.

Sepi Dziób oddał uścisk i dodał:

– Sir! Co do pieniędzy proszę się nie troszczyć i te się znajdują.

– Tak – odrzekł Juarez. – Właśnie niedawno otrzymałem znaczną sumę od Stanów Zjedno-
czonych. W samą porę nadeszły.

Sepi Dziób zaśmiał się lekko mówiąc:

– Proszę być pewnym, że Anglia nie da się zawstydzić.

– Z Anglii otrzymałem właśnie tak korzystną wiadomość, czego bym się jeszcze więcej mógł
spodziewać?

– Jeżeli Stany Zjednoczone okazały, że im ta ofiara niezbyt wielka, to Anglia nie pozostanie w
tyle.

– Chcecie może powiedzieć, że Anglia...? Że Anglia też posyła pieniądze?

– Tak, to właśnie chciałem powiedzieć.
– Wtedy, o niebo, całe moje nadzieje byłyby spełnione.
– Powiem więc panu, że sir Henry wiezie ze sobą kilka beczek pełnych złotych dukatów, jako znak pomocy.

– Czy to możliwe? – zawołał Juarez.

– Nie tylko możliwe, ale rzeczywiste. Sam na własne oczy widziałem te beczki, więc myślę, że mnie wzrok nie mylił. Całkiem nowy pieniądz, z angielskiego banku.

– Co za szczęście! Teraz mogę zapłacić i nowe siły zaciągnąć!

– Tak, to pan może. Ale słyszałem, że prezydent Stanów chce panu przysłać sporą liczbę swych dzielnych, najemników, co i diabła się nie boją.

– Znakomicie! Przychodzą w samą porę, bo po pierwsze potrzebuję ich, a po drugie dostanę pieniądze by móc zakupić broń i amunicję. Obiecuję, że im u mnie będzie dobrze.

– Co do broni i amunicji to proszę się z tym nie spieszyć! Prezydent Unii nie będzie taki głupi by przysłać żołnierza bez broni, zresztą i w tym może pomóc lord Lindsay. Całe dno okrętu jest wypełnione bronią i amunicją.

– Naprawdę?

– Widziałem na własne oczy.

– Co za niespodzianka! Nawet o tym marzyłem! Jakiego rodzaju jest ta broń?

– Dwanaście dział z nabojami, kilka tysięcy rewolwerów, tyleż szpad, a może dziesięć razy więcej noży, ale co najważniejsze, osiem tysięcy dobrych strzelb.

Ogromna radość pojawiła się na obliczu prezydenta. Jego wielkie oczy błysnęły łzami radości. Składając ręce jak do modlitwy zawołał:

– Nacierpiałem się dosyć, ale wytrzymałem, bo byłem przekonany, że i mnie znowu gwiazda szczęścia błysnie. Widziałem kraj mój zniszczony, zrujnowany, jednak nie zwątpiłem, bo wiedziałem, że prędzej czy później sprawiedliwości stanie się zadość. Stoję na granicach kraju, którego losy szczerze mnie obchodzą. Tylko mała garstka tych poddanych, dla dobra których pracowałem, zebrała się koło mnie. Ale me modły zostały wysłuchane. Nie wątpię, że mi się uda i że na mój głos dołączą do mnie prawdziwi patrioci, by wyrzucić wroga. Początek już zrobiliśmy. Cztery oddziały wojsk nieprzyjacielskich zostały zniszczone. Zewsząd nowe dowody sympatii. Teraz już nic mnie nie powstrzyma wyruszyć do Chihuahua, uwolnić to miasto i całą prowincję. Proszę mi jednak powiedzieć, gdzie i kiedy mam oczekiwać lorda, czy dał panu jakieś wskazówki?

– W tym względzie żadnej. Mam go zawiadomić co pan postanowi?

– Czeka na wasz powrót?

– Tak.

– W jakim czasie dostaniecie się do El Refugio?

Jankes rozciągnął swe żyłaste ramiona i rzekł:

– Wiosłuję nieźle, więc za sześć dni mogę dobić do niego.

– Jak widzę znacie się na wszystkich sztukach.

– Nauczyłem się sterować małym, lekkim kanoe. Czółno to mknie po wodzie jak strzała!

– Po ilu dniach można, płynąc w górę rzeki, dobić aż tutaj?

– Zależy od tego co to za statek?

– A jaki ma lord?

– Ma dwa niewielkie parowce. Są przeznaczone do przetransportowania przesyłki w górę rzeki.

– Jaka przestrzeń przebywają w ciągu jednego dnia?

– Za dziewięć, najdalej dziesięć dni mogą być tutaj.

– Pan potrzebuje sześciu, by się dostać do El Refugio, czyli razem jakieś szesnaście dni? Trochę za długo. Nie mogę tyle czekać, chciałbym najpierw uderzyć na Chihuahua.

– Naturalnie nie potrzebuje pan tutaj czekać bezczynnie.

– A co mam robić?

– Na razie ma pan dosyć sił. Pięciuset Apaczów i garstka dzielnych białych myśliwych całkowicie wystarczą, by zająć Chihuahua. Co do Cohahuila nie wiem jak sprawy stoją. Chce je pan także zająć?

– Tak. Miasto i całą prowincję.

– Miasto jest silnie obsadzone?

– Kilka kompanii.

– Myślę, że się to panu uda bez wielkich trudów. Za ile dni stanie pan ze swoimi siłami w Chihuahua?

– Trzy.

– A ile czasu będzie pan potrzebował, by się dostać do Cohahuila?

– Pięć dni.

– Dobrze. A więc trzy dni do Chihuahua, a tam dwa dni to pięć, pięć dni do Cohahuila daje razem dziesięć. Cztery dni wcześniej stanę w El Refugio, popłyniemy dwoma małymi parowcami w górę aż do Bellevilla i Revill. Tam skręcimy do rzeki Sabina, która płynie obok Cohahuila. W miejscu gdzie się rozwidła, zaczekamy na pana. Punkt ten jest oddalony niespełna dwanaście mil od Cohahuila. Co do miejsca spotkania myślę, że jest ono najdogodniejsze dla pana? Prezydenta zastanowił się chwilę i rzekł:

– Wybornie to senior, obliczyliście. Okazuje się, że Sępi Dziób jest jednym z najlepszych przewodników. Rachunek dobry, miejsce jeszcze lepsze. Chciałbym tylko zapytać o bezpieczeństwo transportu, czy nie zachodzi potrzeba jakiś dodatkowych środków ostrożności?

– Proszę się tym nie martwić, sir! Zebrałem paru dzielnych majtków. Ci całkowicie wystarczą i potrafią obronić transport. Zresztą droga pewna, Indianie tam nie zachodzą i wątpię, by Francuzi tam zbłądzili.

– To prawda. Czy lord sam wyprawi się z przesyłką?

– Tak, on i jego córka.

– Córka? – spytał Juarez ze zdziwieniem.

– Tak, sir.

– Co? *Miss Amy* jest z nim?

– Tak.

– Co za odwaga! Słyszał pan już o tym?

Pytanie to skierował do stojącego obok Mariano, który odpowiedział:

– Wiedziałem już o tym, senior. Sępi Dziób opowiedział nam to wcześniej.

– I co pan na to?

– Postanowiłem popłynąć razem z Sępi Dziobem do El Refugio, ale niestety nie będzie to możliwe.

Mówiąc to wskazał na śpiącego hrabiego. Był jego bratankiem, nie mógł go więc opuścić?

Prezydent zwrócił się do Sternaua:

– Senior; opowiedział mi pan o wszystkich przeżyciach, ale nie zdradziłeś, co myślisz o przyszłości? Sternau odparł:

– Chcieliśmy się udać do hacjendy del Erina, mieliśmy odszukać tego ptaszka, Kortejo. Naturalnie przy pierwszej okazji chcieliśmy zawiadomić krewnych, że żyjemy i że niedługo wracamy.

– Postanowienia tego pan nie zmienił?

– Nie.

– W takim razie proszę się przyłączyć do mnie. Droga prowadzi do Chihuahua. Następnie udamy się do Cohahuila. Będę miał przyjemność mieć przy boku tak sławnych i doświadczonych mężów, panowie zaś będziecie obok mnie bezpieczni. Senior Mariano nie potrzebowałby płynąć do El Refugio. Z Cohahuila mógłby razem z nami wyjechać na spotkanie z narzeczoną.

– To dobry plan – odpowiedział Sępi Dziób. – Otwarcie powiedziawszy, nie mógłbym nawet wziąć ze sobą seniora Mariano.

– Dlaczego?

– Moje czółno jest za małe dla dwóch.

– Można się postarać o większą.

– Tak, ale wówczas podróż przeciągnęłaby się. Nie byłbym w stanie w oznaczonym czasie stanąć u celu. Plan pana prezydenta jest bardzo dobry. Radzę się zgodzić.

– Będziemy mogli naszego chorego wziąć ze sobą? – zapytał

Mariano Sternaua.

– Zależy od tego kiedy wyruszamy – odrzekł lekarz.

– Chcę zaraz jutro udać się w drogę – zawołał Juarez.

– To nie jest możliwe, hrabia nie da rady.

– Hm! To musimy tu zostać – odezwał się Mariano ze smutkiem.

– Dla mnie to również niewygodne. Chętnie miałbym panów koło siebie – odpowiedział prezydent.

Po pewnej chwili odezwał się Sternau.

– Można znaleźć jeszcze radę na to. Nie sądzi pan, panie prezydencie, że fort jest teraz bezpieczny?

– Najzupełniej.

– W takim razie moglibyśmy na jakiś czas zostawić tutaj hrabiego.

– Jak to! – zawołał Mariano. – Kto go będzie leczył?

– Ci wiedeńscy lekarze. Są uczeni i zręczni, więc możemy być spokojni, że uczynią wszystko co do nich należy.

– Ale jakby Francuzi...

– Francuzi? – przerwał Juarez. – Mogę panu zagwarantować, że żaden Francuz się tu nie odważy pokazać. A gdyby się i ośmielili wtargnąć do fortu, choremu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Hrabiego Rodrigandę, nie mogą uważać za wroga.

– Ale Indianie? Komancze? – rzekł Mariano.

– Ci ponieśli taką porażkę, że nie ruszą się ze swych pastwisk przed rokiem.

– Myślę, że właśnie ta porażka skłoni ich do odwetu!

– Tym razem mogę pana uspokoić. Wystarczy tylko słowo powiedzieć Apaczom, a postarają się o dostateczną ilość wojowników i na mój rozkaz umieszczą ich w pobliżu fortu i będą go strzec.

– Zechcesz pan użyć swego wpływu?

– Z największą chęcią.

– W takim razie będę spokojny. Chodzi tylko o to, jak mój stryj się później do nas dostanie?

– Apacze odprowadzą go do Cohahuila. Tam się z nami spotka. No co, dobry plan? Zgadza się pan?

Z tym pytaniem zwrócił się Juarez do Sternaua, a on odrzekł:

– Tak. Żeby się spotkać z lordem musimy się przyłączyć do pana prezydenta. Hrabia zostanie pod znakomitą opieką i w kilka dni wróci do sił. Apacze przyprowadzą go do nas. Czyż to nie jest najlepsze wyjście, drogi Mariano?

– Dobrze, niech tak będzie Proszę mi nie brać za złe, tej ostrożności, ale po tylu przejściach wszystko należy dokładnie sprawdzić.

– Dobrze! – zawołał Juarez. – Kiedy zamierzacie wyruszyć, senior Sepi Dziób?

– Jak najprędzej. Najprawdopodobniej odbiję zaraz.

– Teraz, na noc?

– Tak, nie mam czasu do stracenia.

– Dzielny z was człowiek. Poważnie traktujecie obowiązki. Nie chcę was zatrzymywać, ale najpierw muszę się udać do mojego pokoju. Napiszę parę słów do lorda. List ten proszę mu oddać do rąk własnych.

Wyszli. Sternau również się oddalił mówiąc:

– Hrabia śpi spokojnie, więc na razie nie jestem tu potrzebny. Muszę zajrzeć do Czarnego Gerarda.

Pirnero zszedł na dół i rozpoczął poszukiwania swej córki. Przeszukał już kuchnię i sklep, ale daremnie. Powrócił więc do szynku i usiadł na swym krześle wyglądając przez okno. Zamyślił się głęboko, ale sam nie wiedział nad czym.

Cisza panowała w całej miejscowości przerywana tylko od czasu do czasu zawodzeniem Indian. Tak okazywali żalobę nad poległymi braćmi.

W domu gospodarza także nie było spokoju. Dziki, okropny jęk dało się słyszeć. Były to jęki francuskiego sierżanta, który leżał na strychu ze zdartą z głowy skórą. Gorączka odjęła mu świadomość.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do środka weszła Resedilla. Zajęła się sprzątaniami, a ojciec udawał, że jej nie widzi. Gniewało go to, co jej przedtem powiedział, a jednak musiał rozpocząć rozmowę. Zakaszła kilka razy, jakby chciał ukryć zakłopotanie, w końcu odezwał się:

– Jak tam ciemno!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, więc głośniejszym głosem powtórzył:

– Strasznie ciemno na zewnątrz!

Ponieważ i teraz nie odpowiedziała, obrócił się do niej i zapytał:

– Co ty na to?

– Na co? – spytała wreszcie.

– No, że tak ciemno?

– To prawda.

– Ale za to wszystko dobrze słyszeć.

– Co słyszeć? Przecież panuje cisza?

– Cicho! Słuchaj teraz. Słyszysz to wycie?

– Słyszę.

– Czegoś podobnego nie przeżyjesz w Pirnie.

– Tak, bo tam nie ma Indian.

– Nie ma, tam nie zdzierają ludziom skalpów. Co najwyżej dostanie któryś ławą po głowie, tak, że mu potem huczy jak w ulu, ale i to tylko przy szczególnych okazjach, jak na przykład wesela, chrzciny albo pogrzeby. Wiesz co jest z tego najładniejsze?

– Pogrzeby?

Ze strachu o mało nie spadł ze stołka. Popatrzył na nią uważniej, jakby powątpiewając o jej zdrowych zmysłach i zapytał ze zdziwieniem:

– Pogrzeb? Pogrzeb najpiękniejszą uroczystością? Dlaczego?

– Bo najszczęśliwszy jest człowiek, kiedy go nic nie boli, nie troska, słowem kiedy umarł.

Smutne usposobienie podyktowało tę odpowiedź. Popatrzył na nią badawczo, nie mógł jej widocznie pojąć, bo zapytał?

– Najszczęśliwszy jest człowiek kiedy umrze? Czy nie masz przypadkiem gorączki, głowa cię nie boli? Czy ty już kiedyś umarłaś? Skąd wiesz, że to szczęście. Ja ci tylko powiadam dziewczyno, że to paskudne uczucie umierać, a cóż dopiero dać się kłaść do trumny, potem do grobu, brrr zimno mnie przechodzi. Za żadne skarby świata nie chciałbym takiego szczęścia. Skąd ci te bzdury przyszły do głowy? Widziałaś już kiedyś umierającego?

– Naturalnie.

– Gdzie, jeżeli wolno zapytać?

– Dzisiaj, u nas na strychu.

– A to jest co innego. Ci nie umierali normalnie. Zabito ich lub zastrzelono. Ja myślę o kimś, kto umiera pomału w łóżku. Widziałaś kiedyś?

– Nie.

– Nie możesz więc o tym mówić. Taki biedny leży w łóżku i poci się na myśl, że tak łapu capu bez paszportu, bez świadectwa szczepień musi maszerować w tak drogę daleką. Nie pomoże mu ani fikanie nogami i rękami, ani rzucanie się na wszystkie boki, musi odejść choćby był ministrem czy prezydentem. Przewraca oczyma, zgrzyta zębami, bicie serca powolnieje, oddechu mu brakuje, rozum zanika. I oto leży bez życia. Kładą go do trumny, nie może z niej wyskoczyć, grzebią w ziemię, nie może wołać. Tysiące robaków szczypie go, a on nie może się bronić. A tam w dole ani powietrza, ani światła, ani julepu nie ujrzy. Kiedy go po dziesięciu albo dwudziestu latach odgrzebią, co z niego pozostało? Wysechł na szkielet, parę kości tylko. A ty powiadasz, że mu jest dobrze, że szczęśliwy. W głowie ci się chyba pomieszało! Najpiękniejszą uroczystością jest wesele. Byłaś już kiedyś na weselu?

– Byłam.

– To musisz przyznać, że to całkiem co innego. Na weselu jedzą, piją, skaczą, tańczą, całują się, ściskają, szczególnie narzeczoney i narzeczone, śmiech, powszechna radość. Kiedy się żeniłem z twoją matką, oszalałem od wielkiej radości, dopiero potem zmądrzałem. Zazdrościć można narzeczonej nie tylko jej szczęścia, ale i honoru, bo jej narzeczoney zostaje zięciem. Czy myślisz, jak byś została narzeczoną, nie byłoby pięknie?

Ponieważ nie odpowiedziała, więc ciągnął dalej.

– Już nieraz o tym myślałem, ale teraz doprawdy nie mogę się wyznać. Spodziewałem się ciągle, że mi zięcia do domu sprowadzisz. Co to by była za radość. Zaśpiewałbym tę samą piosenkę, co w Pirna przed weselem śpiewałem, znasz może tę piosenkę?

– Nie.

– Szkoda, wielka szkoda! Śliczna to melodia, nawet w teatrze ją śpiewają i słowa są piękne, posłuchaj tylko:

Wiążemy ci ślubny wieniec,
Z fiołkowo niebieską uciechą,
Prowadzimy cię w skoczne tany
W sukniach z jedwabiu, atlasu.

– Tak byłoby i u nas. W jedwabiu i atlasie szłabyś do ślubu, a ja z radości stałbym się fiołkowo niebieski. Ale ty nie chcesz, prawda?

– Nie – szepnęła.

Głębokie westchnienie wydobyło się z jego piersi, ale opanował się i rzekł z powagą:

– Już to sobie wykombinowałem. Widzę, że masz rację. Widocznie tak ma być. Kto wie, może by ci umarł mąż, tak jak mnie twoja matka, a moja żona. Od tego czasu jestem wdowcem i nie ożeniłem się powtórnie, zostałem sam, a więc i ty zostań sama. To dziedziczenie to mój pech,

tego mi nikt nie wytłumaczy. Zrzekam się wszystkich prowincji, orderów i godności. Nie chcę żadnego zięcia, żadnego, rozumiesz? Choćbyś chciała jakiegoś do domu sprowadzić, nie chcę, za drzwi go wyrzucę, mówię poważnie, więc proszę się zastanowić nad tym!

Podniósł się ze stołka i przystąpiwszy do niej począł mówić podniesionym głosem:

– Przede wszystkim zakazuję ci iść za mąż za Czarnego Gerarda. Tego chłopca nie mogę znieść, nie mogę się na niego patrzeć, słowem jest antypatyczny. Byłby to mój gwóźdź do trumny. Zrozumiałaś? Teraz znasz moją wolę. Tak chcę i tak ma się stać.

Wielkim krokiem, poważnie, z podniesioną dumnie głową wyszedł.

Popatrzyła za nim zdziwiona, nie mogąc sobie wytłumaczyć tej nagłej zmiany zapatrywań. Całe jego zachowanie było takie, że wręcz śmieszne, a jednak żaden uśmiech nie rozjaśnił chmur na jej czole. Dziwny ścisnął ją smutek, którego powodu nie umiała sobie wytłumaczyć.

Miłość jaka się zrodziła w jej sercu do Gerarda była głęboka i wielka, a jednak to jedno jedyne słowo „garoter” niweczyło ją. Na jej duszy nie ciążyła ani jedna plamka, była czysta bez zmazy i wymarzony przez nią ideał był również czysty. To przeciwieństwo między ideałem a rzeczywistością bolało ją niezmiernie. Przebaczyła mu wprawdzie, wiedziała, że przeszłość swą odpokutował i że nie potrzebuje się obawiać jego powtórnego upadku, że wyszlachetniał i że nie był zdolny do zbrodni, a jednak słowo to paskudne brzmiało, zagnieździło się w mózgu i sercu tak, że jej sił zabrakło wymazać go z pamięci.

Właśnie dzisiaj udowodnił, jak ją kocha. Ostatkiem sił dowlóknął się jej na ratunek, chciał uratować ją od hańby. Teraz leżał na górze bez śladu życia na twarzy. Poczula, że jego jednego kocha, kocha całą pełnią uczuć i że tylko do niego bez warunków należeć będzie przez całe życie.

A przecież nie poszła do niego na górę. Dlaczego?

Dusza kobiety to wieczna zagadka. Jednak tę można było odgadnąć. Resedilla czuła, że pierś jej wzbiera miłością, że uczucie to opanowuje ją bezgranicznie, zalewa swym ogromem. Czuła, że z powodzeniem mogłaby rozbudzić w nim życie, przywrócić go do przytomności. Bała się wybuchu własnych uczuć, czując że nie byłaby w stanie zapanować nad nimi. To ją powstrzymało przed pójściem do niego. Dlatego leżał samotny w swym pokoju, jakby nie miał nikogo, kto by mu współczuł.

Tego rodzaju myśli zaprzętały jej głowę. Siedziała samotna bez słowa skargi. Wtem drzwi się otwały. Pomyślała, że to ojciec wraca, lecz gdy podniosła oczy ujrzała przed sobą Sternaua.

– Proszę wybaczyć, seniorita! Przeszkadzam może, ale przychodzę z prośbą.

Wstała kierując na niego swój wzrok. Nie odpowiadała. Widocznie czytał co się dzieje w jej duszy, bo lekki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Mógłbym prosić trochę płótna do bandaży? – spytał.

– Oczywiście, zaraz przyniosę.

Wybiegła do kuchni. Wróciwszy podała mu cały zwój pytając?

– Jeszcze nie wszyscy zostali opatrzeni? Przy kim się jeszcze senior trudzi?

– Przy Gerardzie.

Zbladła, po chwili zapytała:

– Czy tak z nim źle?

– Bardzo źle – odrzekł.

– Na Boga! Nie ma ratunku?

Słowa te raczej wyłkała, bo łzy rozpacz polaty się z jej oczu.

– Bóg jest łaskawy – brzmiała poważna odpowiedź. – On może pomóc albo lekarz...

– Który?

– Który ma na imię... miłość.

Twarz jej biała jak kreda oblała się rumieńcem. Łzy jeszcze obficiej polały się z oczu. Sternau ujął jej rękę i ciepłym głosem powiedział dobitnie:

– Resedillo, on chciał umrzeć.

– Gerard? – spytała zachodząc od płaczu.

– Tak. Z tym postanowieniem wyszedł walczyć. My walczyliśmy z za palisady, on sam jeden przed, narażając się co chwila na śmierć.

– O Boże, dlaczego?

– Tego nie wiem. Pani powinna wiedzieć to lepiej. Tysiąc kul świstało koło niego, a on stał jak bohater zasłaniając swą piersią fort. Kiedy wreszcie dokazał cudów waleczności, padł posieczony nurzając się w potoku własnej krwi. Jednak słysząc, że pani jest w niebezpieczeństwie, ostatkiem sił i życia porwał się, by walczyć, by ratować.

Dlaczego go pani nienawidzi?

– Nienawidzi, ja go nienawidzę?

Zakryła oczy rękami dusząc się od płaczu. On zaś pytał dalej:

– Zna go pani od dawna?

– Nie, ale dobrze, bardzo dobrze! – odpowiedziała szlochając.

– Wie pani, gdzie był przedtem?

– W Paryżu.

– Czym się zajmował?

– Wiem, senior – odrzekła.

– Powiedział to pani?

– Tak, nie krył niczego. Wie pan o tym?

– Wiem, seniorita. Proszę mi powiedzieć dlaczego mu pani nie chce przebaczyć?

– Ale ja mu już dawno przebaczyłam.

– Więc dlaczego go pani teraz unika, kiedy tak potrzebuje pomocy i kochanej ręki?

– Ja nie mogę iść do niego!

– Dlaczego?

– Ja, nie powinnam, nie mogę tego powiedzieć.

– Tego nie pojmuję. Dzisiaj, przed rozpoczęciem walki prosił mnie, bym w razie jego śmierci przekazał pani jego ostatnie pozdrowienie. Wprawdzie nie umarł jeszcze, ale umiera, więc przynoszę pani pozdrowienie umierającego.

Odwrócił się do drzwi. Pobiegła za nim wołając zbolalym głosem:

– Senior Sternau!

– Czym mogę służyć?

– Ja nie mogę, nie powinnam iść do niego.

– A to dlaczego?

– Bo, mogłabym go zabić.

Nowy uśmiech ukazał się na jego obliczu. Kładąc jej rękę na głowie zapytał:

– Nie wierzy pani swym słowom? Myśli pani, że nie potrafi zapanować nad sobą?

– Moja rozpacz i jęki odebrały by mu resztę życia.

– Moje dziecko, nie zna się pani. Każda kobieta jest silna w nieszczęściu. Nie zabijesz go, przeciwnie wróci mu pani życie.

Wziął ją za rękę i poszli na górę. Dała się prowadzić aż do drzwi pokoju, w którym leżał ukochany.

Gdy ujął ją za rękę zaczęła prosić:

– Senior Sternau, ja się nie odważę.

– Proszę tu poczekać, muszę go zbadać – brzmiała odpowiedź. Wszedł do środka. Resedilla została przy drzwiach z sercem przepelnionym sprzecznymi uczuciami. Po chwili Sternau otworzył drzwi mówiąc półgłosem:

– Proszę wejść, seniorka. Wsunęła się po cichu, koło łóżka ujrzała jakąś kobietę. Była to Zilli.

Jakby sztylet przeszedł jej pierś. Pielęgnowała go całkiem obca osoba, podczas gdy, ona nawet do niego nie zaglądnęła. Spojrzała na łóżko. W oczach jej pociemniało, musiała się oprzeć na krzesło. Powoli jej wzrok zaczął się oswajać ze smutnym obrazem jaki ukazał się jej oczom.

Leżał poowijany bandażami. Był bardziej podobny do mumii niż do żyjącego człowieka. Cała głowa była obwiązana białym płótnem. Tylko twarz była wolna, ale twarz ta trupioblada strasznie odbijała się od czarnego zarostu. Zapadłe policzki, oczy zamknięte, niczym się nie różnił od trupa leżącego kilka dni.

Zimno się jej zrobiło. Tak, Sternau miał rację. Była przekonana, że widok jego nie powstrzyma jej i rzuci się mu na pierś z płaczem, a teraz stała, jak skamieniała; nie mogąc się poruszyć, jakby jej nogi wrosły w ziemię. Z niezmiernym wysiłkiem posunęła się z miejsca wlokąc ciężko swe nogi i przystąpiła bliżej łóżka. Zachrypniętym od wzruszenia głosem spytała szeptem młode dziewczę:

– Pani była dotychczas przy nim?

– Tak, seniorka – szepnęła Zilli.

– Musiałam pomóc przy bandażowaniu.

– Dziękuję pani.

Po tych słowach usiadła na krzesło koło łóżka, na tym samym miejscu gdzie siedziała przed chwilą Zilli.

– Chce pani przy nim zostać? – spytało ją dziewczę.

– Tak – odrzekła Resedilla.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo pani jest potrzebna na dole.

Resedilla potrząsnęła głową odpowiadając:

– Moje miejsce jest tutaj, dopóki nie wyzdrowieje. Jeżeli mi pani chce wyświadczyć przysługę, to proszę zapytać mego ojca, czy pani nie może mu pomóc.

– Chętnie to uczynię – i oddaliła się.

Sternau zdjął choremu bandaż z głowy przykładając nowy. Niby we śnie pomagała mu. Ręka jej dotknęła nieco bladego policzka. Jakby przeczuł jej obecność bo wyszeptał z cicha:

– Resedilla!

– Proszę mu odpowiedzieć – szepnął jej Sternau.

– Jak długo leży ani razy nie otworzył oczu.

Pochyliła się nad nim mówiąc półgłosem:

– Mój drogi, kochany Gerardzie.

Pomału otworzył powieki, początkowo mdły wzrok zaczął się ożywiać.

– O teraz nie umrę! – rzekł słabo, ale wyraźnie.

Nie mogła wytrzymać. Nie zważając na obecność Sternaua poczęła całować jego bledziutkie wargi mówiąc z uniesieniem:

– Nie, nie umrzesz, nie możesz umrzeć, bez ciebie ja bym nie mogła żyć. Musisz wyzdrowieć bo mam ci coś ważnego powiedzieć.

Znowu zamknął oczy. Ta nagła radość była zbyt wielka, popadł w omdlenie.

– Senior, senior, on umiera! – wołała Resedilla z przerażeniem.

Sternau uśmiechnął się i gładząc jej włosy odpowiedział:

– Proszę się nie martwić. To tylko omdlenie. Nie zaszkodzi mu, jeżeli go pani nie opuści i pielęgnować będzie, w co nie wątpię, starannie, może mieć pani nadzieję, że szybko wyzdrowieje.